Irena z Sęp-Szarzyńskich Spychałowa

Drogą do domu

GRZESZCZAK.indd 1 12.11.2024 20:23:17

Jan Grzeszczak

Irena z Sęp-Szarzyńskich Spychałowa

Droga do domu

PALLOTTINUM

Wydawnictwo Wydziału Teologicznego
Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu
Poznań 2024

GRZESZCZAK.indd 3 12.11.2024 20:23:19

Rada Wydawnicza
Malwina Kozłowska, Dariusz Kwiatkowski, przewodniczący – Mieczysław Polak,
Maciej Szczepaniak, Przemysław Zgórecki

Recenzenci
ks. prof. dr hab. Mieczysław Kogut – Papieski Wydział Teologiczny we Wrocławiu
ks. prof. dr hab. Jerzy Kostorz – Uniwersytet Opolski

Tłumaczenie na język angielski: dr Małgorzata Wiertlewska
Opracowanie redakcyjne: Mieczysława Makarowicz
Korekta: Malwina Kozłowska
Skład i łamanie: KEAMI HOUSE
Projekt okładki i layoutu: Jacek Grześkowiak

Zdjęcia pochodzą ze zbiorów: Artura Bagieńskiego, Jadwigi Bochniak, Zdzisławy Flisińskiej,
Jana Grzeszczaka, Jana Helwinga, Stanisława Mrowińskiego,
Muzeum Regionalnego w Opocznie, Jacka Mycielskiego, Zofii Stachowiak,
Magdaleny Unrug-Kuczery.

Publikacja finansowana z subwencji na utrzymanie i rozwój potencjału badawczego
Wydziału Teologicznego Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu

ISBN 978-83-7014-995-6
Nr zam. 35/2024

Wydawca:
Wydawnictwo Pallottinum
ul. Przybyszewskiego 30, 60-959 Poznań
tel. 61 867 52 33; faks 61 867 52 38
Księgarnia internetowa: www.pallottinum.pl
e-mail: pallottinum@pallottinum.pl

Wydawnictwo Wydziału Teologicznego
Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu
ul. Wieżowa 2/4, 61-111 Poznań
www.teologia.amu.edu.pl
e-mail: publikacje@amu.edu.pl

Druk: TOTEM, ul. Jacewska 89, 88-100 Inowrocław

GRZESZCZAK.indd 4 12.11.2024 20:23:19



O święty Panie, daj, niech i my mamy
To, co mieć każesz, i Tobie oddamy!

Mikołaj Sęp-Szarzyński, *Sonet II*
Na one słowa Jopowe: *Homo natus de muliere, brevi vivens tempore etc.*

GRZESZCZAK.indd 5 12.11.2024 20:23:19

‹ *Herb Junosza na dyplomie Heroldii Królestwa Polskiego dla Michała Wawrzyńca Sęp-Szarzyńskiego, 1843 r. Ze zbiorów Zofii Stachowiak*

GRZESZCZAK.indd 6 12.11.2024 20:23:20

Spis treści

Wstęp / 9

I. Irena z Sęp-Szarzyńskich Spychałowa – biografia XX-wieczna / 15

1. Dworek nad Prosną / 17
   1.1. Sępowie z barankiem w herbie / 17
   1.2. Mrzonki i sukcesy / 39
2. „Nie mam dziś czasu, ale za to taką nieprzepartą ochotę trochę pogadać z tobą, pamiętniku" – Irena z Sęp-Szarzyńskich Spychałowa jako autorka wspomnień / 51
3. Tło historyczne materiału wspomnieniowego / 59
4. Zasady edycji / 68

II. Oddać głos bohaterce – wojna i okres powojenny we wspomnieniach Ireny z Sęp-Szarzyńskich Spychałowej / 69

Postscriptum / 175

Aneksy / 179

Bibliografia / 187

Indeks osobowy / 191

Indeks miejscowości / 197

Wstęp

Kto wyrusza w drogę z Wrześni do Kalisza drogą wojewódzką nr 442, kierując się za Pyzdrami na południe, przejeżdża przez niewielką wioskę o mało efektownie brzmiącej nazwie Obory. Po prawej stronie, blisko jezdni, wyremontowane i zmodernizowane czworaki, dalej przystanek autobusowy, a w głębi, w kierunku przepływającej w pobliżu Prosny, charakterystyczna dla wielkopolskiego krajobrazu kępa zieleni, składająca się z wiekowego drzewostanu i próbujących z nim konkurować samosiejek. Kiedy jesienią opadną liście, zaczynają się wyłaniać ostatnie resztki starej zabudowy. Taki jest obecnie los wielu szlacheckich siedzib, których dawny wygląd znamy już tylko z archiwalnych zdjęć.

Obory nie mogły się pochwalić tak piękną rezydencją, jak położony nieopodal Kretków, o którym jeszcze kilka razy usłyszymy. Tam przyroda również objęła we władanie resztki pałacu, którego budowę w stylu barokowym rozpoczęli Radolińscy, a ukończyli na początku XIX wieku kolejni właściciele tych dóbr – Skórzewscy, nadając bryle obiektu charakter architektury klasycystycznej, którą historyk sztuki Róża Kąsinowska określiła jako „zdradzającą rękę architekta dobrej klasy”[1]. Oborski „pałac” był raczej obszernym domem pod papą, którego budowniczowie nie chcieli jednak całkiem rezygnować z odrobiny splendoru dawnych ziemiańskich siedzib i dlatego ozdobili go frontonem zwieńczonym krenelażem. Dworek przetrwał do lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku, a kiedy popadł w całkowitą ruinę, został rozebrany decyzją tamtejszych władz gminnych. Nie przetrwały też zabudowania folwarku, pozostał tylko zdziczały park.

Kiedy dewastacja osiąga poziom, od którego nie ma już odwrotu, a przyroda niemal całkowicie zaciera ślady ludzkiej aktywności,

[1] Zob. R. Kąsinowska, *Ruiny pałacu w Kretkowie*, w: *Kretków. Właściciele – zabytki – duszpasterze*, red. J. Grzeszczak, Poznań 2014, s. 112.

GRZESZCZAK.indd 9 12.11.2024 20:23:20

pojawia się słowo „rewitalizacja". W 2022 roku rewitalizacji poddano park podworski w Oborach, a na patronkę tego przedsięwzięcia wybrano Irenę Spychałową (1908-1992) – ostatnią z Sęp-Szarzyńskich na Oborach[2]. Wykarczowano samosiejki, wytyczono alejki, oczyszczono staw, ustawiono ławki, kosze na śmieci i tablice informacyjne, tworząc w ten sposób park z elementami małej architektury, w którym może się zatrzymać turysta pieszy, przemieszczający się rowerem i zmotoryzowany. Na panelach przyciąga wzrok baranek na zielonej łące i czerwonym tle z herbu Junosza Sęp-Szarzyńskich, a obok stara fotografia siedzącej nastolatki z rozpuszczonymi czarnymi włosami, które staną się jej znakiem rozpoznawczym: „Nazywali mnie «ta czarna z koroną», bo upinałam warkocz wokół głowy, a starczał prawie podwójnie" – Irena wspomina chwile, kiedy w trakcie okupacji pracowała w punkcie odbioru kontyngentów rolnych dla Rzeszy w Wielkiej Woli w powiecie opoczyńskim, i robotników, którzy w czasach głodu i niepewności dzielili się z nią jedzeniem[3].

Monografia zatytułowana *Irena z Sęp-Szarzyńskich Spychałowa. Droga do domu* jest w zamyśle jej autora próbą ukazania horyzontu, który sięga dalej niż faktografia będąca zajęciem zawodowych historyków czy miłośników historii. Wpisuje się w postulowane przez prof. Krzysztofa Stachewicza otwarcie przestrzeni namysłu nad człowieczym losem, sformułowane w wydanej niedawno monografii tego filozofa i teologa związanego ze środowiskiem naukowym Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu *Myśleć los człowieka. Studium filozoficzne*[4]. Trudno też w przypadku naszej bohaterki nie wziąć pod uwagę głębszych egzystencjalnych inspiracji, płynących z poezji autorstwa jej żyjącego kilka wieków wcześniej krewnego, Mikołaja Sęp-Szarzyńskiego.

W niniejszej monografii sięgniemy do wspomnień Ireny z Sęp-Szarzyńskich Spychałowej, spisywanych przez nią w różnych okresach życia, od pamiętników nastolatki, aż po wstrząsające zapiski z okresu II wojny światowej, którą od lutego 1940 roku spędziła w większości na wygnaniu w powiecie opoczyńskim na terenie Generalnego Gubernatorstwa, gdzie utrzymywała się m.in. z pracy biurowej i doradczej w lokalnej niemieckiej administracji rolnej. Tam

[2] Zob. https://irenakuczynska.pl/mieszkancy-wsi-obory-upamietniaja-ostatnia-wlascicielke-majatku/ [dostęp: 25.01.2024]. Informacje na temat Ireny z Sęp-Szarzyńskich Spychałowej, które stały się bazą źródłową do informacji zamieszczonych na panelach informacyjnych w zrewitalizowanym parku podworskim w Oborach – zob. *Cyfrowa Szkoła Wielkopolsk@ 2020*, https://www.csw2020.com.pl/biogram/irena-spychala/ [dostęp: 25.01.2024].

[3] Zob. s. 123.

[4] Zob. K. Stachewicz, *Myśleć los człowieka. Studium filozoficzne*, Kraków 2023, s. 11.

GRZESZCZAK.indd 10 12.11.2024 20:23:20



Zrewitalizowany park podworski w Oborach z fragmentami ruin dworku Sęp-Szarzyńskich. Fot. J. Grzeszczak

też wstąpiła do struktur Armii Krajowej i zaangażowała się w działalność konspiracyjną jako łączniczka o pseudonimie „Magda".

Dostępny obecnie materiał rękopiśmienny[5], obejmujący okres okupacji, powstawał w późniejszym czasie, a wprowadzone w tekście daty wskazują na połowę lat sześćdziesiątych ubiegłego wieku. Jeden z zeszytów zawiera liczące 37 stron syntetyczne wspomnienie, obejmujące okres od narodzin autorki do lat siedemdziesiątych, które zostało przygotowane z myślą o publikacji. Jak pisze Irena Spychałowa: „W «Głosie Wielkopolskim» przeczytałam wzmiankę o zbieraniu pamiętników przez Centrum Pamiętnikarstwa Polskiego w Warszawie. Napisałam z zapytaniem o informację. Dostałam broszurkę z objaśnieniami. Pamiętniki mają być na około 50 stron. Mojego urozmaiconego żywota nie jestem w stanie zamknąć w tak krótkich rozmiarach opisu, bo żyję już od 1908 r."[6].

[5] Notatki zapisywane w zeszytach znajdują się w rodzinnych zbiorach dzieci Ireny z Sęp-Szarzyńskich Spychałowej.

[6] Kserokopia zeszytu z dopiskiem „Od cioci Hanki", s. 1. Centrum Pamiętnikarstwa Polskiego działało w ramach powołanego do życia w 1969 r. Towarzystwa Przyjaciół Pamiętnikarstwa (TPP), którego celem statutowym były m.in. ochrona przed rozproszeniem i zniszczeniem zbiorów pamiętnikarskich, wyła-

GRZESZCZAK.indd 11 12.11.2024 20:23:20

Po śmierci Ireny z Sęp-Szarzyńskich Spychałowej pozostałe po niej notatki zostały otoczone pieczołowitą troską przez jej dzieci, które uznały za stosowne nadać im formę bardziej przystępną dla kolejnych pokoleń. Stąd zrealizowany w 2008 roku przez jej wnuczkę Annę pomysł połączenia luźnych materiałów w całość według klucza chronologicznego. Po przepisaniu rękopisów, opatrzeniu tekstu zdjęciami z rodzinnych albumów oraz niezbędnymi objaśnieniami powstała unikalna pamiątka rodzinna w formie liczącego 299 stron opracowania, opatrzonego tytułem *Moje myśli. Wspomnienia* i wydrukowanego w nakładzie dwóch egzemplarzy[7].

Anna Stachowiak postanowiła podzielić *Moje myśli* na dwie części. Pierwsza obejmuje materiał dotyczący dzieciństwa, nauki w gimnazjum i okresu międzywojennego[8]. Druga dotyczy okresu bezpośrednio poprzedzającego wybuch II wojny światowej, czasu okupacji, wysiedlenia z Obór, pobytu w Generalnym Gubernatorstwie, powrotu do Wielkopolski w 1945 roku, próby kontynuowania pracy w majątku w latach powojennych oraz dalszych losów autorki, aż do ostatnich lat życia[9].

Monografia, która trafia do rąk czytelnika, składa się z dwóch części. W pierwszej dokonano prezentacji sylwetki Ireny z Sęp-Szarzyńskich Spychałowej, najpierw jako spadkobierczyni żywej w jej rodzinie dawnej tradycji ziemiańskiej. Burzliwy wiek dwudziesty zmusił ją jednak do swego rodzaju korekty kursu. W sposób świadomy i zamierzony decyduje się odpowiedzieć na wyzwania swego czasu. W drugiej części pozwalamy jej przemówić, publikując po raz pierwszy tekst edycji krytycznej części wspomnień, przygotowaną w oparciu o część drugą opracowania Anny Stachowiak[10]. Wybór ten, podyktowany został względami merytorycznymi i formalnymi. Tę

---

nianie w drodze konkursu najlepszych prac i ich publikacja, a także działalność doradcza. Do rady Centrum weszli intelektualiści i pisarze, m.in. prof. Stefan Kieniewicz, prof. Tadeusz Kotarbiński, prof. Stanisław Lorentz, prof. Władysław Tatarkiewicz, Wojciech Żukrowski, a także działacze partyjni: Wincenty Kraśko, odpowiedzialny za kulturę w KC PZPR, i Józef Tejchma. W latach siedemdziesiątych Towarzystwo ogłosiło szereg konkursów na wspomnienia, najczęściej w kluczu ideologicznym, podkreślającym zalety socjalizmu i wagę powojennych przemian. Po przemianach z końca lat osiemdziesiątych TPP nie zdołało sprostać nowym realiom gospodarki, a przechowywane przez nie zbiory w większości uległy zniszczeniu. Uratowane rękopisy trafiły do Archiwum Akt Nowych – zob. D. Wierzchoś, *Zwyczajne życie zwykłych ludzi. Losy archiwum Towarzystwa Przyjaciół Pamiętnikarstwa*, https://histmag.org/Zwyczajne-zycie-zwyklych-ludzi.-Losy-archiwum-Towarzystwa-Przyjaciol-Pamietnikarstwa-1750 [dostęp: 21.02.2024].

[7] Zob. I. z Sęp-Szarzyńskich Spychałowa, *Moje myśli. Wspomnienia*, oprac. A. Stachowiak, Suchy Las 2008, mps w zbiorach Zofii Stachowiak [dalej: MM].

[8] Zob. tamże, s. 7-117.

[9] Zob. tamże, s. 119-299.

[10] Zob. tamże, s. 138-299.

GRZESZCZAK.indd 12 12.11.2024 20:23:20

część pamiętnikarskiej spuścizny Ireny z Sęp-Szarzyńskich Spychałowej rozpoczynają jej wspomnienia z ostatnich dni sierpnia 1939 roku, a więc stanowią cenny materiał historyczny na temat okresu okupacji na terenie Wielkopolski i Generalnego Gubernatorstwa. Uszczegółowienie narracji, poziom dramatyzmu oraz umiejętnie ukazana galeria postaci występujących we wspomnieniach to kolejne argumenty przemawiające za udostępnieniem czytelnikowi tego interesującego materiału.

Autor korzysta w tym miejscu z okazji, by podziękować wszystkim, którzy przyczynili się do powstania tej monografii i wydobycia na światło dzienne postaci Ireny z Sęp-Szarzyńskich Spychałowej. Słowa szczególnego podziękowania kieruje do Pani Zofii Stachowiak, najstarszej córki naszej bohaterki, która życzliwie otworzyła autorowi bogate rodzinne archiwum oraz służyła wyjaśnieniami i przechowywanymi w pamięci informacjami na temat przeszłości rodziny.

Słowa podziękowania autor kieruje pod adresem instytucji muzealnych. Szczególnie owocna okazała się w tym kontekście współpraca z Muzeum Regionalnym w Opocznie, które pielęgnuje pamięć o mieszkańcach powiatu jarocińskiego i pleszewskiego, wysiedlonych przez niemieckiego okupanta do Generalnego Gubernatorstwa. Wielu z nich znalazło tam wojenny dom u życzliwych i gościnnych mieszkańców powiatu opoczyńskiego. Panu Adamowi Grabowskiemu, dyrektorowi Muzeum, autor dziękuje za zapoznanie z historią Opoczna, a zwłaszcza za informacje na temat dziejów tamtejszej wspólnoty żydowskiej.

Osobne podziękowania składa Panu Wiktorowi Pietrzykowi, pracownikowi Muzeum, który cierpliwie służył autorowi swoją radą i wiedzą historyczną na temat dziejów powiatu opoczyńskiego w czasie II wojny światowej.

Autor składa osobne podziękowania na ręce Pana Adama Staszaka, dyrektora Muzeum Regionalnego w Pleszewie, który z życzliwością, entuzjazmem, a przede wszystkim z konkretną pomocą odniósł się do tego projektu, wpisującego się w prowadzone w ostatnich latach badania historyków nad dziejami tej części powiatu pleszewskiego, która należy do gminy Gizałki. Jeśli mowa o historii regionalnej, to nie sposób nie wspomnieć z wdzięcznością owocnych spotkań z Panem Stanisławem Mrowińskim z Szymanowic.

Autor pragnie najserdeczniej podziękować tym wszystkim, którzy udostępnili na potrzeby tej publikacji zdjęcia swoich przodków z rodzinnych zbiorów. Dzięki Pani Zofii Stachowiak czytelnik ma możliwość prześledzić na fotografii dwa wieki dziejów rodu Sęp-Szarzyńskich. Osobne podziękowania autor składa w tym miejscu również na ręce Pana Artura Bagieńskiego, potomka Bronikowskich

GRZESZCZAK.indd 13 12.11.2024 20:23:20

ze Stawowiczek, Pani Jadwigi Bochniak z Paradyża, Pani Zdzisławy Flisińskiej z Chocza, Pana Jana Helwinga z Obór, Pana Jacka Mycielskiego, syna Ludwika i Heleny Broel-Plater z Białaczowa, Pana Stanisława Mrowińskiego z Szymanowic, Pani Magdaleny Unrug-Kuczery, a także Dyrekcji Muzeum Regionalnego w Opocznie.

Część I
Irena z Sęp-Szarzyńskich Spychałowa – biografia XX-wieczna



‹ *Dworek w Oborach w okresie międzywojennym. Siedzą od prawej: Irena Sęp-Szarzyńska i Kazimiera Sadowska. Fot. ze zbiorów Zofii Stachowiak*

GRZESZCZAK.indd 16 12.11.2024 20:23:21

1. Dworek nad Prosną

„Baran biały w polu czerwonem, w prawą tarczy całym sobą obrócony, na zielonej murawce stojący, we krwi po boki skrwawiony, z rogami na głowie, na hełmie pięć piór strusich położył" – pisze o herbie Junosza Kasper Niesiecki w swoim *Herbarzu Polskim*[1]. Ten XVIII-wieczny genealog i heraldyk nie pominął towarzyszących zwykle klejnotom szlacheckim barwnych legend, które Junoszy przypisywały rodowód sięgający wręcz zamierzchłych czasów, ponieważ – według jednej z nich – „jeszcze święci patriarchowie starozakonni tego znaku zażywali"[2]. Herbem Junosza pieczętowała się duża grupa szlachty, zwłaszcza kaliskiej, krakowskiej, poznańskiej, ruskiej i sieradzkiej[3]. Do szlachty tej zaliczał się również ród Sępów Szarzyńskich.

1.1. Sępowie z barankiem w herbie

„Dworek nad Prosną tonął w zieleni wiekowego parku, za którym, tuż, tuż płynęła moja ukochana Prosna"[4] – tak Irena z Sęp-Szarzyńskich Spychałowa rozpoczyna swoje wspomnienia, które jej wnuczka Anna uporządkowała i opracowała na podstawie zachowanych i odnalezionych po śmierci babci zapisków.

Nasza opowieść o Sęp-Szarzyńskich nie rości sobie pretensji do bycia kompletną oraz wyczerpującą, ponieważ wiele w niej elementów nadal stanowiących przedmiot dyskusji i wymagających dalszych pogłębionych badań. Nie sposób jednak nie rozpocząć jej

[1] *Herbarz Polski Kaspra Niesieckiego S.J. powiększony dodatkami z późniejszych autorów, rękopismów, dowodów urzędowych i wydany przez Jana Nep. Bobrowicza*, t. 4, Lipsk 1839, s. 511.

[2] Zob. tamże, s. 512.

[3] Zob. S. Górzyński, J. Kochanowski, *Herby szlachty polskiej*, Warszawa 1992, s. 74-75.

[4] MM, s. 9.

GRZESZCZAK.indd 17 12.11.2024 20:23:21

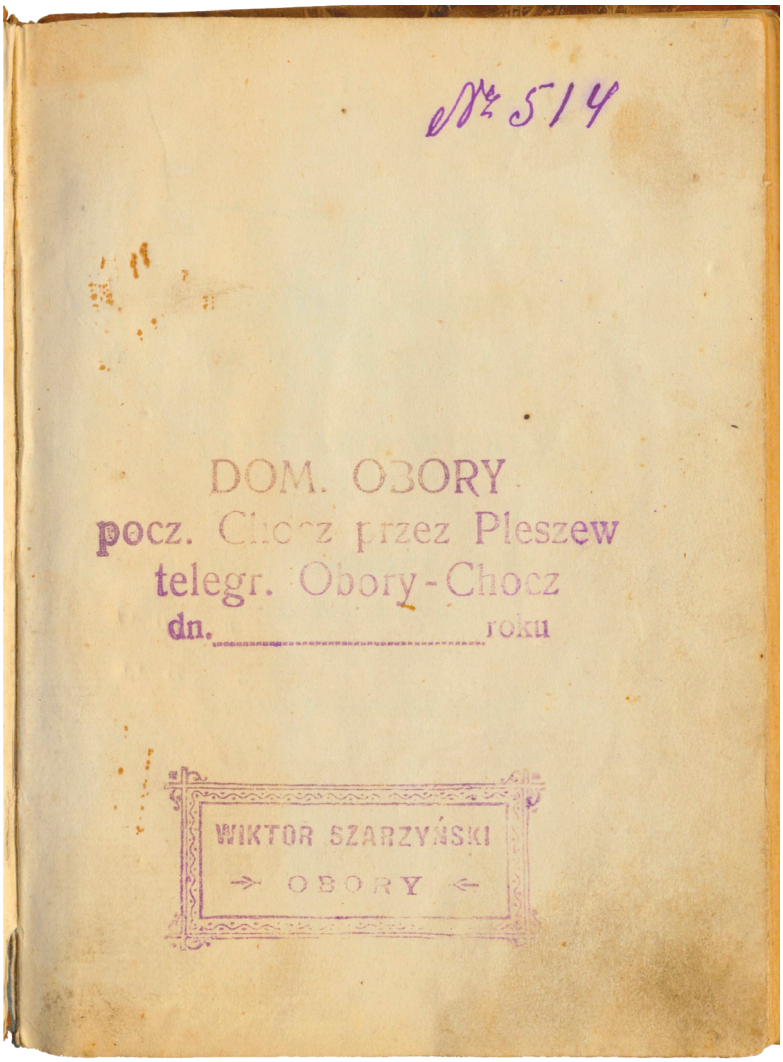

Pieczątka majątku Obory i exlibris Wiktora Sęp-Szarzyńskiego w Mikołaia Sępa Szarzyńskiego Rytmy abo Wiersze polskie po jego śmierci zebrane y wydane Roku Pańskiego 1601, *wyd. J. Muczkowski, Poznań 1827. Fot. ze zbiorów Zofii Stachowiak*

od najbardziej znanego przedstawiciela rodu, czyli wielkiego polskiego poety Mikołaja (ok. 1550-1581), o którym genealog i dziennikarz Teodor Żychliński napisał: „Rodzina Szarzyńskich przydomku Sęp a herbu Junosza pisze się z Szarzyna w województwie płockim a wsławiona jest w dziejach naszego piśmiennictwa Mikołajem, którego geniusz poetycki byłby niezawodnie jedno z pierwszych miejsc mu zjednał na Parnasie polskim zygmuntowskiego wieku, gdyby śmierć przedwczesna nie była wytrąciła lutni z rąk młodzieńczego

GRZESZCZAK.indd 18 12.11.2024 20:23:21

pieśniarza”[5]. Stwierdzenie T. Żychlińskiego na temat nazwiska poety, które występuje wcześniej w herbarzu K. Niesieckiego, wymaga doprecyzowania[6]. W XIX wieku poetą zainteresowali się ówcześni krytycy literaccy, i tak w 1880 roku Ludwik Finkel na łamach lwowskiego „Przewodnika Naukowego i Literackiego” zajął się przodkami Mikołaja: „Przedewszystkiem sprostować należy, że nie «Szarzyński» ale «Sęp» było właściwem jej nazwiskiem. I tak dziad jeszcze poety, także Mikołaj, używał zazwyczaj, prawie wyłącznie nazwiska Semp (jak się zazwyczaj pisał). Nadto znajduje się akt, w którym wyraźnie zapisano go *Nicolaus Semp dictus Szarzyński*”[7]. Ów dziad poety opuścił rodzinne Mazowsze i w Zimnejwodzie pod Lwowem znalazł żonę z majątkiem oraz urząd, stając się protoplastą rodu Sępów, którego XVII-wieczni przedstawiciele pojawili się z kolei w województwie kaliskim[8].

L. Finkel zwraca też uwagę na szczególną cechę występującą w tej rodzinie: „Sępowie [...] nie tylko w nazwisku mieli coś drapieżnego; postępowanie ich cechowała jakaś dziwna chciwość i gwałtowność. W aktach co nie miara procesów, a z wszystkich widać chęć zysku u przemyślnych wychodźców Mazowsza”[9]. W egzekwowaniu swoich praw i roszczeń Sępowie nie poprzestawali na drodze sądowej; uciekali się również do machinacji finansowych, a w ostateczności używali brutalnej siły. Analizując sytuację w Zimnejwodzie w drugiej połowie XVI wieku, Jan Błoński dostrzega w niej elementy wręcz komiczne i podaje, że w 1554 roku miasto Lwów zatrudniło odpowiednika dzisiejszego mediatora o wymownym imieniu i nazwisku Barabasz Niezgoda, obiecując mu 100 złp, jeśli doprowadzi do zamknięcia sporu o granice z Sępami. Trwające dwadzieścia lat wysiłki Niezgody zakończyły się fiaskiem[10]. Trudno jednoznacznie stwierdzić, czy nagromadzenie negatywnej cechy, jaką była konfliktowość, w sposób zasadniczy odróżniało Sępów od reszty ówczesnej polskiej szlachty. Zimnawoda nie była też ich wyłączną własnością, zamieszkiwały tam również inne rodziny szlacheckie, a z racji bliskości

[5] T. Żychliński, *Złota księga szlachty polskiej*, R. I, Poznań 1879, s. 288.

[6] Por. *Herbarz Polski Kaspra Niesieckiego S.J. powiększony dodatkami z późniejszych autorów, rękopismów, dowodów urzędowych i wydany przez Jana Nep. Bobrowicza*, t. 8, Lipsk 1841, s. 604.

[7] L. Finkel, *Mikołaj Sęp-Szarzyński. Kilka nowych szczegółów biograficznych*, „Przewodnik Naukowy i Literacki. Dodatek do Gazety Lwowskiej”, 1880, R. 8, nr 4, s. 365 (całość, s. 363-372). Za tą wersją przemawiają m.in. świadectwa staropolskich kronikarzy, takich jak Bartosz Paprocki czy Marcin Bielski – zob. J. Błoński, *Mikołaj Sęp-Szarzyński a początki polskiego baroku*, Kraków 2001, s. 7-10.

[8] T. Żychliński uważa, że do Zimnejwody przeniósł się z Mazowsza dopiero ojciec poety Joachim – zob. T. Żychliński, tamże, s. 288.

[9] L. Finkel, tamże, s. 366; por. J. Błoński, tamże, s. 11-12.

[10] Zob. J. Błoński, tamże, s. 12-13.

GRZESZCZAK.indd 19 12.11.2024 20:23:22

Lwowa – także majętni mieszczanie. Na porządku dziennym były więc spory rozstrzygane w sądach i wymierzanie sobie sprawiedliwości na własną rękę.

Istnieją głębokie rozbieżności w kwestii tego, kim był Sęp, który opuścił Ruś i osiedlił się nad Prosną. Teodor Żychliński uważa, że przenosin do Wielkopolski dokonał bratanek poety Mikołaja – Wojciech (1589-1669), chorąży koronny i marszałek sejmików piotrkowskich, którego najmłodszy syn Józef zginął bezpotomnie w bitwie pod Wiedniem, a kolejny, niewymieniony z imienia, zabił w pojedynku swojego przeciwnika i schronił się w klasztorze reformatów w Choczu, gdzie w 1693 roku zmarł jako kwestarz[11]. Zdaniem genealoga, ród wielkopolskich Sęp-Szarzyńskich uratował przed wygaśnięciem trzeci syn Wojciecha – Jan (1627-1704), mąż Marianny z Rożnowskich, ojciec trzech synów, skarbnik latyczowski i właściciel Obór nad Prosną, pochowany w podziemiach chockiego kościoła reformatów[12].

Zupełnie odmiennych informacji na interesujący nas temat dostarcza drzewo genealogiczne rodu, przechowywane przez Sęp-Szarzyńskich jako cenna pamiątka rodzinna[13]. Dowiadujemy się z niego, że żyjący w latach 1623-1693 Jan miał na koncie nie jeden, a kilka

[11] Zob. T. Żychliński, tamże, s. 290.

[12] Zob. tamże.

[13] Znajdujące się obecnie w rękach potomków Sęp-Szarzyńskich drzewo genealogiczne, sporządzone prawdopodobnie na przełomie XIX i XX wieku, było własnością ojca Ireny z Sęp-Szarzyńskich Spychałowej Wiktora (1878-1935). Zawiera uzupełnienia dokonane ręką Haliny z Sęp-Szarzyńskich Skórzewskiej z Kretkowa oraz Michała Sęp-Szarzyńskiego (1912-1989), który odziedziczył tę rodzinną pamiątkę po ojcu Wiktorze. Należy zaznaczyć, że mamy do czynienia z odpisem wcześniejszego oryginału, na co wskazuje tytuł: *Kopja z drzewa Genealogicznego Rodziny Sęp-Szarzyńskich Herbu Junosza*. Ustalenie, czy istnieje oryginał i gdzie się ewentualnie znajduje, pozostaje na dzień dzisiejszy w sferze domysłów. Być może drzewo genealogiczne wchodziło w skład dokumentacji, jaką Michał Wawrzyniec Sęp-Szarzyński (1770-1842) przedstawił Heroldii Królestwa Polskiego, która zajmowała się m.in. weryfikacją prawa do szlachectwa. Po przeanalizowaniu złożonych dowodów, 10 lipca 1843 r. Heroldia uznała, że wnioskodawca, który w dokumencie figuruje jako „Pan Szarzyński Michał Wawrzyniec dwojga imion, Współdziedzic Nowej Wsi Szymanowskiej", udowodnił przynależność swoich przodków do stanu szlacheckiego od roku 1753 i w związku z tym, wraz z potomstwem płci obojga z prawego łoża, jest „szlachcicem Królestwa Polskiego". „Pień" drzewa genealogicznego tworzy linia właścicieli Obór. Nieliczne, co prawda, rozbieżności pomiędzy danymi zawartymi w tym źródle i księgami parafialnymi parafii Szymanowice każą patrzeć na nie w sposób krytyczny i raczej ostrożny. Oprócz informacji o charakterze genealogicznym, które domagają się z pewnością dalszych szczegółowych badań i weryfikacji, drzewo genealogiczne zawiera m.in. dane na temat miejsc pochówku wymienionych osób i rodzinnych grobowców Sęp-Szarzyńskich w Szymanowicach, stanowiąc w ten sposób interesujące źródło dla regionalistów.

GRZESZCZAK.indd 20 12.11.2024 20:23:22

pojedynków, w trakcie których zabił swoich przeciwników, a następnie poszukał schronienia we wspomnianym wyżej klasztorze reformatów w Choczu, gdzie został kwestarzem. Jego brat Józef, urodzony w 1638 roku, zginął co prawda na wojnie, ale pod Lwowem w 1675 roku, a więc u progu panowania Jana III Sobieskiego. Ich brat Januariusz (1627-1704), a nie jego ojciec Wojciech, miał być tym, który opuścił województwo ruskie i osiedlił się nad Prosną, gdzie kupił dobra oborskie, w których skład wchodziły wsie Obory, Wronów i Łęg. Stąd też bierze się obecne u naszej bohaterki przekonanie, że Obory są majątkiem pozostającym od trzech wieków w rękach Sęp-Szarzyńskich. Januariusz z nieznanej z imienia Mańkowskiej h. Zaremba miał czterech synów, z których najstarszy, urodzony w 1657 roku Walenty służył w wojsku i umarł, nie założywszy rodziny. Jego młodszy brat Kacper zginął w bitwie pod Wiedniem i nie pozostawił potomstwa. Ich brat Maciej (1663-1693) zginął w pojedynku i dopiero ich najmłodszy brat Wojciech doczekał się dwóch synów: Władysława (1698-1780), kustosza klasztoru reformatów w Choczu, i Jana (1705-1779). Ten ostatni, z poślubioną sobie Marianną Rożnowską h. Gryf, miał córkę Kunegundę oraz synów Tomasza, Walentego i Michała Wawrzyńca.

Michał Wawrzyniec Sęp-Szarzyński (1770-1842), oficer wojsk polskich, przejął Obory po swoim starszym bracie Walentym (1764--1812), który zginął bezpotomnie w czasie wojen napoleońskich. Dnia 25 stycznia 1796 roku Michał Wawrzyniec poślubił w Droszewie Justynę Sadowską, córkę Stanisława i Apolonii ze Skórzewskich, z którą miał sześcioro dzieci. Udowodnił przed Heroldią Królestwa Polskiego przynależność swoich przodków do stanu szlacheckiego, o czym zaświadcza dyplom wystawiony przez tę instytucję 22 lipca 1843 roku, a więc już kilka miesięcy po śmierci wnioskodawcy[14].

Do 1793 roku Obory należały do rozciągającej się na lewym brzegu Prosny parafii Żegocin, a następnie zostały przyłączone do parafii Szymanowice[15]. Sęp-Szarzyńscy chowali w tym czasie swoich zmarłych najpierw w krypcie kościoła reformatów w Choczu, a od drugiej połowy XVIII wieku w rodzinnym grobowcu pod nieistniejącym dzisiaj drewnianym kościółkiem cmentarnym w Szymanowicach. Grobowiec ten, według informacji z drzewa genealogicznego, miał zostać zbudowany staraniem Tomasza Sęp-Szarzyńskiego

[14] Michał Wawrzyniec Sęp-Szarzyński zmarł we Wronowie 28 października 1842 roku, a nie, jak podaje drzewo genealogiczne, w 1843 – zob. *Archiwum parafii Szymanowice*, *Liber mortuorum*, 26/1842, https://geneteka.genealodzy.pl/ [dostęp: 21.02.2024].

[15] Zob. *Słownik geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich*, t. VII, red. B. Chlebowski, W. Walewski, Warszawa 1886, s. 342.

GRZESZCZAK.indd 21 12.11.2024 20:23:22

(1751-1802) – dziedzica Nowej Wsi Szymanowskiej[16]. W burzliwych czasach przełomu XVIII i XIX wieku członkowie rodu wzięli udział w wojnach napoleońskich i w powstaniu listopadowym, a dziedzic Obór Walenty (1764-1812) i jego bratanek Maciej (1796-1831) oddali życie za wolność Polski.

Po śmierci stryja Walentego i ojca Michała Obory przypadły Stefanowi Dominikowi Sęp-Szarzyńskiemu (1799-1868), właścicielowi kilku majątków w Królestwie Polskim i syndykowi klasztoru reformatów w Choczu. Żona Palmira z Chrzanowskich, I° voto Bogdańska, urodziła mu sześcioro dzieci, wśród których znajdziemy dwóch dziadków Ireny: Antoniego Nikodema (1839-1879) i Przemysława Teodora (1849-1922) oraz późniejszego dziedzica Obór Władysława (1847-1903), zmarłego bezdzietnie Jana Nepomucena (1838-1906), właściciela Tykadłowa, a także córki Bronisławę (1842-1847) i Wandę (1845-1920)[17].

Antoni Sęp-Szarzyński wziął czynny udział w powstaniu styczniowym. Rodzinne przekazy widzą w nim adiutanta gen. Edmunda Taczanowskiego. Po upadku powstania ostatecznie zamiast zsyłki na Sybir, trafił do więzienia, a po uwolnieniu carski rząd prześladował go kilkuletnim dozorem policyjnym[18]. W 1869 roku poślubił Helenę Gliszczyńską (1851-1925) z pobliskich Tomic, córkę Zygmunta i Joanny ze Skórzewskich z Kretkowa. Osiemnastoletnia wybranka wniosła mu w posagu dobra Szymanowice z przyległościami. Ożenek związał Antoniego Sęp-Szarzyńskiego z szanowaną w okolicy ziemiańską rodziną Gliszczyńskich (Glisczyńskich) h. Jastrzębiec, której XVIII- i XIX-wieczni przedstawiciele piastowali urzędy państwowe i kościelne, posłowali do sejmu i senatu i czynnie angażowali się w działalność niepodległościową[19]. W pierwszej połowie XVIII wieku weszli w posiadanie dóbr Tomice, Szymanowice i Ciemierów z przyległościami, będących uprzednio w rękach rodziny Cywińskich.

Pradziadek Heleny Jan Gliszczyński (ok. 1766-1840), dziedzic Tomic, awansowany przez Jana Henryka Dąbrowskiego do stopnia

[16] Według danych z drzewa genealogicznego Sęp-Szarzyńskich linia dziedziców Nowej Wsi Szymanowskiej zakończyła się na Józefie (1789-1821), bezpotomnym synu Tomasza. Znajduje się w nim również wzmianka o jeszcze jednym grobowcu rodzinnym Sęp-Szarzyńskich. Przy Mariannie (1807-1880), córce Michała Wawrzyńca, znajdziemy następującą adnotację: „Umarła panną, pochowana w grobie familijnym w Szymanowicach nowo obok kościoła wystawionym przez Jana [?], pierwsza w tym grobie pochowana".

[17] W 1868 r. Wanda wyszła za mąż za Aleksandra Zaborowskiego, właściciela Wielgomłynów w powiecie radomszczańskim.

[18] Zob. „Dziennik Poznański", 23.04.1879, nr 93.

[19] Zob. J. Willaume, *Gliszczyński (Glisczyński) Antoni*, PSB, VIII/1, z. 36, Wrocław–Kraków–Warszawa 1959, s. 70-72; W. Dworzaczek, *Gliszczyński Józef*, tamże, s. 73; W.M. Bartel, *Gliszczyński Maciej*, tamże, s. 73-74.

GRZESZCZAK.indd 22 12.11.2024 20:23:22



Antoni Sęp-Szarzyński. Portret ze zbiorów Zofii Stachowiak

generała majora, kierował organizacją pospolitego ruszenia na terenie dawnego województwa kaliskiego po wkroczeniu wojsk cesarza Napoleona na ziemie polskie w 1806 roku[20]. Prof. Stanisław Karwowski podkreśla, że jako dowódca kawalerii z województwa kaliskiego generał Gliszczyński był osobą nieposzlakowaną moralnie i przestrzegającą prawa, a pozostające pod jego komendą oddziały otrzymały kategoryczny nakaz dobrego obchodzenia się z ludnością cywilną i płacenia za wszystko gotówką[21]. Po upadku Napoleona Jan Gliszczyński poświęcił się sądownictwu, najpierw jako sędzia pokoju, a następnie sędzia Sądu Najwyższego. Jego działalność została zauważona przez cara Aleksandra I, który uhonorował go orderem św. Stanisława I klasy. Jak podaje „Kurier Warszawski" we wspomnieniu pośmiertnym: „Wróciwszy dla sił zwątlonych do zacisza domowego, i tu śp. Jan Glisczyński, nie przestawał być użytecznym kraiowi i społeczeństwu. Nazwany weteranem dawnego sądownictwa, zwaśnionych obywateli godził, ważne kompromisy ostatecznie rozsądzał, a nawet na żądanie stron Sądom zagranicznym w wątpliwem tłumaczeniu praw dawnych swe zdanie objawiał, które były dla obu wyrocznią. Szlachetny i dobroczynny w każdym swym czynie, najlepszy Ojciec, prawy Przyiaciel, wzorowy sąsiad, Opiekun sierot i nieszczęśliwych, zostawił po sobie nieutulony żal pozostałych dzieci, krewnych, przyjaciół, sąsiadów i całego znajomego mu ludu"[22]. Ojciec Heleny Zygmunt Gliszczyński (1827-1906) angażował się w działalność kaliskiego oddziału Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, a jego zięć został w 1878 roku radcą tamtejszej dyrekcji szczegółowej.

Antoni i Helena Sęp-Szarzyńscy zamieszkali w Szymanowicach i doczekali się czwórki dzieci: córek Anieli, Haliny i Reginy oraz syna Michała. Dnia 8 kwietnia 1879 roku po ciężkiej chorobie Antoni zmarł, pozostawiając 27-letnią wdowę z małymi dziećmi[23]. Wydaje się, że Helena, z pomocą swoich rodziców, w pełni i odważnie podjęła wyzwania, jakie postawiła przed nią nowa i trudna sytuacja. Do końca życia pozostała wdową, koncentrując się przede wszystkim na wychowaniu dzieci i zapewnieniu im przyszłości w zgodzie z panującymi wówczas ziemiańskimi standardami, nie zapominając o wychowaniu patriotycznym i szlachetnym wyrafinowaniu, którego sama była przykładem. Z wykonanej około 1870 roku w pracowni *Gebrüder Siebe* portretowej fotografii spogląda młoda i piękna kobieta o melancholijnym

[20] Zob. „Gazeta Poznańska", 6.12.1806, nr 103; B. Gembarzewski, *Wojsko Polskie. Księstwo Warszawskie 1807-1814*, Warszawa 1905, s. 293-294; J. Staszewski, *Kaliski wysiłek zbrojny 1806-1813*, Kalisz 1931, s. 17-18.

[21] Zob. S. Karwowski, *Historia Rodu Leszczyców z Radolina Radolińskich*, tłum. B. Górczyńska-Przybyłowicz, Jarocin 2010, s. 190.

[22] „Kurier Warszawski", 21.05.1840, nr 134, s. 642-643.

[23] Zob. „Dziennik Poznański", 23.04.1879, nr 93.

GRZESZCZAK.indd 24 12.11.2024 20:23:23

wyrazie twarzy[24]. Helena, sama wywodząca się z dwóch znaczących wielkopolskich rodów, przez matkę ze Skórzewskich, a przez ojca ze wspomnianych wyżej Gliszczyńskich, pragnęła z pewnością, by jej dzieci zajęły porównywalną pozycję w hierarchii społecznej. Nie ulega wątpliwości, że służyły temu plany matrymonialne, których finałem były śluby jej najstarszych córek i syna.



Irena z Sęp-Szarzyńskich Spychałowa – biografia XX-wieczna

Helena z Gliszczyńskich Sęp-Szarzyńska. Fot. ze zbiorów Magdaleny Unrug-Kuczery

Jako pierwsza wyszła za mąż urodzona w 1874 roku i druga według starszeństwa Halina, która 21 listopada 1898 roku poślubiła Franciszka Skórzewskiego, dziedzica pobliskiego Kretkowa. Liczący sobie wówczas 35 lat wybranek był absolwentem poznańskiego gimnazjum Bergera, miał też za sobą krótki epizod uniwersytecki w Krakowie[25]. Małżeństwo zostało zawarte w kaplicy Cudownego Obrazu na Jasnej Górze, uroczystość miała najprawdopodobniej charakter ściśle prywatny ze względu na żałobę, jaka panowała w obydwu rodzinach. Dnia 26 kwietnia 1898 roku zmarł ojciec pana młodego Hipolit, a 11 czerwca tego samego roku – babcia panny młodej Joanna ze Skórzewskich Gliszczyńska, będąca jednocześnie najstarszą siostrą zmarłego przeszło dwa miesiące wcześniej dziedzica Kretkowa.

We wspomnieniach Ireny z Sęp-Szarzyńskich Spychałowej jej ciotka Halina jawi się jako postać ambiwalentna. Abstrahując od narzucanego w Polsce po II wojnie światowej ideologicznego dyskursu, którego ofiarą padli ziemianie, we wspomnieniach nieżyjących już przedstawicieli lokalnej społeczności Halina Skórzewska była często przywoływana jako osoba wyniosła i bezduszna, świadoma przewag, jakie dawało jej szlacheckie pochodzenie. Osobny rozdział stanowiły uporczywie rozpowszechniane pogłoski o niewierności męża. Trwające trzydzieści lat małżeństwo z Franciszkiem

[24] Zdjęcie wykonano w lipskim atelier *Gebrüder Siebe* w Hôtel Stadt Dresden, Grimmaischer Steinweg 11 i 12.

[25] W I semestrze roku akademickiego 1883/84 Franciszek Skórzewski był studentem nadzwyczajnym na Wydziale Filozoficznym UJ – zob. *Corpus studiosorum Universitatis Iagellonicae in saeculis XVIII-XX, Tomus III:* S-Ś, red. K. Stopka, Kraków 2014, s. 320.

GRZESZCZAK.indd 25 12.11.2024 20:23:23

Irena z Sęp-Szarzyńskich Spychałowa Droga do domu



Zygmunt Gliszczyński. Fot. ze zbiorów Magdaleny Unrug-Kuczery

Skórzewskim pozostało bezdzietne, a po śmierci męża wdowa stanęła przed trudnym w czasach światowego kryzysu zadaniem prowadzenia dużego majątku ziemskiego. W 1929 roku zatrudniła w charakterze administratora Jana Spychałę, który kilkanaście lat później poślubił siostrzenicę swej chlebodawczyni, Irenę. Urodzony w 1894 roku we wsi Olbina koło Rawicza, administrator dóbr kretkowskich pochodził z rodziny chłopskiej. Po ukończeniu tamtejszej szkoły elementarnej pomagał ojcu w gospodarstwie. W 1914 roku został wcielony do niemieckiego wojska jako żołnierz jednostek łącznościowych. W 1918 roku zgłosił się jako ochotnik do odrodzonego wojska polskiego, w którym otrzymał polecenie zorganizowania plutonu łączności. Jako sierżant łączności wziął udział w Powstaniu Wielkopolskim, a jako żołnierz 69 pułku piechoty w wojnie polsko-bolszewickiej. W październiku 1920 roku został zwolniony ze służby i poświęcił się rolnictwu, najpierw jako praktykant, a następnie urzędnik gospodarczy w majątkach ziemskich[26]. W czasie okupacji Jan Spychała, który wcześniej cieszył się pełnym zaufaniem Haliny Skórzewskiej, pozostał przy swoich obowiązkach w majątku kretkowskim, zarządzanym przez niemieckiego powiernika Eberharda von Wagenhoffa.

Wydaje się, że po śmierci męża Halina Skórzewska zaczęła prowadzić bardziej intensywne życie duchowe, czego świadectwem jest niewielki tomik modlitw jej autorstwa, wydany drukiem w 1938 roku nakładem poznańskiej katolickiej oficyny wydawniczej „Ostoja"[27]. Modlitwy te są odzwierciedleniem jej stanu ducha, a zwłaszcza sa-

[26] Więcej na temat pracy Jana Spychały u Haliny Skórzewskiej w Kretkowie – zob. J. Grzeszczak, *Skórzewscy na Kretkowie. Sto czterdzieści cztery lata z życia wielkopolskiej rodziny ziemiańskiej*, w: *Kretków. Właściciele – zabytki – duszpasterze*, red. J. Grzeszczak, Poznań 2014, s. 59-62.

[27] Zob. H. Skórzewska, *„Przyjdźcie do mnie wszyscy". Modlitewnik*, Poznań 1938; J. Grzeszczak, *Skórzewscy na Kretkowie*, s. 64-67.

GRZESZCZAK.indd 26 12.11.2024 20:23:23

motności, w której ukojeniem było nabożeństwo do św. Antoniego. Ten święty orędownik przywoływał jej z pewnością zmarłego ojca, którego straciła w wieku zaledwie pięciu lat. Po wybuchu wojny pozostała w Kretkowie, który wkrótce został przejęty przez niemieckie władze okupacyjne, a w nocy z 25 na 26 października 1939 roku została wysiedlona najpierw do obozu przesiedleńczego w Cerekwicy, a następnie 9 grudnia wywieziona wraz z innymi mieszkańcami powiatu jarocińskiego do Opoczna w Generalnym Gubernatorstwie[28]. Zmarła w Białaczowie 22 lipca 1942 roku.



Irena z Sęp-Szarzyńskich Spychałowa – biografia XX-wieczna

Halina z Sęp-Szarzyńskich Skórzewska. Fot. ze zbiorów Magdaleny Unrug-Kuczery

Dnia 4 września 1900 roku stanął na ślubnym kobiercu jedyny syn Antoniego i Heleny z Gliszczyńskich. Wybranką urodzonego w 1876 roku Michała Sęp-Szarzyńskiego była Helena Szołdrska, córka Wacława i Stefanii z Kokczyńskich. Ceremonia kościelnych zaślubin odbyła się we wrocławskim kościele św. Wincentego[29], a przyjęcie weselne w hotelu Weisser Adler[30]. Urodzona w 1879 roku w Brosz-

[28]Zob. M. Rutowska, *Obóz przesiedleńczy w Cerekwicy (październik – grudzień 1939 r.). Wysiedlenia ludności polskiej z Wielkopolski do Generalnego Gubernatorstwa w latach II wojny światowej*, „Zapiski Jarocińskie. Kwartalnik społeczno-kulturalny ziemi jarocińskiej", 2005, nr 1, s. 28-52; *Wojenne tułaczki. Wspomnienia mieszkańców ziemi jarocińskiej wysiedlonych w latach 1939-1940*, red. I. Kaczmarek, R. Kaźmierczak, J. Szych, Jarocin 2023.

[29]Kościół przy Placu Biskupa Nankiera 15, obecnie katedra Eparchii Wrocławsko-Koszalińskiej Kościoła Greckokatolickiego. Średniowieczna fundacja księcia Henryka Pobożnego, którego ciało złożono w 1241 r. w tamtejszej krypcie. W latach 1884-1886 dokonano gruntownej renowacji wnętrza świątyni – zob. *Encyklopedia Wrocławia*, red. naukowa J. Harasimowicz, Wrocław 2000, s. 410.

[30]Hotel mieścił się w nieistniejącym obecnie budynku na rogu ulic Oławskiej i Łaciarskiej. W czerwcu 1848 roku, po kilkunastu latach rozłąki, spotkał się w nim Juliusz Słowacki z matką Salomeą Bécu. Uroczystości we Wrocławiu tak relacjonował „Dziennik Poznański": „W dniu 4 września r.b. pobłogosławił w kościele św. Wincentego przy placu Rycerskim o godzinie 5 po południu ks. kanonik Szołdrski z Poznania w asystencyi ks. dziekana Pągowskiego, proboszcza z Wyszanowa, związek małżeński panny Heleny Szołdrskiej z Torzeńca pod

GRZESZCZAK.indd 27 12.11.2024 20:23:24



Michał Sęp-Szarzyński. Fot. ze zbiorów Zofii Stachowiak

GRZESZCZAK.indd 28 12.11.2024 20:23:25



Helena z Szołdrskich Sęp-Szarzyńska. Fot. ze zbiorów Zofii Stachowiak



Aleksandra z Taylorów Szołdrska (1870).
Fot. ze zbiorów Zofii Stachowiak



Ks. Kazimierz Szołdrski.
Fot. ze zbiorów Zofii Stachowiak

kach koło Sieradza Helena wywodziła się ze znakomitego wielkopolskiego rodu, którego przedstawiciele piastowali w XVII i XVIII wieku godności biskupów, kasztelanów i wojewodów, dzierżąc jednocześnie w swoich rękach ogromne fortuny. XIX-wieczni Szołdrscy byli już jednak zaledwie cieniem dawnej przeszłości. Ojciec Heleny, dziedzic Torzeńca i Broszek, był jednym z dziewięciorga dzieci Władysława Szołdrskiego (1814-1904) i Aleksandry z Taylorów (1819-1871), której przodkowie na początku XVII wieku przybyli do Polski ze Szkocji. Dwaj jego bracia poświęcili się karierze adwokackiej i lekarskiej, a najstarszy Kazimierz (1843-1904) wstąpił do seminarium duchownego w Poznaniu, studia teologiczne odbył w Rzymie, a święcenia kapłańskie otrzymał w 1867 roku z rąk abpa Mieczysława

Kępnem z panem Michałem Sęp-Szarzyńskim, oficerem wojsk rosyjskich i obywatelem dóbr ziemskich Szymanowice w guberni kaliskiej. Kościół był bogato przybrany w kwiaty i cały dywanami wyłożony, zaś chór artystów śpiewaków, wykonany po mistrzowsku śpiew kościelny, przyczynił się niemało do upiększenia uroczystości. Gody weselne odbyły się w najbliższem gronie familijnem na Sali hotelu pod «Białym orłem». Szczęść Boże młodej i nadobnej parze!" – „Dziennik Poznański", 6.09.1900, nr 203.

Ledóchowskiego. Pełnił posługę penitencjarza i kaznodziei w katedrze poznańskiej, w uznaniu zasług dla Kościoła otrzymał godność szambelana papieskiego, a w 1892 roku został mianowany kanonikiem Kapituły Metropolitalnej w Poznaniu[31].

Nowożeńcy zamieszkali na kilka lat w majątku Sęp-Szarzyńskich w Szymanowicach. W 1905 roku zabór rosyjski ogarnęła fala strajków i gwałtownych wystąpień przeciwko władzy carskiej, które nie ominęły Szymanowic. We wsi została zorganizowana manifestacja, której uczestnicy nieśli chorągwie i śpiewali pieśni patriotyczne. Kozacy z placówki granicznej w pobliskim Czołnochowie zamierzali brutalnie rozpędzić zgromadzenie, ale w ostatniej chwili powstrzymał ich zdecydowany rozkaz Michała Sęp-Szarzyńskiego, oficera carskiej armii[32]. Pobyt małżeństwa w Szymanowicach nie trwał zbyt długo, ponieważ Michał podjął decyzję o sprzedaży swoich rodzinnych dóbr i nabyciu podkaliskich Szczytnik. Szymanowice zostały sprzedane, a część gruntów rozparcelowano.

Położone przy szosie prowadzącej z Kalisza do Błaszek, a dalej do Sieradza i Łodzi dobra szczytnickie, w XVIII wieku siedziba znamienitego rodu Łubieńskich, zajmowały w 1886 roku ogółem 2387 mórg[33]. W 1911 roku Michał Sęp-Szarzyński nabył ich podstawową część, płacąc 200 000 rubli[34]. Dziedzic zabrał się za przebudowę tamtejszej siedziby, której główny element stanowiła XVIII-wieczna obszerna oficyna, przekształcona w pierwszej połowie XIX wieku w dwór. Wkrótce jego korpus główny wzbogacił się o elegancki półkolisty ryzalit frontowy oraz człon zwany oranżerią[35]. Jeśli dodać do tego założony XVIII wieku park krajobrazowy z prawie hektarowym stawem i wyspą, to siedziba Sęp-Szarzyńskich prezentowała się okazale, zapewniając wygodę i pełen atrakcji wypoczynek. Kilka informacji na temat szczytnickiej posiadłości Sęp-Szarzyńskich w czasach jej rozkwitu znaleźć można w obejmujących lata 1913--1930 wspomnieniach Leona Taylora, dalekiego krewnego Heleny

[31]Zob. „Gazeta Grudziądzka", 21.07.1904, nr 87. Kazimierz Szołdrski nie był jedynym duchownym wywodzącym się z tej rodziny. Jego owdowiały i sędziwy już ojciec Władysław poślubił swoją gosposię Annę Janiak, która urodziła mu syna Władysława (1884-1971), późniejszego redemptorystę, historyka Kościoła i bibliotekarza – zob. M. Brudzisz, *Szołdrski Władysław Wojciech, krypt. O.R.*, https://www.ipsb.nina.gov.pl/a/biografia/wladyslaw-wojciech-szoldrski-redemptorysta [dostęp: 26.02.2024].

[32]Autor korzysta z okazji, by podziękować za tę informację Panu Stanisławowi Mrowińskiemu z Szymanowic.

[33]Zob. *Majątki wielkopolskie, t. VI: Powiat kaliski*, oprac. S. Małyszko, Szreniawa 2000, s. 232.

[34]Zob. tamże, s. 231.

[35]Zob. tamże, s. 233.

GRZESZCZAK.indd 31 12.11.2024 20:23:28

z Szołdrskich, który jako dziecko chętnie spędzał tam wakacje[36]. L. Taylor wspomina, że jego ciotka Helena z pasją zajmowała się hodowlą kwiatów, z których układała bukiety, a w parku znajdował się „staw zarybiony karpiami, które czasem wolno nam było łowić na wędkę, a na stawie łódka, z której często korzystaliśmy, wiosłując z zapałem. Jednym słowem mały raj [...] Atmosfera domu była przyciągająca, odległość od Poznania niewielka. Przyjeżdżaliśmy więc do Szczytnik jak najczęściej i z wielką radością. Dodatkową atrakcją był wuj Ignacy Szołdrski, po sprzedaży swego majątku rezydent u ciotki, mieszkający w gorzelni po drugiej stronie szosy. Urodzony w 1860 r. był tak żywotny, że jeździł rowerem na kilkudziesięciokilometrowe eskapady. Miał gramofon z olbrzymią tubą i dużo płyt *His Masters Voice*, a także płyty na ówczesne czasy bardzo nieprzyzwoite, np. *Raz się zdarzyło Jadwidze, gdy poszła do lasu na rydze...* i *Huśtaj mnie, huśtaj, kochanie...*"[37].

W 1902 roku przyszedł na świat w Szymanowicach jedyny syn Sęp-Szarzyńskich Zbigniew, a zarazem pierwszy wnuk Heleny z Gliszczyńskich. Michał Sęp-Szarzyński zmarł 7 stycznia 1916 roku w wieku 39 lat, a osiem lat później wdowa straciła ukochanego syna, który 15 stycznia 1924 roku podczas polowania w Komorzu w powiecie jarocińskim odebrał sobie życie. Dynamika zdarzenia, które ze zrozumiałych względów odbiło się sto lat temu szerokim echem w środowisku rodzinnym i towarzyskim, pozwala twierdzić, że u podstaw tak dramatycznej decyzji stały problemy sentymentalne, które doprowadziły młodego Sęp-Szarzyńskiego do szukania rozstrzygnięcia w tzw. pojedynku amerykańskim[38]. Zbigniew studiował rolnictwo na Uniwersytecie Poznańskim i był oczywistym kandydatem

[36] Zob. L. Taylor, *Wspomnienia, lata 1913-1930*, mps w zbiorach Zofii Stachowiak. Leon Taylor (1913-2000), s. Edwarda, twórcy tzw. poznańskiej szkoły ekonomicznej, i Wandy z Wybranowskich, był poznańskim prawnikiem; zaangażowany w NSZZ „Solidarność", członek Trybunału Stanu w latach 1991-1993.

[37] Zob. tamże, s. 23. Ignacy Szołdrski (1860-1955), s. Władysława i Aleksandry z Taylorów, właściciel majątku Broszki. Po II wojnie światowej zamieszkał w domu starców przy ul. Sielskiej w Poznaniu; pochowany w rodzinnym grobowcu Szołdrskich w Jaszkowie w powiecie śremskim.

[38] W art. 379 *Polskiego Kodeksu Honorowego* kpt. Władysław E. Boziewicz (1886-1946) tłumaczy, że: „Pojedynkiem amerykańskim nazywamy pojedynek, w którym o życiu i śmierci przeciwników lub o nadaniu jednemu z nich w jakikolwiek sposób widocznej przewagi podczas walki – decyduje los (np. pojedynek nakazujący przeciwnikowi wyciągającemu los popełnienie samobójstwa, lub w którym los rozstrzyga, który z przeciwników posługiwać się będzie bronią nabitą, a który nienabitą itp.). Pojedynki amerykańskie są aktem niehonorowym, nie mającym nic wspólnego z odwiecznemi zasadami honoru i ściągają niehonorowość na wszystkie osoby biorące w nich udział" – W. Boziewicz, *Polski Kodeks Honorowy*, Warszawa–Kraków [b.r.w.], s. 103-104.

GRZESZCZAK.indd 32 12.11.2024 20:23:28



Michał Sęp-Szarzyński z żoną, synem Zbigniewem i teściową Stefanią z Kokczyńskich Szołdrską.
Fot. ze zbiorów Zofii Stachowiak



Ignacy Szołdrski.
Fot. ze zbiorów Zofii Stachowiak



Zbigniew Sęp-Szarzyński.
Fot. ze zbiorów Zofii Stachowiak

do przejęcia Szczytnik po matce, a podobne plany mieli wobec niego także bezdzietni Skórzewscy z Kretkowa[39].

Pewien wgląd w bolesną rzeczywistość, jakiej Helena Sęp-Szarzyńska doświadczyła po tragicznej śmierci syna Zbigniewa, umożliwiają przywołane wyżej wspomnienia Leona Taylora. Jeszcze za życia Zbigniewa Taylorowie wznowili kontakty rodzinne z ich krewną ze Szczytnik, a osamotniona po 1924 roku ciotka Helena chętnie gościła ich w swoim majątku. Jak wspomina Leon Taylor: „Ciotka była bardzo czynna w parafialnych stowarzyszeniach katolickich (parafia Iwanowice) i nie szczędziła grosza na cele społeczne. Głównie jej sumptem został postawiony w Szczytnikach na skrzyżowaniu szosy Sieradz – Kalisz z drogą do Iwanowic pomnik ks. Augustyna Kordeckiego, przeora OO. Paulinów w Częstochowie w czasie Potopu, a pochodzącego z Iwanowic”[40]. Autor wspomnień podkreśla jej „spo-

[39] Informacja od p. Zofii Stachowiak.

[40] L. Taylor, *Wspomnienia*, s. 22. Pomnik o. Augustyna Kordeckiego został poświęcony 30.10.1938 r. przez Prymasa Polski kard. Augusta Hlonda w obecności marszałka Edwarda Rydza-Śmigłego i bpa polowego Józefa Gawliny. Zniszczony przez Niemców w czasie okupacji, został odbudowany i poświęcony w 1982 r. w ramach uroczystości 600-lecia Jasnej Góry.

GRZESZCZAK.indd 34 12.11.2024 20:23:28

kój wewnętrzny i wielką kulturę współżycia", a także macierzyńskie wręcz uczucia, jakie żywiła zarówno do niego i jego młodszego rodzeństwa, jak i do Ireny i Michała Sęp-Szarzyńskich, przy czym – jak twierdzi – „Irka była jej chyba najbliższa"[41].

Najstarsza córka Antoniego i Heleny z Gliszczyńskich, urodzona w 1872 roku Aniela, wyszła za mąż 30 kwietnia 1902 roku. Jej ślub z Tadeuszem Niegolewskim h. Grzymała, wnukiem słynnego płka Andrzeja (1787-1857), doczekał się dość szczegółowej relacji z „Dzienniku Poznańskim":



Irena z Sęp-Szarzyńskich Spychałowa – biografia XX-wieczna

Aniela z Sęp-Szarzyńskich Niegolewska. Fot. ze zbiorów Zofii Stachowiak

Dnia 30 kwietnia pobłogosławionym został w kościele św. Mikołaja w Kaliszu związek małżeński pomiędzy panem Tadeuszem Grzymała -Niegolewskim, inżynierem stale zamieszkałym w guberni wiatskiej, synem ś.p. Kazimierza Niegolewskiego z Włościejewek i Heleny z Skórzewskich, a panną Anielą Sęp-Szarzyńską, córką ś.p. Antoniego i Heleny z Gliszczyńskich. Młodą parę węzłem małżeńskim połączył krewny panny młodej, serdeczny przyjaciel obu rodzin i szkolny kolega młodego pana, ksiądz proboszcz St. Bogdański z Mielżyna w asystencyi księdza kanonika Sobczyńskiego z Kalisza i innych kilku księży.

Sympatya i poważanie, jakich rodzina panny młodej zażywa w Kaliszu, znalazła wyraz dobitny w zgromadzeniu w kościele tak wielkiem, że trudno przecisnąć się było można.

Po uroczystości kościelnej orszak weselny udał się do hotelu Berlińskiego, gdzie dziadek i matka młodej panny podejmowali swych gości z prawdziwie staropolską gościnnością.

Pomiędzy uczestnikami zauważyliśmy siedmiu Niegolewskich, wnuków sławnego bohatera z pod Somo-Sierry, przedstawicieli rodów Gliszczyńskich, Szarzyńskich, Skórzewskich, Czapskich, Magnuskich, Kuczborskich, Ostrowskich, Wężyków, Szymanowskich, Wilczyńskich, Grabowskich, Bogdańskich, Rekowskich, Zielonackich, Urbanowskich, Jezierskich etc.

[41] Zob. tamże, s. 23.

GRZESZCZAK.indd 35 12.11.2024 20:23:30

Znając zacność obu rodzin, wierzymy, że młoda para w stale serdecznym pożyciu, idąc śladami wielkich przodków, chlubnie zajaśnieje na naszej niwie i chociaż oddalona miejscem tak bardzo od rodzinnych stron, wierna tradycyi narodowej, nie zatraci związku z tem, co w kraju pozostawia.

Rękojmią szczęścia dla nowożeńców będzie zapewne błogosławieństwo przesłane przez J.E. Kardynała Ledóchowskiego i Najprzewielebniejszego ks. Arcybiskupa Stablewskiego. Zaznaczyć wypada także, że pomiędzy mnóstwem życzeń przysłanych młodej parze z bliska i z daleka, karty o znanych formularzach, zwłaszcza od znajomych z Księstwa, bardzo licznie były reprezentowane[42].

Szczęść im Boże w jak najdłuższe lata![43]

Po ślubie nowożeńcy wyjechali na Ural, gdzie Tadeusz Niegolewski pracował na kierowniczych stanowiskach w tamtejszym przemyśle ciężkim[44]. Pożycie obojga nie ułożyło się i Aniela wróciła w swoje rodzinne strony; w okresie międzywojennym zamieszkała u swojej siostry Haliny w Kretkowie. Zmarła na wygnaniu w Generalnym Gubernatorstwie 15 maja 1943 roku i w ten sposób, jako pierworodna córka Antoniego i Heleny z Gliszczyńskich, przeżyła swoje młodsze rodzeństwo[45]. Jednym z niewielu namacalnych śladów tej familijnej historii jest zachowany w dobrym stanie grobowiec zmarłej 18 września 1925 roku Heleny z Gliszczyńskich Sęp-Szarzyńskiej przy kościele parafialnym w Kretkowie[46]. Niewielki i estetyczny w szczegółach budyneczek z trójkątnym tympanonem z Okiem Opatrzności

[42] Mowa o popularnych w Wielkopolsce na przełomie XIX i XI wieku „telegramach kościuszkowskich", wydrukowanych po raz pierwszy dla uczczenia setnej rocznicy powstania z 1794 r. w poznańskim zakładzie Antoniego Rose – zob. *Telegramy kościuszkowskie. Zapomniane dokumenty patriotyzmu polskiego (1895--1939). Katalog wystawy*, Toruń 1995; *Telegramy Kościuszkowskie*, opr. J. Aleksiński, Poznań 2003.

[43] „Dziennik Poznański", 5.05.1902, nr 103.

[44] Zob. Гржимала-Неголевский Фаддей Казимирович (горный инженер) – Tadeusz Niegolewski h. Grzymała (inżynier górniczy), https://rodnaya-vyatka.ru/forum/109044. Mąż Anieli pozostał w Rosji również po rewolucji październikowej i zmarł w styczniu 1932 r. w Swierdłowsku. Nekrolog w prasie wielkopolskiej ukazał się dopiero 17 marca – zob. „Kurier Poznański", 17.03.1932, nr 126.

[45] We wspomnieniach nieżyjących już parafian z Kretkowa, a należała do nich m.in. matka autora Marianna Grzeszczak, zachował się charakterystyczny dla minionych czasów obraz dwóch sióstr – Haliny Skórzewskiej i Anieli Niegolewskiej, które zasiadały w czasie mszy w ławce kolatorskiej Skórzewskich po prawej stronie prezbiterium, w pobliżu ołtarza

[46] Zob. J. Grzeszczak, R.F. Zaręba, *Domus Skórzewsciana. Zespół zabytkowych grobowców i nagrobków przy kościele parafialnym w Kretkowie*, w: *Kretków. Właściciele – zabytki – duszpasterze*, s. 227-228. Na połaci dachowej od strony północnowschodniej wyryto datę 3.06.1926 oraz nazwisko Komorowski, upamiętniające najprawdopodobniej budowniczego obiektu.

GRZESZCZAK.indd 36 12.11.2024 20:23:30



Tadeusz Niegolewski.
Fot. ze zbiorów autora



Pałac Skórzewskich w Kretkowie. Fot. ze zbiorów Zofii Stachowiak



Helena z Gliszczyńskich Sęp-Szarzyńska (1916). Fot. ze zbiorów Zofii Stachowiak



Grobowiec Heleny z Gliszczyńskich Sęp-Szarzyńskiej w Kretkowie. Fot. J. Grzeszczak

kryje w sobie dobrze zachowaną metalową trumnę z ciałem zmarłej w Kretkowie Heleny. Rzut oka na wnętrze obiektu pozwala stwierdzić, że betonowa posadzka została wylana powyżej poziomu gruntu, a w środku zostało przygotowane miejsce dla dwóch kolejnych pochówków, na posadzce oraz na metalowym ruchomym stelażu, przytwierdzonym do ściany grobowca. Być może Halina Skórzewska, zamawiając wykonanie grobowca, miała nadzieję, że zarówno ona, jak i jej siostra Aniela spoczną któregoś dnia wraz z matką, a spokoju ich doczesnych szczątków już nic nie zakłóci, nawet woda, która pojawiała się we wnętrzu stojącego nieopodal przysadzistego grobowca Skórzewskich, o czym świadczą cegły, na których po dziś dzień stoi trumna z ciałem jej zmarłego w 1928 roku męża Franciszka. Przyszła przecież na świat w Szymanowicach nad Prosną, która od wieków dawała o sobie znać w czasie wiosennych roztopów.

1.2. Mrzonki i sukcesy

Wróćmy jednak do Obór. W drugiej połowie XIX wieku w skład tych dóbr wchodziły dwa folwarki, czyli Obory i Wronów, oraz trzy wsie: Obory, Wronów i Kolonia Oborska, w których w 1880 roku mieszkało przeszło 900 osób[47]. Folwarki Obory i Wronów obejmowały wtedy łącznie 1144 morgi. Założenie dworskie po północno-zachodniej stronie drogi z Niniewa do Gizałek, obejmowało dworek w parku krajobrazowym, rozciągającym się w kierunku doliny Prosny, i zespołu folwarcznego składającego się z czworobocznego podwórza pomiędzy wspomnianą wyżej drogą i parkiem oraz kolonii domów robotników folwarcznych wzdłuż drogi w kierunku północno-zachodnim[48]. Pod koniec XIX wieku dobra Obory były własnością wspomnianego już Władysława Sęp-Szarzyńskiego, męża Otylii z Broniszów. Sęp-Szarzyńscy mieli jedyną córkę Marię, która cierpiała na chorobę umysłową i przebywała w zakładzie zamkniętym[49]. W 1903 roku Władysław zmarł, a oddany w dzierżawę majątek bardzo podupadł. Około 1910 roku pojawiają się w Oborach rodzice Ireny. Najmłodsze dziecko Antoniego i Heleny z Gliszczyńskich, córka Regina, urodziła

[47] Zob. *Słownik geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich*, t. VII, s. 342.

[48] Zob. *Majątki wielkopolskie, t. II, Powiat pleszewski*, oprac. S. Małyszko, Ł. Gajda, Szreniawa 1994, s. 122.

[49] Zob. MM, s. 21. Po śmierci Marii w 1921 r. spadek po niej przeszedł po połowie na Wacława i Wiktora – dwóch synów jej zmarłego 18.06.1922 r. stryja Przemysława, oraz na krewnych ze strony matki. Zarówno Broniszowie, jak i Wacław Sęp-Szarzyński sprzedali swoje prawa spadkowe Wiktorowi, który ostatecznie w 1925 r. stał się właścicielem Obór.

GRZESZCZAK.indd 39 12.11.2024 20:23:34

Irena z Sęp-Szarzyńskich Spychałowa Droga do domu



Otylia z Broniszów Sęp-Szarzyńska. Fot. ze zbiorów Zofii Stachowiak

się w 1878 roku w Szymanowicach. Dnia 20 lipca 1907 roku poślubiła w kościele św. Mikołaja w Kaliszu swojego kuzyna Wiktora Sęp-Szarzyńskiego (1878-1935), syna Przemysława i Lucyny z Dłużniakiewiczów. Mąż Reginy urodził się w należącym do ojca niewielkim majątku Rakowice, obecnie w powiecie sieradzkim.

Po ślubie małżonkowie zamieszkali w Łodzi i tam dnia 24 października 1908 roku urodziło się ich pierwsze dziecko – córka Irena. Wkrótce przeprowadzili się do Sieradza, a następnie wzięli w dzierżawę podupadłe Obory[50]. Wspomina Irena:

> Ojciec wziął w dzierżawę rodzinny nasz majątek Obory, który należał do córki jego stryja Władysława, chorej umysłowo i znajdującej się w jakimś zakładzie w Poznańskiem. Poprzedni dzierżawca nie dbał o ten majątek i doprowadził go do opłakanego stanu. Rodzice więc, którzy posiadali duże poczucie estetyki, szczególnie Matka, boleli bardzo nad warunkami, w jakie się dostali. Obory bowiem były nie tylko zaniedbane do najwyższego stopnia, ale były też istną pustynią. Jedynymi sąsiadami byli chłopi, którzy okradali majątek w niemiłosierny sposób, i wzbogaceni koloniści niemieccy. W kilku bliższych majątkach byli ludzie niepewnego pochodzenia i o nieciekawej opinii. Wzięli się tedy rodzice do zupełnego przekształcenia Obór.

[50] Przed ślubem Wiktor Sęp-Szarzyński odbył służbę wojskową w carskim pułku dragonów. Nie znamy miejsca dokładnego przydziału, najprawdopodobniej w Kaliszu, gdzie stacjonował m.in. 15. Aleksandryjski Pułk Dragonów. Nie udało się też ustalić, czym zajmował się Wiktor Sęp-Szarzyński w okresie pomiędzy ślubem z Reginą i przybyciem do Obór. Wierszowany życiorys Ireny, spisany przez nią wiele lat później, informuje, że rodzice po miesiącu od jej narodzin opuścili Łódź i zamieszkali w domu z ogrodem w Sieradzu. W tamtejszej parafii Irena została ochrzczona 30.05.1909 r. Wiejskie realia, z jakimi mamy do czynienia w opisie, sugerują, że Wiktor Sęp-Szarzyński był najprawdopodobniej dzierżawcą lub administratorem dóbr ziemskich – zob. Irena z Sęp-Szarzyńskich Spychałowa, *Życiorys* (mps w zbiorach Zofii Stachowiak).

GRZESZCZAK.indd 40 12.11.2024 20:23:34



Regina Sęp-Szarzyńska (ok. 1880).
Fot. ze zbiorów Zofii Stachowiak



Wiktor Sęp-Szarzyński (siedzi trzeci od lewej) w otoczeniu rosyjskich dragonów.
Fot. ze zbiorów Zofii Stachowiak

> Dzięki ich pracowitości i energii prędko dokonali ogromnych zmian. Obory w krótkim czasie stały się wcale miłym i zacisznym kątem. Chociaż Matka pragnęła się zawsze z nich wyprowadzić, jednakże ja pokochałam je całym sercem i moim jedynym pragnieniem było, aby ojciec je kupił[51].

W 1912 roku urodziło się drugie dziecko Wiktora i Reginy, syn Michał. Irena zaczęła swoją edukację od nauki domowej, choć jej wyniki dalekie były od satysfakcjonujących:

> W domu, pomimo starań rodziców, nic się nie uczyłam, ciągle się zmieniały nauczycielki (było ich sześć) i siliły sobie głowy, aby wlać mi trochę rozumu, ale na próżno. Myśl moja była zajęta wyłącznie kurami, kaczkami, źrebakami i w ogóle wszystkim, co się nie tyczyło nauki. Rano wstawałam o piątej, wykradałam klucz od spichlerza i wynosiłam pełne fartuchy pszenicy dla drobiu, po czym znikałam, bo zbliżała się godzina lekcji. Gdy już zdołali mnie złapać i przysadzić na miejscu, myśl i duch mój zostawały gdzie indziej, albo w kurniku, albo w oborze, albo w stajni. Ciało tylko, i to obfite, siedziało przy stole. Zamiast słów nauczycielki, słyszałam szczekanie psa albo gdakanie kury. Strasznie się nudziłam na tych lekcjach, bo nigdy nic nie umiałam i z upragnieniem czekałam pory obiadowej. Gdy służąca wchodziła prosić na obiad, zdawało mi się, że to anioł komunikuje mi o moim zbawieniu[52].

Ostatecznie sama Irena określała się wtedy jako osoba „głupia, dzika i nieznośna"[53]. Z przyswojonej sobie w domu wiedzy zdawała co roku egzamin w szkole sióstr nazaretanek w Kaliszu. Kiedy nie zdała do trzeciej klasy, rodzice postanowili oddać ją do tej kaliskiej szkoły z internatem. Irena mieszkała pół roku u sióstr, a następnie przeniosła się do dziadków ze strony ojca, u których bliżej poznała, czym jest życie: „[...] tam się poznałam z przykrościami prawdziwymi, jakimi jest życie przeplecione radościami i smutkami"[54]. W szkole sióstr nazaretanek w Kaliszu uczyła się trzy lata. Wkrótce, w 1922 roku zmarł dziadek Ireny, a niebawem babcia Lucyna zapadła na raka krtani i po ciężkich cierpieniach zmarła wiosną następnego roku. Rodzice zabrali córkę do domu, by kontynuowała naukę w gimnazjum w Pleszewie. Po nieudanym podejściu do egzaminu do klasy piątej gimnazjum, od września 1923 roku rozpoczęła naukę w klasie czwartej. Bardzo głęboko przeżyła śmierć matki 26 listopada 1923 roku i od tego momentu weszła w stan kryzysu egzystencjalnego,

[51] MM, s. 21-22.
[52] Tamże, s. 22-23.
[53] Zob. tamże, s. 26.
[54] Zob. tamże.

GRZESZCZAK.indd 42 12.11.2024 20:23:35

który objawił się zniechęceniem do życia i pracy. W tym czasie jedynym świadkiem przeżywanych emocji był pamiętnik nastolatki:

> Jak ja mogę żyć na tym świecie, kiedy ja go nie rozumiem, nie mogę go pojąć. Co tu mówić o świecie, kiedy ja nie rozumiem nawet osób, w kółku tak małym jak nasza rodzina. Często nie rozumiem ojca, brata, a co dopiero mówić o wszystkich ciotkach i wujach. Wiem, że ja ze swoimi poglądami i zapatrywaniami na życie będę nieszczęśliwa i ja chyba pójdę pod górę osobną dróżką, a nie wysokim gościńcem. A ścieżka niewydeptana jest niewygodna i często przykra, i boję się, żeby na niej nie upaść, bo któż mi rękę poda? A wiem, że droga moja będzie prosta, ale pusta, będą tam tylko kolce, jako uprzyjemnienie drogi. Mnie każdy rozumie inaczej, a nie tak, jak ja siebie rozumiem. Jakbym z każdym chciała żyć szczerze, zrastać się duchowo. No cóż, kiedy nikt nie rozumie miłości bez pieniędzy, niematerialnej. Nawet taka osoba, która posiada tyle idealizmu i subtelności, jak ta (ciotka) kobieta. Jako dowód miłości dla mnie daje mi pieniądze i gdy ja ich od niej nie przyjmuję, gniewa się na mnie. Dla mnie w przyjmowaniu pieniędzy jest coś żebraczego, a ja przecież nie jestem kaleką niezdolną do pracy. Przecież ja bym chciała pracować, nawet dla innych. Choćby się mieli wszyscy do mnie zrazić i miałabym zostać sama, nie pokłonię się nigdy złotemu cielcowi, który rządzi światem. Dla mnie jest jeden Król Bóg, który nie każe się kłaniać misce z jadłem, tylko cnocie i szlachetności, choćby się ona mieściła pod łachmanami[55].

W refleksjach Ireny nie brak prób zmierzenia się z własnym szlacheckim środowiskiem i jego mentalnością. W czerwcu 1927 r. przebywała dwa tygodnie w Szczytnikach i tak podsumowała pobyt u ciotki Heleny Sęp-Szarzyńskiej:

> Nudzi mnie już cały ten przepych, z tą bezgraniczną „etykietą". To nie jest świat w moim guście, za wielka bezczynność. Chociaż ja pracowitością nie grzeszę, już mi tu dopiekło. Czuję się obca wśród przepychu. Przywykłam od urodzenia do skromnego otoczenia i w nim się czuję najszczęśliwsza. Jakie ta ciocia ma wspaniałe i śmieszne pomysły, chce mnie zabierać gdzieś do Włoch, czy też do innego diabła. I ciekawam, za co bym jechała. Przecież ojciec jest w takich warunkach, żebym wolała umrzeć, jak od niego brać pieniądze. Zresztą, on przez całe życie pracował i nie miał nigdy żadnych przyjemności, to ja powinnam starać się, aby chociaż na starość miał wygodę, a nie kosztem jego pracy bawić się. Jak sobie mam co kupić, to już mam wielkie skrupuły, a co dopiero na przyjemności... Dziś do ciotki przyjechali goście, od których, nawiasem mówiąc, uciekłam po cichutku. Znalazłam się w głupim położeniu, bo ukazały mi się baby okurtyzowane od góry do dołu prezentujące swoje grube łydki. Patrząc z tyłu, myślę

[55] Tamże, s. 32-33.

GRZESZCZAK.indd 43 12.11.2024 20:23:35

Irena z Sęp-Szarzyńskich Spychałowa Droga do domu



Wiktor Sęp-Szarzyński z synem Michałem. Fot. ze zbiorów Zofii Stachowiak

sobie, pewnie jakaś młoda mężatka, trochę niezgrabna, ale to mniejsza, pewnie będzie miała ładną młodą twarzyczkę, a tu... O zgrozo!!! Gęba pomarszczona jak stara pomarańcza, z nosem jak flinta. Druga znowu bada człowieka przymrużonymi ślepiami od stóp do głów. Małpy paskudne. Ta niby pani Zosia od biedy ujdzie, ale bestia jazgocze, jak pokojowa suczka, aż mnie uszy bolały. Jej mąż robi na mnie wrażenie człowieka mądrego, poważnego i w ogóle takiego, jak sobie ludzi tego stanu wyobrażałam. Wąsalowi się nie przypatrywałam. Ale już miałam dosyć tak krótkich łbów. Widocznie jestem jeszcze za mało cywilizowana. Swoją drogą doceniam nasze Obory, bo tam miło jak w grobie. Bywają u nas tylko antyczni wujostwo Skórzewscy, my u nich i na tym koniec. Nie ma, jak spokojne życie. Bogu dziękuję, że ojciec nie ma tych wszystkich lokai, którzy stoją nad człowiekiem jak kat, nie można spokojnie wysiedzieć, bo już człowieka wyciąga, itd., tych powozów na gumach, gdzie dusza człowiekowi (to znaczy mnie) piszczy na kozioł do pozwożenia, a tu siedź i patrz się na plecy furmana, bo tak wypada. Ależ mnie ciocia unieszczęśliwia tym wszystkim. To tak jakby modrak, albo inny polny chwast wsadzili pomiędzy kaktusy, cytryny czy inne diabły [...] Ten świat, do którego należy moje nazwisko, jest stary, brodaty, pleśnią zamknięty i sztuczny. Jest to świat wielkich mamutów z wielkim herbem na czole, lubujących się w tytułach, szanujący stare poglądy i przesądy. Człowiek bez herbu to nie człowiek. Mniejsza o życie herbowego, bo za tarczą herbu, no i workiem pieniędzy wszystko się ukryje, choćby największe brudy[56].

Trwający pięć lat pobyt na stancji w Pleszewie był dla Ireny okazją do zetknięcia się z nieznanym jej dotychczas światem drobnomieszczańskim, który próbowała opisać jako skoncentrowane na pieniądzach środowisko, w którym „[...] dzień podobny do dnia,

[56] Tamże, s. 79-81.

GRZESZCZAK.indd 44 12.11.2024 20:23:35



Przemysław Sęp-Szarzyński. Fot. ze zbiorów Zofii Stachowiak

GRZESZCZAK.indd 45 12.11.2024 20:23:36



Lucyna z Dłużniakiewiczów Sęp-Szarzyńska. Fot. ze zbiorów Zofii Stachowiak

życie jednostajne, ale spokojne, trochę senne”[57]. Za najciekawszy i najbardziej oryginalny uważała jednak świat chłopów: „Tu można powiedzieć mała kultura, wiele zabobonów, życie związane z przyrodą. A że w przyrodzie jest bardzo wiele ciekawych rzeczy, więc i jest w tym życiu, którego nie można krótko określić”[58].

Irena zakończyła edukację w pleszewskim gimnazjum bez matury. Jak sama przyznaje, wszczęła „wielką wojnę” z tamtejszym profesorem matematyki i fizyki Józefem Kopernym[59], który – jak twierdziła – kierując się chęcią zemsty, w ostatniej, ósmej klasie gimnazjum poddał ją egzaminowi ze swoich przedmiotów, który oblała. Poprosiła o świadectwo odejścia i opuściła gimnazjum w trakcie roku szkolnego 1928/1929, wywołując oburzenie ojca, ciotek i znajomych[60].

Na początku lat trzydziestych sytuacja finansowa Obór wydawała się beznadziejna. Majątek bankrutował i Irena zaczęła pomagać ojcu w księgowości, co jednak nie przyczyniło się do poprawy stanu finansów. Z tego okresu zachowało się jej osobiste wyznanie:

> Nawet cieszę się opinią gospodarnej i energicznej baby, choć przez wielu mniej lubianą jestem dla mojej prawdomówności i rubaszności. Służba boi się mnie, ale zdaje się lubi, posłuch mam większy niż ojciec. Jestem dla nich wymagająca, ale łagodna, ale za jakieś nieposłuszeństwo grubo obrywają[61].

W końcu komornicy zaczęli zajmować inwentarz i meble. W styczniu 1935 roku Wiktor Sęp-Szarzyński doznał kolejnego już ataku serca i zmarł. Jego nagła śmierć i podanie o rozłożenie długów na raty spowodowały w ostatniej chwili wstrzymanie procedury licytacji dóbr[62]. Cały wysiłek Ireny skoncentrował się na utrzymaniu Obór[63]. W tych staraniach wspierała ją Helena Sęp-Szarzyńska ze Szczytnik, a ukojeniem w samotności były ulubione zwierzęta: sucz-

[57] Zob. tamże, s. 81.

[58] Zob. tamże.

[59] Józef Koperny, ur. w 1877 r., posiadał absolutorium szkoły wyższej; nauczyciel matematyki i fizyki w latach 1920-1939. W październiku 1939 r., jako zakładnik gestapo w Pleszewie, został uwięziony przy ul. Kaliskiej 24. Wysiedlony następnie do Generalnego Gubernatorstwa, w czasie okupacji zamieszkał w Białaczowie k. Opoczna, gdzie prowadził tajne nauczanie – zob. *Oni nas uczyli. Słownik biograficzny nauczycieli uczących w latach 1919-2019 w Gimnazjum i Liceum im. Stanisława Staszica w Pleszewie*, red. A. Szymański, Pleszew 2019, s. 47.

[60] Zob. MM, s. 87-88.

[61] Tamże, s. 97-98.

[62] Zob. tamże, s. 121-122.

[63] W 1930 r. nie zgodziła się na korzystną ofertę kupna Obór przez bliżej nieokreślonego „Niemca”, a po śmierci ojca za cenę zrzeczenia się spadku po nim mogła zamieszkać jako rezydentka u ciotki Heleny w Szczytnikach. Odrzuciła też małżeństwo z wdowcem Tadeuszem Zakrzewskim, administratorem mająt-

GRZESZCZAK.indd 47 12.11.2024 20:23:38



Wiktor i Regina Sęp-Szarzyńscy w Oborach. Fot. ze zbiorów Zofii Stachowiak

ka Nora i „krowa N° 12", a także ukochane przez nią kwiaty[64]. Lata 1935-1939 wypełniały intensywne zabiegi zmierzające do spłacenia długów oraz podniesienia rentowności gospodarstwa:

ku jej stryjenki Heleny w Szczytnikach, który już po oświadczynach postawił ją przed alternatywą: „on albo Obory" – zob. tamże, s. 105-106, 114-117, 121.

[64] Dnia 19.09.1935 r. zapisała w pamiętniku: „Kto nie chce być zupełnie nieszczęśliwy, musi mieć przyjaciela psa, a najbardziej przywiąże się i zrozumie cię wyżeł. Norka to czarny seter, parę włosków białych na piersiach. Oczy brązowe, ładny pióropusz na ogonie. Ma trochę za długi nos i znawców to razi. Na wystawy nie mam zamiaru jej posyłać, to mi jej nos nic nie przeszkadza. Dużą też w samotności przyjemność znajdziesz w ładnych kwiatach. Niestety w tym roku ładnych kwiatów nie mam. Kwiaty potrzebują stałej troski o siebie i wymagają, aby dużo czasu im poświęcać, a przy licznych moich zajęciach, za mało dla nich zostaje" – tamże, s. 102-103.

GRZESZCZAK.indd 48 12.11.2024 20:23:39

Wstępuję do Kółka Rolniczego istniejącego w Grabie. Jestem tam jedynaczką. Nawiązuję kontakt z powiatowym inspektorem rolnym. Przyjeżdża, sprawdza pola, porównuje z moimi zapiskami i spostrzeżeniami. Dostaję kredyt długoterminowy na podsiew z założeniem łąk. Łąki są po obu stronach piaszczystego traktu (Kalisz-Pyzdry). Praca przy łąkach wywołuje zainteresowanie sąsiadów, ich surowe krytyki, ironiczne uśmiechy politowania. W okolicy mam opinię dziwaczki, chodzącej w drewniakach, oszczędzającej sobie wszystkiego i zaharowanej dla głupiej mrzonki utrzymania resztki folwarku będącego w rodzinie od trzystu lat[65].



Regina Sęp-Szarzyńska. Fot. ze zbiorów Zofii Stachowiak

Wysiłki Ireny spotkały się z pozytywną reakcją ze strony ciotki Haliny z Kretkowa, a tamtejszy administrator Jan Spychała zaczął jej pomagać i doradzać. Za jego radą wycięła stare parkowe topole, których korzenie powodowały obniżenie plonów na przylegających do parku gruntach, i sprzedała pozyskane w ten sposób drewno. Opracowała też skuteczne metody aktywizacji pracowników folwarku, a po wiosennym odchwaszczaniu i sianokosach fundowała im wyjazd do kina w Pleszewie, w którym sama brała udział. Przywróciła też zarzucony po śmierci matki zwyczaj organizowania dożynek. Z biegiem czasu zamiast posługiwania się wekslami, płaciła gotówką, a rolnicy z sąsiedztwa zaczęli kupować od niej cielęta do chowu:

Co roku coś budowałam. Wykończyłam stodołę, budowaną, gdy ojciec gospodarował, dałam nowy szczyt do obory, odrestaurowałam prawie od nowa chlewy. Zakupiłam budulec na stajnię. W planach moich na dalsze lata był traktor i samochód osobowy. Dałam do zbadania rudę,

[65] Tamże, s. 127.

GRZESZCZAK.indd 49 12.11.2024 20:23:39

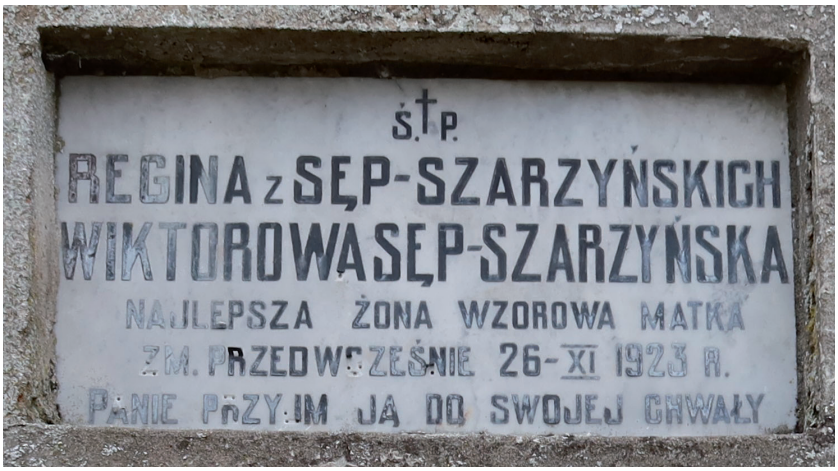

Epitafium Reginy Sęp-Szarzyńskiej na grobowcu rodzinnym w Szymanowicach. Fot. J. Grzeszczak

w której uwidaczniało się żelazo, ale zawartość żelaza okazała się zbyt mała, aby w przemyśle opłacała się.

Teraz już od czasu do czasu ukazywałam się w odnowionym powozie, zaprzężonym w wypasione konie w błyszczących szorach. Józek był na koźle w liberii, a ja nonszalancko rozsiadła w powozie, przyznam się, czułam się głupio. Miałam prawdziwą zabawę z licznych, niskich ukłonów. Nawet bombonierki z czekoladkami zaczęłam dostawać, które przeważnie zjadałyśmy z moimi dziewczynami przy pracy. Stary Ferla też lubił, gdy mu we wąsiska wciskałam łakocie. Było coraz więcej na co dzień humoru i śmiechu[66].

Jak wspomina, rankiem 1 stycznia 1939 roku obudziła się z nieokreślonym złym przeczuciem[67]. Na wiosnę odwiedził ją starosta powiatowy, który z zainteresowaniem obejrzał jej gospodarstwo, a zwłaszcza łąki i oborę. Zaproponował Irenie włączenie się w działalność społeczną:

Mimo odmowy, nalegał. Po pewnym czasie dostałam zawiadomienie, że jestem przedstawiona do brązowego krzyża zasługi za pracę w dziedzinie gospodarczej. Miałam po odbiór tego odznaczenia jechać do Konina. Zajęłoby to cały dzień i umęczenie, bo w jedną stronę coś koło czterdziestu kilometrów. Nie spieszyło mi się, odłożyłam tę jazdę na później. Lato było już niepewne, burzliwe na horyzoncie politycznym. Właśnie w tym roku Michał skończył Wyższą Rolniczą Szkołę w Cieszynie. Zaproponowałam mu, żeby przejął ode mnie dzierżawę Obór i zajął się gospodarstwem. Przyznam się, że nie wierzyłam, aby się na to zgodził, ale miałam trochę obaw, bo tak mi

[66] Tamże, s. 136.
[67] Zob. tamże.

GRZESZCZAK.indd 50 12.11.2024 20:23:40

dobrze już gospodarowało się. Michał wolał wziąć posadę agronoma w Jarocinie. Zaledwie ją objął, gdy dostał powołanie do wojska[68].

2. „Nie mam dziś czasu, ale za to taką nieprzeparłą ochotę trochę pogadać z tobą, pamiętniku”[69] – Irena z Sęp-Szarzyńskich Spychałowa jako autorka wspomnień

Zamiłowanie Ireny do przelewania na papier własnych przeżyć i stanów ducha towarzyszyło jej przez całe życie. Warto w tym miejscu zwrócić uwagę na kilka cech osobowości autorki, które pozostawiły interesujące ślady w jej zapiskach. Najpierw ponadprzeciętna pamięć, od najwcześniejszych lat rejestrująca wydarzenia, których była świadkiem. Swoje wspomnienia rozpoczęła od ukochanych Obór, gdzie spędziła dzieciństwo:

> Dworek tonął w zieleni wiekowego parku, za którym tuż, tuż płynęła moja ukochana Prosna. Przed podjazdem na dużym klombie pielęgnowanym przez matkę strzyżone w różne kształty jałowce i wstążki barwnych kwiatów. Drugą stronę dworku okalały wiecznie zielone świerki z gałązkami do ziemi, które w zimie obsiadały tłumnie bażanty. U stóp świerków posadzone były różne krzewy, kolejno kwitnące, które stanowiły zawsze kolorową pachnącą plamę na tle zieleni, zieleni, w którą bezpośrednio wychodziło się przez szerokie oszklone drzwi jadalnego pokoju. Okno mojego pokoju osłaniały bzy, w których gawędziły słowiki. Przez stale otwarte okno miałam dużo wygodniejsze wyjście niż przez drzwi. Jak ja kochałam ten dworek ze staroświeckimi meblami, z bukietami kwiatów, z licznymi pamiątkami, gdzie wszystko miało swoją historię, wszystko łączyło jakieś wspomnienie bliskich osób. I dzisiaj zawsze w snach tam jestem, choć już nawarstwiło się tyle wydarzeń, tyle zmian i przeżyć. Podwórze z licznymi budynkami było dość odległe od dworu, a nad traktem łączącym Kalisz z Pyzdrami (gdzie Prosna wpadała Warty) stały domy pracowników. Tuż za nimi duży budynek posterunku straży granicznej. Prosna stanowiła granicę zaboru pruskiego i rosyjskiego. Kwitł tu przemyt różnych towarów, z którego żyło wielu okolicznych chłopów[70].

W wieku pięciu lat zaczęła rejestrować w pamięci wydarzenia, których była świadkiem:

> Rok 1914 już utrwalił się w mojej pamięci obrazkami różnych wydarzeń. Pamiętam łzy matki, gdy ojciec dostał wezwanie do wojska

[68] Tamże, s. 137.
[69] Tamże, s. 59.
[70] Tamże, s. 9.

GRZESZCZAK.indd 51 12.11.2024 20:23:40



Irena Sęp-Szarzyńska z koleżanką i kolegami z gimnazjum w Pleszewie. Na odwrocie: Pleszew. Makowski, Florjan, Magnuszewski Bogdan, Walczak [nazwisko przekreślone – J.G.], Szarzyńska, Rosechowicz, Walczak, Sadowska, I Hofman, Michalski, II Hoffman, Augustyniak, Stefaniak, Sznajder. 1929 r. (dopisek ołówkiem: VIII klasa 1928/29). Fot. ze zbiorów Zofii Stachowiak

rosyjskiego, i radość, że wrócił zwolniony. Potem kwatery Niemców, którzy zajęli frontowy pokój, konfiskaty bydła zabijanego na podwórzu, branki koni do wojska. Każdy dzień obfitował w jakieś wydarzenia, które tak mocno utrwaliły się w dziecięcej pamięci, że jeszcze dziś doskonale je pamięć odtwarza.

Dziadkowie mieszkali w Kaliszu. Wybuch wojny zastał ich u nas. Pierwsze dnie wojny to u nas przekładanka wojsk rosyjskich i niemieckich, i obawy, że spotkają się ze sobą. Potem wiadomości o spaleniu Kalisza przez Niemców. Z ulicy, gdzie mieszkali dziadkowie, tylko ich kamienica przy kościele franciszkanów ocalała. Rok 1918 pamiętam jako spełnienie marzeń ze śpiewanych piosenek i wieczornych opowieści. Takie miłe były wspólne wieczory przy dużym stole w jadalni oświetlonym naftową lampą, a w czasie kryzysu wojennego stale wybuchającą karbidówką zrobioną z łuski pocisku. Od oświetlenia domowego i fachowcem od karbidówki[71] był ojciec. Bohatersko znosił narzekania na oświetlenie psujące oczy.

Podczas tych wieczorów domowa nauczycielka na zmiany z rodzicami czytała głośno powieści Sienkiewicza, Kraszewskiego, Rodziewi-

[71] Rodzaj lampy gazowej, w której jako paliwa używa się acetylenu, będącego wynikiem reakcji karbidu (węglika wapnia) z wodą w zbiorniku lampy.

GRZESZCZAK.indd 52 12.11.2024 20:23:40

czówny i innych. Mnie kazano przeważnie ćwiczyć kaligrafię, co jednak nigdy owoców nie wydało. Inni zajęci byli szyciem, łupaniem fasoli lub maku[72].



Irena z Sęp-Szarzyńskich Spychałowa – biografia XX-wieczna

Jan Spychała w mundurze Armii Cesarstwa Niemieckiego. Fot. ze zbiorów Zofii Stachowiak

Nic więc dziwnego, że kilkadziesiąt lat później zwrócił się do niej z prośbą o informacje mieszkający w Anglii kuzyn Stanisław Sęp-Szarzyński (1910--1976), który na emeryturze zajął się amatorskim badaniem dziejów rodu. W okresie międzywojennym ten syn stryja Ireny Wacława, i Zofii ze Słomińskich, działał w Aeroklubie Polskim, co objawiało się m.in. budzącymi wówczas wielkie zainteresowanie lądowaniami aeroplanu na łąkach w położonym kilkanaście kilometrów od Obór Komorzu. W czasie II wojny światowej por. Stanisław Sęp-Szarzyński służył w 301 Dywizjonie Bombowym RAF, wyprawiając się nad Niemcy[73]. W latach 60. ubiegłego wieku zajął się kwerendą genealogiczną

[72] Tamże, s. 9-11.

[73] Zob. S. Sęp-Szarzyński, *W służbie Latającego Smoka*, Londyn 1957; *Personel Polskich Sił Powietrznych w Wielkiej Brytanii 1940-1947*, w: https://listakrzystka.pl/ [dostęp: 21.02.2024]. W korespondencji Stanisława Sęp-Szarzyńskiego do kuzynki Ireny znajduje się interesujące wyznanie, zawarte w liście z 17.01.1966 r., w którym podjął m.in. złożoną problematykę polsko-niemieckiego pojednania, podjętą przez polskich biskupów w słynnym apelu do niemieckiego episkopatu: „[...] biskupi popadli w konflikt zasadniczy. Popadli też w konflikt z uczuciami polskimi dominującymi, gdyż tym odpowiadałoby raczej, by połamali pastorały na grzbietach niemieckich kolegów, niż powiedzieli «wybaczamy» i wybaczcie. O to ostatnie krew zalewa pamiętających one czasy krwi i niechwały. No, ale fakt faktem, że na skalę niepomiernie mniejszą bywali i Niemcowie pokrzywdzeni przez nas. Kiedyś, Iruś, odwołali nas z przed samego Hanoweru, bo dziewczynka dała nam kod omyłkowy, więc żeby nie było zamieszania. Pięknie, ale tu mamy na zamkach gruch dwie tony, gdzie to taszczyć? Popijam sobie kawę, pogryzam czekoladą, a tu na dole – nocka była jasna, śnieg, widać jak na dłoni – miasteczko ładniutkie, przy jakowyś lasach, domki jak perełki. E... Stary – powiadam – przypomnijmy tym tam Germańcom, że my tu wojujem. Położył maszynę, zawrócił, podeszliśmy ładniutko, gruchy poszły. Patrzę, czekam, wreszcie błysk, błysk, błysk, te domki błysnęły i chmurki je przykryły. Za dwa tygodnie mieliśmy raport wywiadu. 600 prawie zabitych i rannych, przeważnie niewiast i dzieciątek,

GRZESZCZAK.indd 53 12.11.2024 20:23:40



Stanisław Sęp-Szarzyński w momencie przyjmowania odznaczenia. Fot. ze zbiorów Zofii Stachowiak

w archiwach angielskich i holenderskich, próbował też nawiązać kontakt z pracownikami archiwów w Polsce. Listy Stanisława do kuzynki Ireny wypełniały m.in. refleksje na temat świata ziemiańskiego, któremu ostateczny cios zadała polityka powojennych władz komunistycznych, przeplatane utyskiwaniami nad brakiem współpracy ze strony „nieużytka Dworzaczka", czyli prof. Włodzimierza Dworzaczka (1905-1988), kierownika Zakładu Historii Kultury Polskiej na Wydziale Filologicznym UAM w Poznaniu i wybitnego znawcy genealogii szlachty wielkopolskiej[74]. Trudno odmówić Stanisławowi Sęp-Szarzyńskiemu autentycznego uporu, którym musiał przełamywać nie tylko trudności, jakie napotykał w kontaktach z historykami, ale i te, których mu nastręczała choćby przywołana wyżej kaligrafia Ireny.

Nie ulega wątpliwości, że Irena, która swoje dzieciństwo i młodość spędziła w kręgu ziemiańskich rodzin, których przedstawicieli wraz z ich zawiłymi losami zaprezentowano w pierwszej części tego

bo tam właśnie niewiniątka ewakuowali z Hanoweru, by ich krzywda nie spotkała" – Stanisław Sęp-Szarzyński do Ireny z Sęp-Szarzyńskich Spychałowej, 17.01.1966 (ze zbiorów Zofii Stachowiak).

[74] Jak pisze Barbara Wysocka, prof. W. Dworzaczek: „Zasypywany był listami z prośbami o porady lub ustalenie rodowodów. Te drugie, jeśli widział w nich tylko snobizm, z reguły wyrzucał do kosza. Nigdy natomiast nie skąpił fachowej porady w badaniach naukowych, przyznawał, że możliwość udzielenia pomocy w rzetelnej pracy badawczej sprawia mu dużą satysfakcję" – B. Wysocka, *Włodzimierz Dworzaczek 1905-1988*, w: *Wybitni historycy wielkopolscy*, red. J. Strzelczyk, Poznań 2010, s. 532 (całość, s. 523-533).

GRZESZCZAK.indd 54 12.11.2024 20:23:40

wprowadzenia, była ostatnim żyjącym świadkiem ich historii i mogła udzielić kuzynowi w Anglii szeregu szczegółowych informacji. Wydaje się, że tak właśnie się stało, a potwierdzają to listy Stanisława. Ten ostatni jawi się jako osoba dość dobrze poinformowana również o sprawach stawiających konkretne osoby w złym świetle czy wręcz zazdrośnie strzeżonych tajemnicach rodzinnych, których ujawnienie mogło wówczas wywołać skandal obyczajowy, i często prosi ją o uwagi, dopowiedzenia i uzupełnienia[75].

Kolejną cechą autorki, widoczną w jej wspomnieniach, jest wyostrzony zmysł obserwacji. Już jako dziecko Irena Sęp-Szarzyńska praktykuje charakterystyczny dla wielu ówczesnych dziewcząt zwyczaj prowadzenia pamiętnika. Wyostrzenie percepcji otaczającego ją świata widoczne jest przede wszystkim w spojrzeniu na napotkane osoby. Nie wnikając w tym miejscu w szczegóły, warto zatrzymać

[75] Jak już wspomniano wyżej, Irena początkowo musiała regulować należności wekslami, do których należało znaleźć dwóch żyrantów. Ciotka Halina z Kretkowa odmówiła żyrowania i dopiero później, widząc poprawę sytuacji finansowej Obór, zaoferowała konkretną pomoc swojej siostrzenicy. Stanisław Sęp-Szarzyński wraca do tego wydarzenia w liście z 7.12.1966 r. we właściwy sobie, subiektywny sposób, którego cechą charakterystyczną było nie tylko dążenie do dotarcia do faktów, ale i daleko idącego ich zinterpretowania: „Kochana Irko, dzięki za list. To, co piszesz o H.S. [Halinie Skórzewskiej – J.G.], ukazuje ją lepiej, niż ją widziałem z fragmentarycznych zresztą zasłyszeń. To, że Ci nie chciała zażyrować weksli w chwili najbardziej dla ciebie krytycznej, zdawało się świadczyć tylko o sobkostwie, bo przecież Ty byłaś córką jej rodzonej siostry postawioną sam na sam wobec zadania, przed którym cofnąłby się pewnie niejeden mężczyzna. Inaczej to wygląda, jeśli zobaczymy H.S. w roli piastunki depozytu, owego Kretkowa, któremu, co tu gadać, poświęcono jej młodość i swobodę uczuć. Bożki bardzo często gotują zawód, ten jej bożek, w postaci Kretkowa, nie był w każdym razie gorszy od wielu innych, których ludzie obdarzają swoim niezaspokojonym sercem. Więc chodziła w cerowanych łaszkach, więc ciułała na podatek spadkowy, więc ujrzała ciebie z wekslami do podpisu jako groźbę dla jej celu, by te drzewa stare, by te rezydencje paradne, w jedności i całości przetrwały. Oczywiście, jeśli tak, była tak zaślepiona, że nie widziała najprostszego rozwiązania. Leżało ono właśnie w Tobie. Bodaj Ty jedna, z całej plejady możliwych spadkobierców stwarzałaś pewność utrzymania tego, o ile tylko możliwości ku temu byłoby. Ponieważ byłaś jej bliska, więc, jak to bardzo często bywa, niedoceniana. To jest ludzkie. Później ją wywieźli z tego jej Kretkowa na furce, całość jej życia, z dworku w Szymanowicach, który istniał parcelacją, poprzez zamążpójście, wbrew teściowej, z Szulców, więc ze swoim bożkiem (nie lubiącym panien z niewielkim posagiem, choćby i ładnych, i trzykrotnie krewniaczek, akurat takich by przeszkód nie było, a była swojskość). Więc teściowa w rezydencji paradnej, synowa na folwarku. Wreszcie to się zmieniło. Zapaniowała, zapłaciła cenę za to wysoką, później płaciła tą tamtą na boczku pod jaworem, pustą kołyską. Później były już same, z siostrą i depozytem... Więc Kretków bożek [...] Ująłem Ci w migawce, jak ją teraz zaczynam widzieć, napisz s w o j e u w a g i [podkreślenie – J.G.]" – Stanisław Sęp-Szarzyński do Ireny z Sęp-Szarzyńskich Spychałowej, 7.12.1966 (ze zbiorów Zofii Stachowiak).

GRZESZCZAK.indd 55 12.11.2024 20:23:41

Irena z Sęp-Szarzyńskich Spychałowa Droga do domu



Stanisław Sęp-Szarzyński. Fot. ze zbiorów Zofii Stachowiak

się na jej postrzeganiu Niemców. Czytelnik wspomnień szybko zdaje sobie sprawę z tego, że za bańczucznymi deklaracjami o rasowej wyższości i przekonaniem o wiecznym trwaniu III Rzeszy, często ukrywają się ignorancja, zwykła nieporadność, brak kompetencji czy żałosne wręcz uwikłanie w rodzinne zależności, jak w przypadku administratora Stawowiczek, Kirschsteina. Nie brak też wśród napotkanych przez Irenę Niemców postaci pozytywnych. Należy do nich z pewnością anonimowy młody i uprzejmy „Austriak spod Wiednia", który w czasie wojny przebywał w sąsiadującej z Paradyżem Wielkiej Woli[76]. Z kolei uczynny i życzliwy Polakom „bezirklandwirt z Opoczna", który pomógł jej w transporcie ciężko chorego Edmunda Sobiecha do Nowego Miasta nad Pilicą, to Helmut Gäbert (1894-1973), w latach 1940-1945 administrator położonego na obrzeżach tego miasta Starostwa Opoczyńskiego[77]. Należy zauważyć w tym miejscu, że w postrzeganiu przez autorkę Niemców mamy do czynienia z pewnym uproszczeniem, polegającym na tym, że „poczciwi Austriacy", do których zalicza również H. Gäberta (pochodzącego w rzeczywistości z Freibergu w Saksonii), są zawsze synonimem ludzi uczciwych lub przynajmniej nieszkodliwych, natomiast najgorzej jawią się w jej oczach Niemcy mieszkający od pokoleń na terenach Polski, wcielonych w 1939 roku do III Rzeszy: „Najgorsze szatany były te wychowane na polskiej ziemi"[78].

Niezwykle ciekawie prezentuje się też galeria portretów Rosjan, począwszy od wysokich oficerów, a skończywszy na szeregowych żołnierzach Armii Czerwonej. Te cechy wspomnieniowej spuścizny Ireny z Sęp-Szarzyńskich Spychałowej pozwalają stwierdzić, że w jej przypadku mamy do czynienia z wyjściem poza wymiar czysto faktograficzny ku uniwersalizmowi treści, który stanowi jedną z charakterystycznych cech dzieła literackiego.

[76]Zob. s. 152-153.

[77]Zob. Karta osobowa Helmuta Gäberta w zbiorach Muzeum Regionalnego w Opocznie.

[78]Zob. s. 153.

GRZESZCZAK.indd 56 12.11.2024 20:23:41



Dożynki w majątku Starostwo w Opocznie zarządzanym w okresie okupacji przez Helmuta Gäberta (1942). Fot. ze zbiorów Muzeum Regionalnego w Opocznie

Trzecią i najbardziej złożoną cechą osobowości autorki jest widoczne w jej spuściźnie pragnienie dotarcia do najgłębszych pokładów rzeczywistości. Warto w tym miejscu nawiązać do wypracowanych już w starożytnej literaturze sposobów interpretowania tego, co jest nam dane. Ten charakterystyczny *logos*, jaki dostrzegamy w nas samych oraz w otaczającym nas świecie, został wystawiony na ciężką próbę w czasie drugiej wojny światowej, o czym w przejmujący sposób pisał Emmanuel Lévinas w swoim eseju *Pies albo prawo naturalne* z 1975 roku[79]. Jak już mieliśmy okazję się przekonać, codzienny kontakt z przyrodą sprzyjał w przypadku autorki otwarciu na to, co niewidzialne, choć w czasie okupacji *logos* został szybko zakwestionowany i wyparty przez zbliżającą się apokalipsę. Pierwszym znakiem jej nadejścia było budzące grozę odwrócenie naturalnego porządku: psy w nowy i nieznany dotąd sposób reagujące na obcych, czy ludzka mowa, która zamienia się w szczekanie złego psa[80]. Z biegiem czasu w narracji Ireny coraz bardziej widoczna staje się głębsza warstwa rzeczywistości, czyli narastający jak bolesny ropień metafizyczny wręcz konflikt, którego punktem kulminacyjnym jest dramatyczny początek 1945 roku w Paradyżu. Apokalipsa jako śmiertelne starcie gigantów na niezmierzonych równinach Rosji nieuchronnie zmierza na zachód i ma swoich zwiastunów w postaci odrodzonych po kilku wiekach demonicznych Tatarów, którzy tym

[79] Zob. E. Lévinas, *Pies albo prawo naturalne*, w: tenże, *Trudna wolność. Eseje o judaizmie*, tłum. A. Kuryś, Gdynia 1991, s. 160-162.

[80] Zob. s. 80-81, 135.

GRZESZCZAK.indd 57 12.11.2024 20:23:41

razem tylko przemykają chyłkiem przez Paradyż, budząc zrozumiałą ciekawość Ireny, która w gruncie rzeczy najbardziej jest zainteresowana ich kudłatymi konikami.

Czy Obory są dla Ireny tym, czym dla była dla Ulissesa Itaka? Odpowiedź na to pytanie wydaje się oczywista, bo przecież pragnienie powrotu do ukochanego dworku nad Prosną było motorem wszystkich jej działań podejmowanych na wygnaniu i spowodowało, że już w lutym 1945 roku, w kolejną rocznicę wypędzenia ruszyła na zachód w rodzinne strony. Nie wszystko jest jednak tak jednoznaczne jak w Odysei. Po raz kolejny psy, autentyczni bohaterowie tych dwóch opowieści, mogą nam pomóc w dostrzeżeniu subtelnych różnic. Pies Argos, wychowany przez Ulissesa, który nie mógł jednak wykorzystać jego zalet na polowaniu, ponieważ ruszył na wojnę, leży teraz na kupie gnoju przy bramie:

> Na nim to leżał Argos, jedzon przez robactwo,
> Lecz skoro bliskość pana zwietrzyło biedactwo,
> Pokiwało ogonem tuląc uszy obie,
> Chciałoby się doczołgać, sił nie miało w sobie[81].

Tutaj wszystko jest jasne i ostatecznie wzrusza nas głęboko los tego zwierzęcia, które zabiły emocje, jakich doznało na widok wytęsknionego pana:

> Tymczasem Argos w śmierci pogrążył się mroku,
> Gdy ujrzał swego pana po dwudziestym roku[82].

Powracająca do Obór Irena nie spotyka w nich zgiełku, jaki panował na dworze Ulissesa, niszczonym przez zalotników Penelopy. Pustka, jaką tam zastaje, i zimne pokoje zanieczyszczone ludzkimi odchodami, to spełnienie przepowiedni, jaką wypowiedziała w duchu kilka lat wcześniej w tak bolesnym dla niej lutym 1940 roku: „[...] jeżeli wrócę tu kiedyś, to nie będzie już tutaj tego ciepła dawnych lat”[83]. Po powrocie do Obór, zamiast zabiedzonego wiekiem i tęsknotą Argosa czy swojej ulubionej Nory, pierwszymi istotami żywymi, jakie spotyka, są rumiane dziewczęta z folwarku, które dorosły w czasie wojny i w pierwszej chwili nie wiedzą, jak się zachować. Świat pozostaje obcy i obce stają się ostatecznie również same Obory: „Ja od 1948 roku nie byłam tam i nie będę. Zostały wspomnienia i renta z tytułu reformy”[84].

[81] Homer, *Odyseja*, 17, 280-283, tłum. L. Siemieński, Wrocław–Kraków 1959, s. 256.

[82] Tamże, 17, 302-303.

[83] Zob. s. 81.

[84] Zob. s. 173.

GRZESZCZAK.indd 58 12.11.2024 20:23:42

3. Tło historyczne materiału wspomnieniowego

Zasadnicza część materiału wspomnieniowego autorstwa Ireny z Sęp-Szarzyńskich Spychałowej, jaki przekazujemy w ręce czytelnika, zamyka się w latach 1939-1945, a więc obejmuje jeden z okresów najbardziej tragicznych w tysiącletnich dziejach Polski. Oddajemy głos autorce w ostatnich dniach sierpnia 1939 roku, w momencie narastającej świadomości tego, co jawiło się jako już nieuchronne.

Kolejne miesiące upływają pod znakiem swego rodzaju gry, jaką prowadzi wobec niej nowa niemiecka administracja szczebla gminnego. Widząc korzyści, jakie dawała jej umiejętność prowadzenia dużego gospodarstwa, wójt bezskutecznie namawia Irenę do przyznania się do narodowości niemieckiej. Należy w tym miejscu przypomnieć, że w dwudziestoleciu międzywojennym Obory Sęp-Szarzyńskich należały do gminy Szymanowice, której siedziba znajdowała się w położonej kilka kilometrów na wschód wiosce Wierzchy[85]. W latach 1919-1932 roku gmina Szymanowice wchodziła w skład powiatu słupeckiego, a po jego likwidacji znalazła się w powiecie konińskim. Na rok przed wybuchem II wojny światowej ten ostatni został wyłączony z województwa łódzkiego i wcielony do poznańskiego. W październiku 1939 roku powiat koniński, jak cała Wielkopolska, został wcielony do Rzeszy, a od 29 stycznia 1940 roku znalazł się w granicach utworzonej przez niemieckiego okupanta jednostki administracyjnej o nazwie Kraj Warty (*Reichsgau Wartheland*), wchodząc w skład rejencji inowrocławskiej (*Regierungsbezirk Hohensalza*).

Na wcielonych do Rzeszy obszarach Niemcy rozpoczęli germanizację, czego wyrazem były m.in. wysiedlenia zamieszkujących je Polaków do Generalnego Gubernatorstwa. Tę szeroko zakrojoną akcję prowadzono w latach 1939-1941, dzieląc jej realizację na kilka etapów[86]. W 1940 roku kolejny już etap wysiedleń z Kraju Warty dotknął przede wszystkim rodziny tamtejszych rolników, posiadających duże i dobrze prowadzone gospodarstwa, które przekazywano następnie Niemcom wołyńskim lub niemieckim sąsiadom celem przyłączenia

[85] Jako siedziba gminy Wierzchy, w przeciwieństwie do Szymanowic, znajdowały się w pewnej odległości od przebiegającej do wybuchu I wojny światowej wzdłuż Prosny granicy Imperium Rosyjskiego z pruską Prowincją Poznańską. Ta sytuacja trwała do 1954 r., kiedy w miejsce gmin wprowadzono gromady. Po reaktywowaniu gmin w 1973 r. utworzono gminę Gizałki, którą włączono do powiatu pleszewskiego.

[86] Zob. M. Rutowska, *Wysiedlenia ludności polskiej z Kraju Warty do Generalnego Gubernatorstwa 1939-1941*, Poznań 2003; M. Wardzyńska, *Wysiedlenia ludności polskiej z okupowanych ziem polskich włączonych do III Rzeszy w latach 1939--1945*, Warszawa 2017.

GRZESZCZAK.indd 59 12.11.2024 20:23:42

przez nich odebranych Polakom nieruchomości i gruntów do swoich gospodarstw[87]. Wysiedlenie właścicielki Obór do Generalnego Gubernatorstwa miało miejsce 10 lutego 1940 roku. Po trwającej cztery dni katorżniczej podróży z Konina do Bochni w Generalnym Gubernatorstwie, Irena wraz z bratem Michałem prowadzili przez kilka miesięcy tułacze życie aż do momentu uzyskania większej stabilizacji we wsi Paradyż w dystrykcie radomskim, gdzie spotkali m.in. krewnych i znajomych, wysiedlonych tam w grudniu 1939 roku z powiatu jarocińskiego, co znacznie ułatwiło im znalezienie pracy i mieszkania.

W Paradyżu i okolicach Irena Sęp-Szarzyńska mieszkała od jesieni 1940 do lutego 1945 roku, starając się nie pozostawać bez zajęcia, co było podyktowane nie tylko troską o zapewnienie sobie środków potrzebnych do skromnej wojennej egzystencji, ale również uniknięcia wywózki na roboty do Niemiec. Po raz kolejny użyteczne okazały się zdobyte z takim trudem przed wojną wiedza, umiejętności i kompetencje w zakresie rolnictwa. Posada instruktorki rolnej zapewniała jej wynagrodzenie i tak bardzo potrzebne okupacyjne dokumenty, które okazały się przydatne również w nowej roli, czyli w działalności konspiracyjnej.

Konspiracyjne działania zostały zainicjowane na terenie powiatu opoczyńskiego już jesienią 1939 roku, a pierwszym z nich było gromadzenie broni pozostałej po kampanii wrześniowej i przechowywanie jej w specjalnie do tego celu przeznaczonych schowkach. Na tym terenie działał przez pewien czas Oddział Wydzielony Wojska Polskiego mjra Henryka Dobrzańskiego, ps. „Hubal". Informacje o rozwijającym się ruchu oporu w rejonie Opoczna docierają do Ireny w 1942 roku. Obwód Opoczno Armii Krajowej, utworzony w 1940 roku, w kwietniu 1942 roku podporządkowany został Inspektoratowi Piotrków Trybunalski AK. Składał się z pięciu rejonów[88]. Na czele Rejonu I stał komendant kpt. Stefan Szlązak, ps. „Malwa". Podlegało mu trzynaście placówek, a wśród nich Paradyż, w którym funkcję jego pokomendnych sprawowali ppor. Antoni Grabowski, ps. „Czapla" i ppor. Ewaryst Tyczyński, ps. „Cichy", „Dorsz"[89]. Kpt. S. Szlązak był niezwykle aktywnym i zaradnym kwatermistrzem. Jak piszą autorzy opracowania poświęconego 25 pułkowi piechoty AK, „na terenie «Malwy» najwięcej było melin sanitarnych, bunkrów i zakonspirowanych magazynów"[90]. Kwatermistrzowskie umiejętności komendanta

[87] Zob. M. Wardzyńska, tamże, s. 271.

[88] Zob. M. Kopa, A. Arkuszyński, H. Kępińska-Bazylewicz, *Dzieje 25 pp Armii Krajowej. Geneza, struktura, działalność zbrojna, zaplecze, dramaty powojenne*, Łódź 2001, s. 439-441.

[89] Zob. tamże.

[90] Tamże.

GRZESZCZAK.indd 60 12.11.2024 20:23:42

Rejonu I okazały się szczególnie przydatne w czasie przygotowań i w trakcie Akcji „Burza". W rejonie pozostającym pod rozkazami kpt. Szlązaka działała sieć zakonspirowanych magazynów broni, piekarni i młynów, a transportem żywności zajmowały się dobrze zorganizowane zespoły, tzw. pościgówki[91].

Osobny rozdział konspiracyjnej działalności Armii Krajowej w rejonie Opoczna stanowiło zaplecze sanitarne[92]. Kpt. Szlązak zorganizował zakonspirowane szpitaliki polowe, kwatery dla rannych i punkty sanitarne[93]. Jedna z takich placówek działała w Kazimierzowie koło Paradyża u Edwarda Szczegielniaka, ojca występującego we wspomnieniach Tadeusza, ps. „Zawisza"[94]. Działania kpt. Szlązaka były zgodne z wytycznymi inspektora piotrkowskiego, kpt. Bolesława Ścigaja, ps. „Marek", który nakazywał rozbudowę służb sanitarnych i przygotowanie personelu szpitalnego do udzielania pomocy rannym żołnierzom, a także gromadzenie środków opatrunkowych i leków. Oprócz wspomnianych wyżej zakonspirowanych punktów w terenie należy wspomnieć o działalności podziemia w piotrkowskim szpitalu św. Trójcy, w którym polscy lekarze z narażeniem życia dokonywali poważnych operacji ciężko rannych partyzantów. Ta niezwykle aktywna placówka zrzeszała grupę oddanych konspiratorów, w skład której wchodzili lekarze, również wysiedleni z Łodzi i Poznania, oraz pozostały personel medyczny, w tym siostry szarytki i służebniczki[95].

Terenowym szefem sanitarnym Obwodu Opoczno był Kazimierz Sągin, ps. „Sosna". Ten wysiedlony w 1939 roku z Pleszewa lekarz, mający za sobą studia medyczne w Kijowie i Lwowie oraz doświadczenie zdobyte m.in. w Krajowym Zakładzie Psychiatrycznym w Dziekance pod Gnieznem, zamieszkał w gajówce Marcinków w gminie Machory i pracował jako lekarz gminny[96]. Zasłynął jako wyjątkowo odważny i oddany opiece nad rannymi żołnierzami[97].

Na szczególne wspomnienie zasługuje też ofiarna posługa sióstr Służebniczek Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny (służebniczki pleszewskie) w czasie okupacji[98]. Od 1902 roku Pleszew

[91] Zob. tamże, s. 441-443; E. Wawrzyniak, *25 Pułk Piechoty Armii Krajowej Ziemi Piotrkowsko-Opoczyńskiej*, Warszawa 1999, s. 30.

[92] Zob. M. Kopa, A. Arkuszyński, H. Kępińska-Bazylewicz, tamże, s. 493-501.

[93] Zob. tamże, s. 498-499.

[94] Zob. tamże.

[95] Zob. tamże, s. 487-493.

[96] Zob. E. Horoszkiewicz, *Od pijawek po dializy. Z kart historii pleszewskiej medycyny*, Pleszew 2013, s. 139-140.

[97] Zob. M. Kopa, A. Arkuszyński, H. Kępińska-Bazylewicz, tamże, s. 498-499.

[98] Zob. W.S. Niklewska, *Służebniczki Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny (Pleszew)*, Studia i materiały do historii chrześcijaństwa w Polsce, 3 – Żeńskie Zgromadzenia Zakonne w Polsce 1939-1947, t. 3, Lublin 1985.

GRZESZCZAK.indd 61 12.11.2024 20:23:42

był siedzibą władz zarządu generalnego i domu formacyjnego tego zgromadzenia. W 1939 roku przebywało tam 126 sióstr, prowadząc cały szereg instytucji wychowawczych i charytatywnych – od szpitala, poprzez szkołę i przedszkole, a kończąc na pracy w zakrystii kościoła parafialnego pw. Ścięcia św. Jana Chrzciciela i w gospodarstwie rolnym[99]. Po wybuchu wojny Niemcy przejęli bądź zlikwidowali wiele z nich, a siostry rozproszyły się. Wiele z nich trafiło do Generalnego Gubernatorstwa, gdzie dalej służyły jako pielęgniarki i opiekunki, angażując się jednocześnie w działalność konspiracyjną. W Piotrkowie Trybunalskim, gdzie zgromadzenie działało już w okresie międzywojennym, siostry pracowały jako pielęgniarki w szpitalu niemieckim w byłym Szpitalu Ubezpieczalni Społecznej przy ul. Bujnowskiej 3, na czterech oddziałach Szpitala Świętej Trójcy (zakaźny, wewnętrzny, położniczo-ginekologiczny i wewnętrzno-gruźliczy) przy ul. Starowarszawskiej 16 (obecnie nr 14) oraz w działającym w latach okupacji domu starców przy ul. Bujnowskiej 2 i w Schronisku dla Inwalidów Wojennych PCK w pobliskim Włodzimierzowie[100].

Sytuacja w Piotrkowie, gdzie władze okupacyjne kierowały duże transporty wysiedlonych z ziem polskich wcielonych do Rzeszy, wymagała zorganizowania placówek o charakterze szpitalno-opiekuńczym, kuchni i przytułków. Niezwykłą aktywnością w tym względzie wykazała się wspominana przez Irenę Sęp-Szarzyńską siostra Aleksandra (Leokadia Kicman)[101]. Do wybuchu wojny była przełożoną domu służebniczek pracujących w piotrkowskim Szpitalu Ubezpieczalni Społecznej. W momencie niemieckiego ataku na Polskę odmówiła ewakuacji, pozostając z najciężej chorymi. Wkrótce jednak pod niemieckimi bombami siostry zostały zmuszone do ewakuacji rannych i chorych pacjentów do Opoczna. Do Piotrkowa wróciły pieszo 14 września i zgłosiły się do pracy w zajętym już przez Niemców Szpitalu Ubezpieczalni. Ich wyjazd do Opoczna został potraktowany jako ucieczka i s. Aleksandra wraz z czterema innymi służebniczkami została aresztowana. Ostatecznie po dwunastu dniach zostały zwolnione, a dwie z nich, znające język niemiecki, czyli s. Aleksandra Kicman i s. Franciszka Narloch, otrzymały propozycję pracy w szpitalu[102].

Jak zauważa s. Waleria Syksta Niklewska, w czasie okupacji przedwojenny Szpital Ubezpieczalni Społecznej „[...] swą atmosferą niewiele różnił się od szpitali na «ziemiach wcielonych». Cechowały go – jak wszędzie – rygor, otoczenie i mowa niemiecka oraz brak swobody narodowościowej i religijnej [...] Zupełnie inaczej wyglądała sytuacja

[99] Zob. tamże, s. 166.

[100] Zob. tamże, s. 65, 179-180, 189.

[101] Ur. 31.12.1885 r. w Miłkowie k. Czarnkowa, zm. 9.04.1988 r.; pochowana w Zaniemyślu.

[102] Zob. W.S. Niklewska, tamże, s. 58-59.

GRZESZCZAK.indd 62 12.11.2024 20:23:42

w Szpitalu Świętej Trójcy. Był on wprawdzie uzależniony – jak wszystkie instytucje w Generalnej Guberni – od władz niemieckich, ale administracja, obsługa medyczna i pielęgniarska były wyłącznie polskie. Początkowo służebniczki pleszewskie pracowały wspólnie z szarytkami, z czasem objęły cztery oddzielne oddziały należące do tegoż szpitala, izbę przyjęć i przychodnię przeciwgruźliczą (1942--1945). Poza tym kilka służebniczek pełniło dyżury nocne na terenie całego szpitala"[103].

Ze względu na dobrą znajomość języka i niemiecko brzmiące nazwisko okupacyjny starosta piotrkowski i lekarz powiatowy dr Werner Hellenbrandt próbowali nakłonić s. Aleksandrę do podpisania volkslisty, obiecując jej stanowisko przełożonej pielęgniarek w Szpitalu Ubezpieczalni. Wobec zdecydowanej odmowy, urzędnicy próbowali ją zastraszyć wysiedleniem do pracy w szpitalach w Białymstoku lub nad granicę węgierską. Jak wspomina sama zainteresowana: „Wychodząc, odwróciłam się jeszcze i powiedziałam do obydwóch: nie wiedziałam, że ze szpitala zakaźnego, gdzie możemy być *Bakzillenträger*, można wysyłać do innych szpitali. Tak przynajmniej uczyłam się jako pielęgniarka i co potwierdzono mi, gdy zdawałam egzamin przed niemieckim lekarzem wojewódzkim [...] Wyszłam, nie czekając na odpowiedź"[104]. Ostatecznie pozostała w Piotrkowie.

Fachowej pomocy medycznej udzielano rannym partyzantom w Szpitalu Świętej Trójcy, który utrzymywał się z funduszy samorządu miejskiego i darowizn. Gestapo interesowało się zwłaszcza oddziałem chirurgicznym, żądając od personelu dokładnych informacji na temat przyjmowanych pacjentów i przeprowadzając obchody mające na celu wykrycie hospitalizowanych członków ruchu oporu i Żydów. Siostry wraz z personelem świeckim podjęły akcję ratowania zwłaszcza żydowskich dzieci, które z getta trafiały na oddział zakaźny. Odbywało się to poprzez przenoszenie dzieci z oddziału zakaźnego na wewnętrzny, skąd mogły następnie trafić w ręce Polaków gotowych udzielić im schronienia[105].

W swoich wspomnieniach s. Aleksandra Kicman pisze też o dostarczaniu oddziałom AK leków i środków opatrunkowych: „[...] raz po raz zatrzymywała się u nas, tzn. u sióstr pleszewskich na oddziale zakaźnym, łączniczka AK Irena, którą zaopatrywaliśmy w lekarstwa i materiał opatrunkowy, jak surowicę przeciwtężcową, środki antyseptyczne i dezynfekcyjne. Przewóz tych materiałów do lasu był bardzo utrudniony. Niemcy często kontrolowali furmanki jadące w kierunku lasów sulejowskich. Stąd trzeba było wielkiej odwagi, zimnej

[103] Tamże, s. 66-67.
[104] Tamże, s. 67.
[105] Zob. tamże, s. 73.

GRZESZCZAK.indd 63 12.11.2024 20:23:42

krwi, sprytu, pomysłowości, by każdy przejazd inaczej upozorować. Najczęściej Irena przyjeżdżała lichą furmanką, zaprzęgniętą w najgorszego konia, zbolała, siedząc na snopku słomy. [...] Wspomniany materiał ładowałyśmy do tego snopka. Tymczasem łączniczka dla zmylenia wroga udawała, że z upozorowaną chorą ręką na desolcie wraca rzekomo ze szpitala po zabiegu. Miała zwykle odpowiednie zaświadczenie i lekarstwa dla siebie, jako ochronę. Przyjeżdżała zależnie od zapotrzebowania AK, zmieniając miejsce zaopatrywania się: szpital zakaźny lub mieszkanie sióstr, ul. Krakowska nr 2 itp."[106].

Rejon Opoczna był terenem działania grup dywersyjnych Kedywu[107]. Dobrze znany Irenie kpr. pchor. Zdzisław Michnikowski, ps. „Konar", stał na czele dużego zespołu dywersyjnego „Motor", który w latach 1943-1944 dokonał szeregu akcji wymierzonych w okupacyjną administrację, transport i łączność, niszcząc akta kontyngentowe, rekwirując zwierzęta hodowlane, artykuły żywnościowe, spirytus, samochody i motocykle, i niszcząc linie telefoniczne[108]. Zakres tych brawurowych często akcji był bardzo szeroki: od chłosty wymierzanej volksdeutschom, po dywersję skierowaną przeciwko strzeżonym obiektom, której przykładem był atak siedmiu zespołów bojowych, a wśród nich „Konara", na niemiecką strażnicę w Wodzinku koło Srocka, strzegącą granicy pomiędzy Krajem Warty i Generalnym Gubernatorstwem[109]. Akcja ta, przeprowadzona w nocy z 24 na 25 listopada 1943 roku w ramach szerszej operacji o kryptonimie „Taśma", wymierzonej przeciwko placówkom Grenzschutzu, doprowadziła, bez strat własnych, do zabicia i ranienia kilkunastu Niemców, spalenia placówki i zdobycia pewnej ilości sprzętu wojskowego.

Potwierdzeniem dywersyjnych umiejętności „Konara" był przygotowany przez niego atak na wartownię niemiecką w fabryce sklejki Panel w Piotrkowie, do którego doszło w listopadzie 1943 roku.

[106] Tamże. Wspomnienia Ireny z Sęp-Szarzyńskich Spychałowej nie pozwalają na jednoznaczne stwierdzenie, że s. Aleksandra Kicman miała ją na myśli, pisząc o „łączniczce Irenie". Więcej informacji na temat jej działalności znajdziemy w zaświadczeniu, jakie w 1971 r. wystawili Irenie jej dwaj konspiracyjni przełożeni, mjr Stefan Szlązak, ps. „Malwa", i Henryk Kruszewski, ps. „Olech", którzy potwierdzają, że nie tylko zaopatrywała w leki konspiracyjne szpitaliki, ale utrzymywała również kontakt ze szpitalami w Opocznie i Piotrkowie, zawożąc do nich ciężko rannych na operacje – zob. Aneks.

[107] Wykaz zespołów dywersyjnych w Obwodzie Piotrków Trybunalski – zob. M. Kopa, A. Arkuszyński, H. Kępińska-Bazylewicz, tamże, s. 27.

[108] Zob. tamże, s. 637. We współpracy z innymi zespołami dywersyjnymi „Motor" wziął na cel m.in. niemieckie mleczarnie, niszcząc akta kontyngentowe i urządzenia mleczarskie. Nasilenie akcji wymierzonych w okupacyjną administrację rolną przypadało zwłaszcza na drugą połowę 1943 roku. W październiku Kedyw zorganizował akcję wymierzoną w powiatowy urząd kolczykarski w Piotrkowie, niszcząc tamtejsze rejestry – zob. tamże, s. 67-68.

[109] Zob. tamże, s. 61.

GRZESZCZAK.indd 64 12.11.2024 20:23:42

Dowódca zespołu dywersyjnego „Motor", który pracował wówczas w fabryce, dokonał szczegółowego rozpoznania, a następnie dziesięcioosobowy zespół dywersyjny pod dowództwem ppor. Henryka Krzyżańskiego, ps. „Stefan", uderzył w biały dzień w czasie zmiany warty, zaskakując całkowicie niemiecką załogę. Kedyw zabrał z wartowni jeden rkm, kilkanaście karabinów, broń krótką i amunicję[110].

Na terenie Obwodu Opoczno AK odbyły się dwa zrzuty cichociemnych[111]. Do obsługi zrzutów zorganizowano placówki odbiorcze, podległe bezpośrednio Komendzie Głównej AK. W nocy z 19 na 20 lutego 1943 roku wylądowało na terenie Obwodu czterech cichociemnych, których odebrała placówka zrzutowa „Pies" w Radzicach koło Opoczna. Miesiąc później, w nocy z 19 na 20 marca 1943 roku, przeprowadzona została operacja pod kryptonimem „Beam", w czasie której zrzucono kolejnych trzech cichociemnych. Odebrała ich placówka „Mewa" w trójkącie między wsiami Wielka Wola – Alfonsów – Grzymałów. Po północy brytyjski bombowiec Halifax zrzucił najpierw sześć kontenerów z bronią, amunicją i lekarstwami, a następnie w trudnych warunkach, przy wietrznej pogodzie, wylądowali cichociemni. W Paradyżu u fryzjera Marczaka działał punkt kontaktowy, do którego zgłosił się jeszcze tej samej nocy zaginiony skoczek ppor. Ignacy Konstanty, ps. „Szmaragd". Akcją przyjęcia cichociemnych i kontenerów kierował Henryk Kruszewski, ps. „Olech", stojący na czele dziewięcioosobowej grupy, w której skład wchodzili: Leon Wach, ps. „Jaskółka", Antoni Grabowski, ps. „Czapla", Tadeusz Szczegielniak, ps. „Zawisza", Stanisław Stańczyk, ps. „Miecz", Stefan Mirecki, ps. „Snopek", Mieczysław Stańczyk, ps. „Żbik", Ewaryst Tyczyński, ps. „Cichy", Wincenty Wach, ps. „Maciek", i Marian Turek, ps. „Sylwek"[112].

Ostatnim, a jednocześnie najbardziej dramatycznym okresem wygnania był styczeń i początek lutego 1945 roku, a więc czas odwrotu i ucieczki Niemców oraz wkroczenia Armii Czerwonej do Paradyża. Wieś, w której Irena znalazła schronienie w czasie okupacji, stała się teatrem krwawych walk, których na pierwszy rzut oka chaotyczny przebieg możemy prześledzić w jej wspomnieniach.

Dnia 12 stycznia 1945 roku Armia Czerwona rozpoczęła wielką operację, zwaną wiślańsko-odrzańską. 1. Front Ukraiński, dowodzony przez marszałka I. Koniewa, oraz 1. Front Białoruski marszałka G. Żukowa ruszyły do natarcia z dwóch przyczółków na Wiśle i Opoczno znalazło się pomiędzy tymi wielkimi sowieckimi

[110] Zob. tamże, s. 71-72.

[111] Zob. L. Świątek-Nowicka, *Cichociemni na Ziemi Opoczyńskiej. W 80. rocznicę pierwszego zrzutu Cichociemnych na teren okupowanej Polski*, https://www.facebook.com/muzeum.opoczno/posts/pfbid032bp4MCRkSWXBHnDR4LKfGifwX4utRCsVsuKKBwXSTpzhpUkfvpBmPEHy9HBkoaGbl [dostęp: 28.02.2024].

[112] Zob. tamże.

GRZESZCZAK.indd 65 12.11.2024 20:23:42

zgrupowaniami. Przeciwko nacierającym ze wschodu siłom Żukowa Niemcy mogli wystawić znacznie mniejsze oddziały Grupy Armii A, składające się głównie z różnego rodzaju jednostek tyłowych, rezerwowych, a także cieszących się złą sławą wśród miejscowej ludności batalionów azerskich i turkiestańskich, zwanych potocznie „Mongołami" lub „Własowcami". Z południa w rejon Opoczna zmierzały też pobite na przyczółku baranowsko-sandomierskim i wycofujące się spod Kielc zdziesiątkowane niemieckie korpusy. Ponosząc ogromne straty, wycofywały się ku przeprawom na Pilicy przez teren obecnego powiatu opoczyńskiego[113]. Jak pisze Wiktor Pietrzyk: „Wobec bardzo dużej przewagi Rosjan, działania bojowe sprowadziły się do wielkiego odwrotu armii niemieckiej. Już pierwsze dni ofensywy pokazały, że żołnierze Wehrmachtu wycieńczeni, osłabieni, często pozbawieni woli walki, chcieli jak najszybciej i przy jak najmniejszych stratach wycofać się na zachód"[114].

Dowódcom wycofujących się spod Kielc formacji zależało na szybkim dotarciu do Pilicy i dlatego podczas narady w Białaczowie, do której doszło 18 stycznia, podjęli decyzję o ataku na zajęty już przez Rosjan Paradyż. Nazajutrz o trzeciej nad ranem do walki ruszyła niemiecka piechota. Rosjanie stawili jednak opór i ostateczne przełamanie ich linii obrony było możliwe dzięki oddziałom pancernym dowodzonym przez gen. Walthera Nehringa, które wbiły się w głąb pozycji wroga i podążyły w kierunku Sulejowa, gdzie zamierzały przeprawić się przez Pilicę. Ten „Wędrujący Kocioł Nehringa", jak określali niemieccy sztabowcy zmierzającą na zachód masę wojska, tocząc walkę z napotkanymi po drodze sowieckim jednostkami pancernymi, przeprawił się przez Pilicę 20 stycznia 1945 roku[115]. Warto jednak zaznaczyć, że na styczniowym teatrze walk w rejonie Opoczna oddziały gen. Nehringa nie były jedynymi, które usiłowały przebić się na zachód. Na kierunku północnym ten sam cel przyświecał pozostałościom niemieckiej 9 Armii, która cofała się na zachód pod naporem wojsk Żukowa[116]. Oddziały niemieckie ulegały rozproszeniu, często dzieliły się na małe grupki, które indywidualnie przedzierały się na zachód. Po przejściu grupy gen. Nehringa Paradyż został zaatakowany po raz kolejny przez Niemców, którzy 21 stycznia wyrwali się z kotła pod Ruskim Brodem niedaleko Przysuchy, oraz inne pozostające w pobliżu oddziały. Według zawyżonych raportów sowieckich, w starciu tym wzięło udział 2500 żołnierzy niemieckich

[113] Szczegółowe informacje na temat niemieckich formacji wycofujących się na zachód – zob. W. Pietrzyk, *Styczeń 1945. Epizody opoczyńskie*, Opoczno 2020, s. 11-24.

[114] Tamże, s. 25.

[115] Na temat „Wędrującego Kotła Nehringa" – zob. tamże, s. 55-65.

[116] Zob. tamże, s. 28-48.

GRZESZCZAK.indd 66 12.11.2024 20:23:42



Budynek dawnej Spółki Rolniczej w Paradyżu. Fot. J. Grzeszczak

oraz 20 czołgów[117]. W walkach pod Paradyżem 21 stycznia poległo szesnastu czerwonoarmistów, z których czternastu pochowano w zbiorowej mogile przy murze kościelnym.

W dniach pomiędzy 18 a 21 stycznia 1945 roku doszło w Paradyżu do wydarzenia, które na trwałe zapisało się w pamięci mieszkańców. Pisze W. Pietrzyk: „W wyniku walk o tę miejscowość czerwonoarmiści pojmali znaczną grupę żołnierzy niemieckich, można tutaj przyjąć liczbę nawet około 200 osób. Byli to głównie ochotnicy ze szczególnie znienawidzonych przez sowietów formacji wschodnich. Żołnierze Wehrmachtu wprowadzani byli grupami do murowanego budynku miejscowej Spółki Rolniczej w centrum miejscowości. W obszernej sali budynku, po krótkim przesłuchaniu, byli rozstrzeliwani seriami z broni maszynowej. Następnie w tym samym celu doprowadzano kolejną grupę Niemców. Relacje starszych osób są zbieżne. W krótkim czasie pomieszczenia budynku zapełniły się ciałami «aż po parapety». Na koniec Rosjanie mieli wrzucić do pomieszczenia granaty. Ten makabryczny obraz trwał w Paradyżu przez dobre kilka dni, aż do momentu zorganizowania pochówku. Zastanawiające jest, dlaczego Rosjanie zachowali się w Paradyżu w taki właśnie sposób? Próbą wytłumaczenia może być znaczna determinacja Niemców w walkach o Paradyż i chęć zemsty Rosjan za stawiany opór. Nie jest to zapewne jedyny powód”[118].

[117] Zob. tamże, s. 68.

[118] Tamże, s. 69-70. Nieliczne relacje świadków zawierają jeszcze inne szczegóły tych dramatycznych wydarzeń. Do budynku Spółki Rolniczej mieli być

GRZESZCZAK.indd 67 12.11.2024 20:23:42

4. Zasady edycji

Ogólną zasadą, jaką przyjęto, przygotowując do druku tekst wspomnień naszej bohaterki, jest dążenie do nadania mu charakteru możliwie uwspółcześnionego, a co za tym idzie, ułatwiającego lekturę. Służą temu niewielkie korekty ortograficzne i interpunkcyjne, a także wyodrębnienie dialogów osób występujących w tekście.

Wyrazy w języku niemieckim dostosowano do zasad współczesnej ortografii, podając jednocześnie w przypisach niezbędne wyjaśnienia terminów. W nawiasie kwadratowym umieszczono imiona występujących we wspomnieniach postaci. Aparat krytyczny w przypisach stanowi uzupełnienie prezentacji tła historycznego, dokonanej we wstępie.

doprowadzeni po ustaniu walk jedynie schwytani przez Rosjan ochotnicy z oddziałów wschodnich Wehrmachtu, zwani potocznie Własowcami, Ukraińcami czy Mongołami. Jeńcy mieli być brutalnie przesłuchiwani, a cała akcja trwała około dwa dni. Ciała rozstrzelanych znajdowały się w pomieszczeniu od strony szosy. Mogły tam pozostawać nawet kilkanaście dni i zaczęły się rozkładać. Pochówek urządzono w niewielkim lesie po południowej stronie kościoła w Paradyżu. Budynek dawnej Spółki Rolniczej w Paradyżu istnieje po dziś dzień. Korzystam z okazji, by podziękować Panu Wiktorowi Pietrzykowi za powyższe informacje.

GRZESZCZAK.indd 68 12.11.2024 20:23:43

Część II

Oddać głos bohaterce – wojna i okres powojenny we wspomnieniach Ireny z Sęp-Szarzyńskich Spychałowej



‹ *Pałac w Białaczowie. Fot. ze zbiorów Muzeum Regionalnego w Opocznie*

GRZESZCZAK.indd 70 12.11.2024 20:23:43

Pamiętny wrzesień 1939 roku

W sierpniu nie szła już żadna robota. W ostatnich dniach sierpnia dostałam wezwanie do Konina, na któryś dzień września, po instrukcję do funkcji opiekunki społecznej dla nieletnich. Termin był już na któryś dzień na początku września. Termin ten utonął już w płomieniach licznych pożarów. W dniu 1 września czułam się wymęczona nerwowo. Nie spałam całą noc. Ostatnie dni zbyt dużo wrażeń dostarczyły. Co rusz ktoś ze znajomych odchodził do wojska. Kilku pracowników przyszło pożegnać się. Któregoś dnia zjawiło się kilku żołnierzy z młodym oficerem. Oglądali teren, gdzie miały być kopane okopy. Były to brzegi Prosny, do których był włączony park. Poprosiłam oficera na herbatę. Był bardzo zdenerwowany. Byliśmy sami. W pewnej chwili chwycił mnie za rękę, oparł o nią czoło i... rozpłakał się. Zrobił wrażenie dziecka, które zagubiło matkę. Zgłupiałam. „Co panu jest?" Wbrew temu, co czułam, ryknęłam na niego z gniewem, że żołnierz nie powinien mazać się, a on jako oficer powinien dać przykład odwagi. Zmieszał się i powiedział: „Niech pani wybaczy, ale mam takie złe przeczucia". Nie dopił herbaty i poszedł. Dziecko w mundurze, pewnie już matki nie zobaczył. W późniejszych przeżyciach często przychodził mi na myśl.

W ten dzień pierwszego września, ledwie dnieć zaczęło, usłyszałam jakby brzęczenie coraz głośniejsze. Wybiegłam na skraj parku. Na bardzo dużej wysokości płyną grupowo, lśniące w słońcu, pękate samoloty – bombowce. Wkrótce słychać głuche detonacje.

W dzień istne piekło. Tu, gdzie nigdy nikt nie zaglądał, nagle korowód wozów, bryczek, powozów pieszych. Wszystko to w popłochu jedzie, nie wiedząc dokąd. Zatrzymują się na krótki odpoczynek lub nocleg i jazda dalej. Uciekają przed Niemcami. Strach bezgraniczny we wszystkich twarzach. Przychodzi na piechotę z Pleszewa mój dawny polonista, prof. Ignacy Laskowski[1].

[1]Ur. 4.08.1883 r. w Sulmierzycach w rodzinie kowala; absolwent gimnazjum w Ostrowie Wlkp. studiował następnie polonistykę na Uniwersytecie

GRZESZCZAK.indd 71 12.11.2024 20:23:43

– Czemu pani nie ucieka? Uciekajmy razem!

– Panie profesorze, ale gdzie? Do czego? Ja się nie ruszam!

Okropność, jak ci ludzie szaleją z tą ucieczką. Zupełny obłęd. Nie rozumiem, jak można tak wszystko zostawić i pędzić na taką nieznaną tułaczkę. Ludzie moi zaczynają denerwować się i przebąkują, że i nam trzeba uciekać, bo Niemcy mają wyłapywać wszystkich mężczyzn. Orientuję się, że panikę rozsiewa profesor. Jego namowy nie trafiają do mnie. Noc – straszna noc, pierwsza wojenna. Huki wysadzanych mostów, od których drżą i pękają szyby[2]. Krwawe niebo od łun spalonych naokół stogów ze zbożem, które mają nie dostać się w ręce wroga. Drogą od czasu do czasu gromadki żołnierzy lub samochodów z oficerami przepychają się przez tłum uciekinierów. Nie odpowiadają na nagabujące pytania. Ta panika nie udziela mi się, ale jestem bezradna. Idę do obory. Tam Ferla[3] sam spokojnie oprząta krowy. Dwa rzędy wypielęgnowanych, lśniących, czarno-białych, spokojnych bydląt. Z mlekiem nie wiem, co zrobić. Wychodzę na drogę. Drogą pędzi wojskowy łazik. Zatrzymują się. Jakiś wygwiazdkowany wojskowy pyta o drogę. Na moje pytanie, czy i gdzie mogłabym zgłosić bydło na użytek wojska, odpowiada, że nie ma czasu i że nie może mi dać tych informacji, i dodaje gazu. Wszyscy uciekają w panice, ale gdzie, dokąd, nikt nie wie. Na drugi dzień moi ludzie chcą uciekać. Tłumaczę, powstrzymuję. Ustępujemy sobie nawzajem. Konie i wozy są gotowe do wyjazdu, ale na razie zostajemy. Wyruszamy wtedy, kiedy gospodarze z Niniewa też będą wyjeżdżać. Wozy załadowane w żywność, obroki dla koni, pościele, ciepłą odzież i miejsce dla dzieci i starszych, reszta ma iść przy wozach. Ociągam, jak mogę. W nocy przybiegają z płaczem, że ich chcę narazić na niebezpieczeństwo i że jadą sami, bo Niniew już wyjechał. W popłochu zaprzęgają konie i ładują się na wozy. Patrzę jak na wariatów. Ferla zostaje przy krowach, ale syn jego Adek woli z innymi. No cóż robić? Zakładam kożuch, pas z rewolwerem, do pasa na smyczach przywiązuję trzy moje setry i idę za całą karawaną, pilnując porządku. Na pierwszym skrzyżowaniu dróg wsiąkamy w rzekę uciekinierów. Dużo wysiłków kosztuje, żeby nie pogubić się.

Jagiellońskim w Krakowie, gdzie rozkochał się w twórczości Młodej Polski i *Weselu* S. Wyspiańskiego. W Pleszewie uczył w latach 1919-1939 i 1945-1948 języka polskiego, matematyki, historii i gimnastyki. Okupację przeżył w Generalnym Gubernatorstwie, w rejonie Opoczna, gdzie zaangażował się w tajne nauczanie; zm. 12.04.1954 r. Zob. *Oni nas uczyli*, s. 58-59; *Ludzie – Lata – Szkoła. Gimnazjum i liceum w Pleszewie (1871-1996)*, oprac. zbiorowe, Pleszew 1996, s. 240-242.

[2] Wysadzony wówczas w powietrze most na Prośnie w pobliskim Czołnochowie został odbudowany w okresie okupacji ze zwężoną jezdnią, która pozostała po dziś dzień.

[3] Oborowy pochodzenia niemieckiego w majątku Sęp-Szarzyńskich.

GRZESZCZAK.indd 72 12.11.2024 20:23:43

Świt zastaje nas piętnaście kilometrów od domu, w Łukomiu[4]. Duży majątek, bogaty w łąki i bagna. Idę do dworu. Właśnie właścicielka wsiada do karety. I tu panika spowodowana ucieczką. Moim ludziom oczy zaczynają się otwierać. Na niebie rozdzierające błyski i słychać bliskie detonacje. Konin, do którego wszyscy kierują się, bombardowany. Moi ludzie zgadzają się na zatrzymanie i odpoczynek. Zaczynają rozglądać się, myszkować. W sąsiedniej stodole znajdują trupa młodej kobiety z wykrzywioną twarzą, a obok martwe niemowlę. Zmarła przy połogu. Leżą opuszczone, nie ma ich kto pochować, bo wszyscy są zajęci sobą i opanowani paniką. Ten widok definitywnie przemówił im do rozumu o bezsensie ucieczki i zdecydowali powrócić do domu. Czekamy, aby droga była wolniejsza, bo „pod prąd" nie przebijemy się. Tymczasem wysyłamy Adka, aby zasięgnął języka, a sami gotujemy zabrane w zapasach kury. W zdenerwowaniu, w ostatnich dniach nie dojadali, więc teraz apetyt sprzyja. Zaczynają rozsądniej myśleć. Adek wraca. Okazuje się, ze niniewiacy wcale nie wyjechali. A u nas w pustych mieszkaniach zjawiają się złodzieje. No, nareszcie wracamy! Już wieczór zapadał, gdy dobijamy do domu, szłam naprzód. Psy, czując dom – rwą, mało mnie nie przewrócą. W domu znać nieproszonych gości, zwłaszcza w zapasach w spiżarni.

Gospodarze z Niniewa śmiali się ze mnie i tej parogodzinnej wędrówki. Z niniewiakami mało i średnio rolnymi byłam zawsze w zgodzie, natomiast z Rudą Wieczyńską były stale zatargi o wypasanie łąk i kradzieże na polach. Może dlatego, że łąki były od ich strony i granice dalej od zabudowań, więc nie tak na oku. Zaczęło się życie, co dnia przynoszące coś nowego. Robota w ogóle nie szła.

Często ukazywali się osobnicy robiący wrażenie wypuszczonych z więzień. Z rewolwerem nie rozstaję się. Broni nie zdałam, mimo zalecenia policji. Któregoś dnia wtargnął do mieszkania jakiś podejrzany drab z miną wiele mówiącą. Na moje pytanie, czego chce, odpowiedział, że mnie to nie powinno obchodzić, mam cicho siedzieć, i zagroził mi pięścią. Byłam sama. Nie myśląc wiele, wyciągam szybko rewolwer, odrepetowałam i celując w draba, żądam opuszczenia domu. Wycofał się, był zaskoczony. W nocy śnił mi się, że zastrzeliłam go, że broczył krwią, a ja trupa wywlekłam z mieszkania. Nerwy coraz więcej rozłażą się.

Natenczas miałam jako gosposię Marcię[5]. Byłam z niej zawsze zadowolona. Troszczyła się o mnie do tego stopnia, że gdy późno wra-

[4] Wieś obecnie w gminie Zagórów, w powiecie słupeckim.

[5] Marta Augustyniak, ur. 3.10.1912 r. w Niniewie; w 1951 r. poślubiła Jana Spychałę (1926-1990), bratanka Jana Spychały, męża Ireny Sęp-Szarzyńskiej; zm. 18.01.1997 r., pochowana w Dziekanowicach k. Gniezna.

GRZESZCZAK.indd 73 12.11.2024 20:23:43



Ślub Marty Augustyniak z Janem Spychałą, Gniezno, 1.02.1951.
Na pierwszym planie od lewej: Zofia Spychała, Jan Spychała (mąż Ireny Sęp-Szarzyńskiej),
Marta Augustyniak, Jan Spychała. Fot. ze zbiorów Zofii Stachowiak

całam do domu, przeważnie czekała. Miałam zawsze łóżko wygrzane bańką z ciepłą wodą, bo sypiałam w nieopalonym pokoju. W niedziele, w które nie wyjeżdżałam, dostawałam od niej śniadanie do łóżka, zawsze z jakimś świeżo upieczonym ciastkiem. Właściwie to w ciągu całego mego żywota to taką troskę o mnie miałam tylko od niej. Któregoś dnia Marcia rano przychodzi i opowiada swój sen, w którym widziała stos rowerów przed domem i dużo mężczyzn robiących rewizję. Uradziłyśmy, że trzeba broń schować. Tego dnia doszła nas wiadomość, że w okolicy jest już wojsko niemieckie i że zrobili rewizję u proboszcza[6] w Choczu. Znaleźli pod ołtarzem ładunki od rewolweru. Zabrali proboszcza do Kalisza na badania. Człowiek ten, starszy, otyły, na pewno nie miał nic wspólnego z bronią. Był w Kaliszu torturowany i pewnie już trupa rozstrzelali w pobliżu kościoła św. Józefa. Jest tam teraz pamiątkowa tablica. Po tej wiadomości postanowiłam w nocy broń zakopać, a tymczasem rewolwer włożyłam do szufladki w stoliku przy łóżku. Szufladka otwierała się przez wy-

[6]Ks. Roman Pawłowski (1878-1939), kanonik honorowy Kapituły Kolegiackiej w Kaliszu, w latach 1936-1939 proboszcz parafii pw. św. Andrzeja Apostoła w Choczu. Rok przed wybuchem wojny włączył się w spór sądowy z Niemcami o przejętą przez nich szkołę w Józefowie, wspierając swoich polskich parafian. Aresztowany w wyniku donosu i prowokacji, po brutalnym przesłuchaniu został rozstrzelany 18.10.1939 r. w publicznej egzekucji u zbiegu ul. Chodyńskiego i Placu św. Józefa w Kaliszu.

GRZESZCZAK.indd 74 12.11.2024 20:23:43

suwanie do dołu, nie mając zaczepu na zewnątrz. Myślę, będzie pod ręką w razie czego, a schowam go, gdy zajdzie potrzeba. Bębenkowiec wrzuciłam do dużego wazonu. Sztucer, uszykowany już do zakopania, wsunęłam głęboko pod szafę. Dubeltówka została na wieszaku na widocznym miejscu na haku.

Była niedziela. Jak zwykle robiłam tygodniowe porządki i najmilsze zajęcie – bukiet z jesiennych kwiatów. Marta kręciła się po mieszkaniu. Moja Norka była niespokojna, cisnęła się do mnie z przestrachem w oczach. W pewnej chwili Marcia, wyglądając przez okno, zawołała: „Proszę panienki, rowery, tak widziałam we śnie!". Rzeczywiście, na trawniku przed domem stos rowerów, ale nie widać nikogo. Nic nie słyszałyśmy. Okazuje się, że to grupa miejscowych Niemców, już ze stajni wyprowadza najlepsze konie. Dowodzi miejscowy, bogaty bamber[7] Finke, znany znawca koni, znałam go dobrze. Po chwili już są w mieszkaniu: „Gdzie broń?". „Mam tylko dubeltówkę, resztę zdałam policji, ładunki pewnie znajdziecie po kątach, bo ich nie szukałam przy zdawaniu broni". Oddaję mu dubeltówkę i widzę przerażoną minę Marty. „To my sprawdzimy". I zaczęło się plądrowanie, po czym znikają różne drobiazgi. Przegląd szufladek w moim pokoju, przypominam sobie rewolwer przy łóżku. Minę mam obojętną, ale łydki cierpną. Niemiec dochodzi do stolika, szuka szuflady. Widocznie nie ma – odchodzi. Uff! Wynoszą się.

W Gizałkach jest podobno jakiś starszy wojskowy. Idę tam za bandą Niemców prowadzących moje najlepsze konie. Oficer nie chce ze mną rozmawiać. Jeden żołnierz podchodzi z groźną miną i mówi, że dowiedział się, że ja mam jeszcze broń, bo dowiedział się, że nie zdawałam jej. Robię również groźną minę i z tupotem oświadczam mu, że wobec takiego posądzenia żądam ponownej dokładnej rewizji. Niemiec zwątpił i bez słowa odszedł. Ale moja mina nie lepsza, skoro zastanowienie przychodzi. Mogłoby być tak, jak z proboszczem z Chocza! Przeszło szczęśliwie.

W nocy musi być broń zakopana. Była ciemna noc, miejsca miałam upatrzone wcześniej, w oknie inspektowym. Broń zawinięta i naoliwiona. W ciemnościach kopię dół. Czuję, że ktoś kręci się koło mnie, czuję, że włosy stają mi dęba. Miękkie futerko kota ociera się o moją nogę. Rozluźnienie nerwów. Teraz bez broni czuję się naprawdę bezradną, słabą niewiastą.

Nadchodzi pora koszenia łąk. O siewach na razie mowy nie ma. Kosi dwóch starszych chłopów i stara Maćkowiaczka, która teraz komandę bierze w swoje ręce. Ale przy takim braku rąk do pracy za

[7] Nazwa na określenie osadników z rejonu Bambergu we Frankonii, którzy w pierwszej połowie XVIII wieku osiedlili się w wyludnionych w wyniku wojen i zarazy okolicach Poznania; tutaj zamożny rolnik.

GRZESZCZAK.indd 75 12.11.2024 20:23:44

wiele pracy i robota nie idzie. W urzędach już wszędzie Niemcy. Podobno po tym niedzielnym najściu przyszła do gminy jedna miejscowa Niemka z awanturą, że mnie skrzywdzili. Podobno często później stale ich nachodziła z pretensjami o mnie i broniła mnie zaciekle. Była to Niemka, której dużo w jej biedzie pomagałam. Nie pamiętam, jak się nazywała (Gepar?). Miała małe dzieci, mąż ją opuścił. Odnalazłam ją na Kolonii Oborskiej przez przypadek.

Kiedyś zachorowała moja ulubiona siwka. Nażarła się świeżego jęczmienia. Siedziałam przy niej dwie doby. Ludzie zmieniali się. Beznadziejnie! Wreszcie prośba do św. Antoniego, do którego zawsze w biedzie modliłam się. Ale ten święty nic za darmo. Jeżeli klacz wyzdrowieje, odszukam jakąś biedę i pomogę. Ostatni zastrzyk, taki ryzykowny, poparty prośbą do św. Antoniego. Po pół godzinie siwka wstaje, otrząsa się, parskając. Wzdycha z ulgą i ja też. W niedzielę już ją Józku[8] zaprzęga i jedziemy na poszukiwanie biedy. Znaleźliśmy, aż piszczała! Przed wieczorem zawiózł Józku worek rzeczy, żywność, forsę na kupno kozy. Baba odwiedzała mnie dość często, mimo odległości. Widać poczciwe było babsko, tylko niezaradne. Nie myślałam, że kiedyś będę miała z niej protektorkę.

Wiadomości coraz gorsze, podobno jest wielu polskich jeńców. Na drogach spotyka się powracających młodych ludzi, przeważnie rannych. Spieszą do swych rodzin. Od Michała wiadomości nie ma. Znowu Marta ze swoim proroczym snem. W jej śnie Michał wraca na rowerze, bez butów, zabiedzony i zawszawiony. Dostaję polecenie upieczenia chleba i przygotowania jedzenia dla dwustu polskich jeńców, mających za dwa dni przechodzić. Nie ma mąki i soli, jest nadmiar masła i mleka, którego nie ma gdzie odstawiać. Pieniędzy ludzie nie biorą. Mają być teraz marki niemieckie. Właściciel młyna, Niemiec, wymienia mi zboże na mąkę. Pieczemy we wszystkich piecach. Jest sto udanych, wielkich, okrągłych bochenków. Wszystko gotowe, ale jeńców nie ma. Przeprowadzili ich inną drogą, tam gdzie nie było nic dla nich do jedzenia, i szli dalej głodni, zdrożeni, ranni i obdarci na niewiadomą przyszłość.

W październiku odbierają mi Obory. Kilku obcych Niemców ogląda wszystko, szwargoczą, nic nie rozumiem. Stale tylko z zadowolenia klepią mnie po plecach i powtarzają: „Gut, gut". Wreszcie naradzają się i przez tłumacza mówią, że ponieważ widzą, że dobrze gospodaruję, na razie zostawią mnie i pod kontrolą poprowadzę nadal gospodarstwo ku chwale Rzeszy. No, zobaczymy, jak to teraz pójdzie! Odtąd miałam co parę dni wysyłać raporty do Ciemierowa i stamtąd odbierać polecenia. Trzeba teraz inaczej wszystko zorganizować. Przede

[8] Józef Helwing (1928-2021), ur. w Szymanowicach; pracę w Oborach jako woźnica rozpoczął w wieku 10 lat.

GRZESZCZAK.indd 76 12.11.2024 20:23:44

wszystkim zawsze jeden chłopak stał na straży, obserwując, czy ktoś nie jedzie, a my wszyscy po kątach opowiadaliśmy sobie nowinki. Maszyny stale się psuły. Puszorki u uprzęży niewidzialna ręka przecinała. Konie – te, co zostały, często owiązane workami, bo „w nocy były chore" musiały stać. Gdy Niemiec zjawił się, ruch się robił. Niemiec biegał po kątach, krzycząc: „Arbeiten, arbeiten", my zaś za nim, „słuchając" jego poleceń. Zawsze coś zabierał ze sobą. Prędko zorientowaliśmy się, że Niemiec chytry, ale na niczym nie zna się.

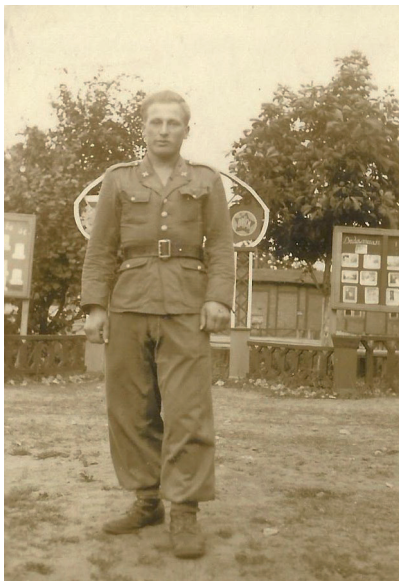

Józef Helwing. Fot. ze zbiorów Jana Helwinga

W tym czasie sprawdził się drugi sen Marci i to dokładnie. Michał wrócił tak, jak we śnie Marty. Wiedziałam, że przyjdzie czas, kiedy mnie wywiozą. Opóźnia się mój wyjazd tylko dlatego, że nie mają odpowiedniego człowieka do gospodarstwa. Któregoś dnia przyjechał wójt, Niemiec, proponując mi podpisanie listy folksdojczki. Tłumaczę, że nie mam nikogo w rodzinie niemieckiego pochodzenia. „To się da zrobić" – pociesza mnie Niemiec. Ale mnie już poniosło, więc mówię: „No dobrze, ale co będzie wtedy, kiedy was diabli wezmą, a to niewątpliwie nastąpi?". Wójt z przekonaniem: „Führer zawsze będzie". No, każdy ma swoje zdanie.

W parę dni po tej rozmowie dostaję stałego opiekuna, młodego, miejscowego Niemca. Teraz ja przychodzę do niego po dyspozycje i ściśle wykonuję jego polecenia, z których wychodzą niesamowite kawały. Wreszcie Niemca odwołują, udzieliwszy mu surowej nagany. Ale przez ten krótki czas gospodarstwo zostało odpowiednio spreparowane. Jak szybko można zrujnować, a jak trudno budować! Jak Obory, tak i wszystko wygląda w tym krótkim wojennym czasie. Na polach zgliszcza stogów, prowizoryczne mosty na miejscu wysadzonych przed wkraczającym wrogiem. W pierwszych dniach po tej panicznej ucieczce na polach błąkało się bezpańskie bydło, w popłochu spuszczone z łańcuchów przez uciekających. Trafiało się na koniczyniskach bydło wzdęte, popękane. Nakazy ewakuacji były często podpisywane przez miejscowych starostów, którzy, nim się człowiek zorientował w sytuacji, zwiali wraz z wszystkimi urzędami i policją. Wiele osób w tej ucieczce straciło całe mienie, a często i życie, bo naloty samolotów z niskiej wysokości siekły po większych skupiskach

GRZESZCZAK.indd 77 12.11.2024 20:23:44

na drogach. Coraz częściej słyszało się o aresztowaniach. Powstańcy wielkopolscy byli rozstrzeliwani publicznie. Wiedziałam, że do powstańców należał budowniczy Szklarski[9] i że on miał za zadanie we wrześniu 1939 roku wysadzać okoliczne mosty na Prośnie i Warcie. Którejś nocy, już po odejściu Niemca, ktoś puka do drzwi wejściowych do kuchni (dziwnie wtedy nie reagowały na obcych psy, dawniej zawsze czujne, teraz zrobiły się płoche). Ku mojemu zdziwieniu w drzwiach staje Szklarski w roboczym kombinezonie. Z beztroskim uśmiechem oznajmia, że przyszedł po krzesło, bo w jego obecnych warunkach brak mu tego sprzętu, no i najeść się.

Okazuje się, że spod łap niemieckich uciekł w ostatniej chwili do Spychały, rządcy w Kretkowie. Potem pod zmienionym nazwiskiem Kaczmarek zaciągnął się do brygady robotników, którą Niemcy zorganizowali do stawiania prowizorycznych mostów. Po pewnym

[9] Stanisław Szklarski, s. Józefa i Katarzyny Bańkowskiej, ur. 2.05.1900 r. w Babie w powiecie mogileńskim. Po ukończeniu szkoły powszechnej kontynuował w latach 1910-1918 naukę w gimnazjum w Mogilnie, a następnie w Trzemesznie. W 1915 r. założył Towarzystwo Młodzieży Pracującej na powiat mogileński, a rok później drużynę harcerską. Obydwie organizacje sprzeciwiały się narzucanej przez władze zaborcze germanizacji młodzieży, a wielu harcerzy wzięło później udział w Powstaniu Wielkopolskim. W 1917 r. został wydalony z gimnazjum w Trzemesznie po ukończeniu VII klasy i wtrącony na cztery miesiące do więzienia. W styczniu 1918 r. został wcielony do Cesarskiej Marynarki Wojennej w Świnoujściu. Na skutek negatywnej opinii wydanej przez niemiecką administrację z Mogilna przeniesiono go do batalionu zapasowego 2 pułku piechoty w Świnoujściu. W czasie pobytu w wojsku nawiązał kontakt z organizacjami niepodległościowymi w Poznaniu, we wrześniu 1918 r. oddalił się z jednostki, a 20.11.1918 r. przedarł się przez niemiecki kordon graniczny w Skalmierzycach i wziął udział w formowaniu polskiego batalionu pogranicznego w Szczypiornie pod Kaliszem, włączonego następnie do 29 pułku Strzelców Kaniowskich w Kaliszu. 24.12.1918 r. brał udział w ataku na niemieckie pozycje w Skalmierzycach. Po wybuchu Powstania Wielkopolskiego brał udział w starciach z Niemcami pod Ostrowem Wlkp., Krotoszynem i Poznaniem. Przeniesiony na własną prośbę do 11 pułku Strzelców Wielkopolskich, brał udział w bitwach pod Kobylinem, Szkaradowem, Miejską Górką i Rawiczem; trzykrotnie ranny. W 1921 r. ukończył Szkołę Podchorążych w Warszawie, a następnie pracował jako instruktor techniczny w Krakowie. W 1925 r. ukończył studia inżynierskie i został przeniesiony do rezerwy jako inwalida w stopniu sierżanta podchorążego. W okresie międzywojennym pracował na stanowisku budowniczego powiatowego w Kościanie. Po wybuchu wojny ścigany przez Niemców jako przestępca polityczny. Działał w podziemiu w Wielkopolsce, w Łodzi i na terenie Generalnego Gubernatorstwa. Jego żona Paulina z d. Szulczyk została zesłana do obozu koncentracyjnego w Oranienburgu, a dzieci do obozu pracy. Po wojnie kontynuował pracę w budownictwie i mieszkał w Kościanie. Zmarł 28.05.1971 r.; pochowany na cmentarzu w Poznaniu-Smochowicach, odznaczony Wielkopolskim Krzyżem Powstańczym – zob. S. Szklarski, *Mój Życiorys* (Kościan, 10.02.1947), w: Archiwum Państwowe w Lesznie, Związek Bojowników o Wolność i Demokrację w Lesznie, 7840.

GRZESZCZAK.indd 78 12.11.2024 20:23:44

czasie „Kaczmarek" był poszukiwany przez gestapo. Przyjechali do grupy pracujących robotników, w której właśnie był Kaczmarek – Szklarski, i z pytaniem o Kaczmarka zwrócili się właśnie do niego. Bez namysłu odpowiedział, że Kaczmarek poszedł do kierownictwa. Gdy ci udali się tam, polecił pracownikom (rzekome zlecenie Niemców) pomost szybko rozebrać, sam zaś szybko ulotnił się i zaszył w pewnej, uprzednio przygotowanej przez swego przyjaciela Spychałę melinie. Tam „gorliwy" pracownik Niemców wyrobił mu dokumenty, forsę i wszystko, co potrzeba do wyjazdu do Łodzi. Tam jako Hoffmann osiadł na posadzie, gdzie przesiedział do końca wojny. Dziwię się, że człowiek z tak charakterystyczną pękatą figurą i gębą klowna nie mógł być rozpoznany.

Teraz mam kłopoty z Michałem. Wierzymy, że wojna szybko minie. Trzeba znaleźć mu bezpieczne miejsce w okolicy. Udaję się do sąsiada Niemca w Nowej Wsi, o dobrej opinii, ożenionego z Polką, aby wziął Michała na praktykę lub dał mu jakieś zajęcie w swoim majątku. Dostaje rzekomą pracę, ale na krótko, bo właściciel obawia się władz. Wraca więc do domu. Ojciec tego sąsiada, starszy człowiek, z chwilą zaczęcia się inwazji, pochorował się ciężko i wkrótce zmarł, powtarzając stale: „Będzie nowy Grunwald". A więc Michał siedzi, na los szczęścia czeka. Wieczorami przy szczelnie zasłoniętych oknach gramy ze znajomymi w brydża, przeważnie ukrywającymi się w najbliższej okolicy, którzy przychodzą wieczorami.

Przed świętami Bożego Narodzenia „mój" Niemiec (władca) wybiera się na urlop do faterlandu[10] – rodziny i zabiera mi cały drób. Zostawia mi jedną kaczkę, a wszystkie oskubane pakuje się w paczki i wysyła do Ciemierowa. W czasie jego nieobecności kazałam zaprząc konie do powozu i objechałam z pożegnalną wizytą pozostałych jeszcze znajomych. Dużo już zostało wywiezionych, zwłaszcza z powiatu jarocińskiego. Zgromadzeni byli w Cerekwicy w bardzo przykrych warunkach, a potem wywóz do protektoratu. Te wywozy zaczęły się w październiku. Następowało to niespodziewanie. Potem, po ogołoceniu ze wszystkiego, co przedstawiało jakąś wartość, z punktu zbiorczego wywożeni byli dalej.

Moje ciotki z Kretkowa, starsze kobiety, wyjeżdżały ze swego majątku wozem od gnoju, który był tego dnia wywożony na pole. Spodziewałam się, że zaraz po świętach i mnie to czeka. Zaczęłam się więc przygotowywać do wyjazdu. Uszykowałam podniszczony barani kożuch. W zaszewki bielizny powszywałam wartościowe rzeczy tak, aby były niewyczuwalne. Wieści głosiły, że przy wywożeniu Niemcy dokładnie rewidowali. Najpotrzebniejsze i praktyczne rzeczy zapakowałam do torby uszytej z ciepłej, końskiej dery, nieprzemakalnej; może służyć

[10] *Vaterland* – ojczyzna.

GRZESZCZAK.indd 79 12.11.2024 20:23:44

po rozpruciu do przykrycia. Gdy Niemiec wrócił z urlopu i dowiedział się o moich wyjazdach, wpadł w złość. Powóz zabrał do Ciemierowa, a mnie zabronił oddalać się z Obór. Byłam kontrolowana, jakby w areszcie domowym. Zaczęły się młocki i sprzedaż zboża. Pieniądze kasowałam, ale zaraz musiałam odsyłać do Ciemierowa. Miałam nieraz większe sumy pieniędzy. Kazano mi prowadzić książki gospodarcze, dosyć szczegółowe, w języku niemieckim, a że go prawie wcale nie znałam, więc stale siedziałam w słowniku, a i tak kawały wychodziły.

W końcu stycznia mój szef stał się bardzo łaskawy. Z trudem z nim rozmawiałam, bo on po polsku, a ja po niemiecku nie umiałam. Wygłaszał do mnie długo przemówienia, z których wywnioskowałam, że zależy mu, żebym była przez okres robót i siewów wiosennych, i że o to się stara, ale że nie ma nadziei na zatrzymanie mnie dłużej. Kiedyś przyjechał bardzo zły, inspekcja była dłuższa niż zwykle. Wyjeżdżając, po pewnym wahaniu wydał polecenie, abym dla siebie i stołującej się służby zabiła świnię i zrobiła dużo wyrobów. Zdziwiła mnie ta hojność. Oczywiście wieczorny brydzik[11] przeciągał się prawie do rana. Przeczucie mówiło, że to pożegnalny wieczór, więc i butelczyna się znalazła.

Wygnanie – nowa epoka życia mojego

9 luty 1940 rok. Wygnanie w chwili, kiedy zdaje się, że szczęście pcha się po prostu w ludzkie życie. Wybucha niemiłosierna wojna, 1 września 1939 rok, Tadzik Zakrzewski powołany pierwszy, wkrótce Michał. W tym czasie wśród niepewności i obaw o nich, przeżywa się różne przykre zdarzenia wojenne. Michał z nadszarpniętym zdrowiem wraca szczęśliwie do domu w październiku 1939 roku, a od Tadka przychodzi list, że w niewoli, ranny i ma być wywieziony do Niemiec. Potem znów długo brak wieści. Nadchodzi dzień zajęcia przez Niemców Obór, wydziedziczenie. Przykre to wszystko. Jedyny promyk to karta z adresem od Tadzika. Co ja listów wysłałam, próbowałam paczki, ale czy nie doszło nic, czy Tadzik nie mógł odpisać; dość, że żadnej wieści.

Luty zanosił się mroźny. Spadł obfity śnieg. 10 luty był mroźny; pierwsza w południe. Wracam z obory od południowego udoju na czekający mnie obiad. W podwórze wjeżdżają sanki z gestapowcem w czarnym mundurze, żandarmem i wójtem. Wszyscy oni mieli jednakowy zły wyraz oczu i prawie wszyscy byli z miejscowych Niemców, nadgorliwi w swoich obowiązkach. Sposób ich mówienia przypominał szczekanie złego psa:

[11] Gra w brydża.

GRZESZCZAK.indd 80 12.11.2024 20:23:44

– Pani zaraz wyjeżdża!" – gestapowiec szczeknął do mnie.

– Czy mogę wiedzieć dokąd?

– Nic to panią nie obchodzi, za dwadzieścia minut wyjazd, zabrać tyle rzeczy, ile można unieść, i żywność na dwa tygodnie.

W tym towarzystwie idę do domu. A więc potkałam do worka te wyroby z tego ostatniego dla mnie wieprza, no i chciałam się przebrać w przygotowaną, cieplejszą bieliznę. Zostawiony szwab do pilnowania nie opuszczał mnie ani na chwilę, bacznie obserwując każdy ruch. Na obiad już czasu nie starczyło. Gestapowiec z żandarmem zakładali pieczęcie na drzwiach. Grubas żandarm był nawet dość grzeczny. Wtedy zjawił się Michał, wylegitymowali go i też kazali się spakować. Poprzednio wszystko, co było kosztowniejsze, zakopaliśmy w beczce od smoły w budynku, gdzie był węgiel, zamykany na kłódkę. Część rzeczy pochowana po dziurach na strychu. Gdy już znalazłam się za drzwiami, ogarnęła mnie nieprzeparta chęć rzucenia okiem po raz ostatni na mieszkanie, ulubione meble i pamiątki po rodzicach i dziadkach. Niespodziewanie trzeba dom opuścić i wszystko zostawić. Zrobiłam zakłopotaną minę i poprosiłam żandarma o możność zabrania zapomnianej, ważnej rzeczy. Był na tyle grzeczny, że otworzył już zapieczętowane drzwi, ale idzie za mną, co mnie w złość wprowadziło. Wstrzymuję cisnące się łzy żalu, bo wiem, że jeżeli wrócę tu kiedyś, to nie będzie już tutaj tego ciepła dawnych lat. Na stole leży talia kart. Liczę je i biorę, dziękując Niemcowi. „To o te karty pani chodziło?" – pyta ze złością żandarm. „Tak, bo muszę czymś czas zająć, czekając, póki was diabli nie wezmą". Udali, że nie rozumieją i zbyli moją odpowiedź milczeniem. Sanki już czekały. Siadamy z Michałem, Józku powozi, z nim stale miejscowy Niemiec, cywil z karabinem. Przed domem w milczeniu stoi Marta, trzymając wyrywającą się Norę. Obok stary Ferla, wąsy mu bardziej opadły. Wyraz oczu cała trójka ma jednakowy. Odwracam się, powstrzymując cisnące się łzy. Boję się odezwać, aby struna żalu nie pękła. W gardle coś dusi. A na świecie tak ślicznie, drzewa zaśnieżone, mienią się brylantami w słonecznej pogodzie. Wjeżdżamy do lasu. Orzeźwiające powietrze uspokaja nerwy. Odwracam się do Niemca stojącego na desce za siedzeniem sanek: „A jednak z honorami odwozicie mnie". Służbowe milczenie, nieruchoma gęba. „Jest nas dwoje, pan sam, Józku byłby neutralny, mam ochotę trzasnąć pana w gębę i wyrwanym karabinem rozpłatać panu łeb, ale nie zrobię tego, bo i tak to pana wkrótce nie minie" – mówię do niego ze słodkim uśmiechem. Niemiec robi niewyraźną minę, przekłada wygodniej karabin, ale milczy.

Przyjechaliśmy do gminy[12]. Tam już kilkadziesiąt sanek przywiozło ponad czterdzieści osób. Jesteśmy stłoczeni w małej izbie

[12] We wsi Wierzchy.

GRZESZCZAK.indd 81 12.11.2024 20:23:44



Siedziba Urzędu Gminy Szymanowice w Wierzchach (okres międzywojenny). Fot. ze zbiorów Stanisława Mrowińskiego

szkolnej. Na noc trochę słomy, starczyło zaledwie po garści pod głowy. Leżymy tak ciasno, że jedynie można było na boku. W nocy nie pozwolono nam na inną pozycję jak leżącą. Otoczeni byliśmy osobnikami z karabinami, byli to miejscowi Niemcy. Zauważyłam, że byłam pod specjalną „opieką". Gdy poszłam do ustępu, przy drzwiach stał taki z karabinem. Wysłuchiwał moich zachwytów nad honorami, jakie mi czynią, stawiając straż honorową przed „sraczem", gdy tam siedzę. Rano byłam wezwana do gminy i wypytywana o różne szczegóły dotyczące gospodarstwa. Odebrali mi klucze od budynków gospodarczych, które miałam ze sobą. Potem powiedziano mi, że na osobistą prośbę i złożoną gwarancję gospodarza Leona Haukego, mogę iść do niego na pół godziny. Z Haukami nie miałam dotąd właściwie żadnych styczności. Mieli gospodarstwo w sąsiedztwie gminy, uczciwe, zacne, bezdzietne małżeństwo. Przyjęli mnie sutym śniadaniem, zaprosili brata, dali możność umycia się. Okazali dużo serca. Wkrótce ich wywieźli, on wolności nie doczekał. Żonę jego spotkałam po wojnie, była świadkiem na moim ślubie cywilnym.

Śliczna, słoneczna i mroźna pogoda. Długo trwały różne spisy, nim nas załadowano na sanie w drogę do Konina. Co etap to gorszy. Tu ulokowano nas na dłużej w dużej i zimnej szopie strażackiej wraz z innymi transportami. Było nas tysiąc pięćset osób. Spędziliśmy tu cztery dni. Nocami dręczyli nas ciągłym zapalaniem i gaszeniem światła. Nie myślałam, że to tak może rozbić nerwy. Pomiędzy nami były matki z niemowlętami, starcy z domów starców, księża, ziemianie, więksi gospodarze i właściciele prywatnych przedsiębiorstw. Co

GRZESZCZAK.indd 82 12.11.2024 20:23:44

chwila wzywano nas do różnych spisów, rewizji, zmiany pieniędzy na marki. Często po to, aby powiedzieć, że wezwali pomyłkowo, byle sen przerwać i nerwy poruszyć.

Pogłoski są, że jedziemy w nieznane grupami, kobiety osobno. Przepakowuję odpowiednio nasze bagaże z bratem. Na prośbę sąsiadki z dzieckiem czteromiesięcznym na ręku i starszym czteroletnim, przyłączam się do grupy matek, biorąc pod opiekę starszego chłopca. Są między nami księża, bombardowani przez spowiadających się. Wszyscy spowiadają się, nawet konfesjonał zrobiony z kuferków. W nocy światło, hałasy, pobudka. Dostajemy polecenie ładowania bagaży na czekające wozy i wymarszu na dworzec. Mimo nocy idziemy pomiędzy szpalerem milczących ludzi. W tłumie dużo Żydów. Żydzi wpychają nam różne rzeczy z żywności, nawet czekoladę. Żandarmi odpychają ich, krzyczą, grożą. Podającej mi coś Żydówce powiedziałam, że zapomniałam z domu zabrać garnuszka do wody, bieda bez niego. Kilkanaście kroków dalej mały Żydziak podbiega z kubkiem, za co dostał od żandarma silny policzek. Pamiętam, że rok potem ja dostałam podobne uderzenie w twarz za danie kromki chleba małemu, zabiedzonemu sierocie – Żydowi, którego rodzice zostali zastrzeleni, gdy wyszli z getta za żywnością, wypędzeni głodem.

Zostajemy stłoczeni na peronie. Ogólne rozprężenie nerwów. Niewiadomy los, przedłużające się czekanie. Ręki nie mogę wcisnąć do kieszeni po chustkę do nosa. Ludzie gubią się, nawoływać nie wolno. Słychać ciche popłakiwania. Przestaję panować nad sobą. Czuję, że za chwilę też popłaczę się. Myślę, że takie same uczucie ma bydło spędzone do rzeźni, gdy to ciche łzy kulają się z oczu krowom, koniom, owcom.

Dworzec otoczony samochodami, które trzymają nas w reflektorach świateł. Nareszcie załadunek. Wolno siadać, jak kto chce. Jest kilka osobowych wagonów, reszta bydlęca. Do osobowych mają iść kobiety z dziećmi. Sąsiadka nie puszcza mnie. Idę z nią i jej dziećmi, trzymając chłopca za rączkę. Wagony zamykają. Jesteśmy stłoczone. Zmęczone dzieci płaczą żałośnie. Ruszamy. Temperatura w przedziale podnosi się nie do zniesienia. Duszno, dokucza pragnienie. Na którejś stacji wchodzi selbstschutz[13], siada obok mnie. Proszę go o wodę. Nie wolno, ale po cichu mówi do mnie po polsku, że mnie zna, bo jego ojciec jest szewcem w mojej okolicy i reperował mi buty i że po kryjomu wodę przyniesie. Matki z niemowlętami nie mają pokarmu, głodne maleństwa stale marudzą, trudność z przewijaniem ich. Jest tak gorąco, że kłęby pary unoszą się. Na którejś stacji selbstschutz przynosi mi schowany pod szynelem termos z herbatą.

[13] Członek samoobrony (*Selbstschutz*) – organizacji paramilitarnej złożonej z osób narodowości niemieckiej.

GRZESZCZAK.indd 83 12.11.2024 20:23:45

Dzielę ją pomiędzy matki. Po dwóch dniach męczącej jazdy, z zatrzymaniem się na parę godzin w polu, dojeżdżamy wreszcie do Częstochowy. Cały pociąg uderza pieśnią *Kto się w opiekę* i *Serdeczna Matko*. Podniosły nastrój wszystkim się udziela.

Ogrzewanie wagonów wyłączają. Stopniowo robi się zimno, wreszcie w wagonie szron na ścianach, który łapczywie zgarniamy do ust, trawieni pragnieniem. Przewijać niemowląt już nie można. Nie rozumiem, dlaczego tak nagle zrobiło się zimno. Za Częstochową stoimy dość długo w polu. Niektóre wagony musieli otworzyć, bo mój brat i mąż sąsiadki przyszli do nas, przynosząc wodę do picia. Pierwszy raz w życiu przekonałam się, jaką męką jest pragnienie. Znów ruszamy żółwim tempem. Droga to katorga.

Po czterech dniach pociąg zatrzymuje się w Bochni. Wagony zostają otwarte. Bez polecenia boimy się wychodzić. Pilnowaczy nie widać. Z niepokojem i obawą wychodzą mężczyźni. Okazuje się, że jesteśmy u celu podróży. Po paru godzinach miejscowa ludność organizuje opiekę nad nami. Wyładowujemy się z wagonów. Na noszach wynoszą tych, co trudów podróży nie przetrzymali. Dwoje niemowląt i dwóch starców. Zupełna bezradność i rezygnacja na twarzach. Podjeżdżają sanie i zawożą nas do szkoły. Tu już są posłania ze słomy. Po czterodniowej udręce z rozkoszą wyciągamy się na świeżej, grubo nasłanej słomie. Roznoszą w koszach biały chleb i kawę z mlekiem i cukrem. Przepyszna! Jest wczesne rano. Silny mróz, połowa lutego. Po południu odwiedzają nas mieszkańcy Bochni i niektórym proponują gościnę u siebie. Rodzina sąsiadów i my oboje jesteśmy zaproszeni przez bardzo kulturalnego pana, który był urzędnikiem w magistracie. Łącznie zaprosił około dziesięciu osób. Gospodarze ustępują nam swoje łóżka, narażając się na niewygody, goszcząc nas, czym mogą. Największa rozkosz, możność umycia się. Dziecko sąsiadki nieprzewijane poodparzało się, przecież więcej jak tydzień tej podróży ze stolcami.

Zgłaszamy się do komisji przydzielającej do różnych rodzin. Można wybrać wieś lub miasto. Zgłaszam się na wieś. Dostajemy przydział do wsi Łapczyca[14]. Do jednego gospodarza przydzielono pięć osób. Dostajemy wspólny pokój 5 na 3 m. Wilgoć, lód na ścianach. Opał ma nam gmina przydzielić. Gospodarz niechętny nam. U niego nie przelewa się. Nie ma nic dla obcych pięciu gęb. Nasi współlokatorzy okazali się bardzo zaradni naszym kosztem. Izbę zawładnęli sami, uważając nas za intruzów. Dobierają się do naszych zapasów żywnościowych. Okazuje się, że o opał musimy się sami starać, zimno nagli. Nie ma przy czym strawy gotować. Zimno nagli o staranie się o opał. Współlokator i ja idziemy do leśniczego, dostajemy kwit

[14] Wieś pod Bochnią, w powiecie bocheńskim.

GRZESZCZAK.indd 84 12.11.2024 20:23:45

na gałązki. Wynajęty wspólnie podwoda, sanki w jednego konia, jedzie z nami. Kupujemy pół litra wódki, z którą współlokator idzie do gajowego, a ja mam zająć się załadunkiem opału na wynajęte sanie w jednego lichego konia. Bez namysłu, z furmanem ładujemy grube kloce, przykrywając dokładnie gałęziami. Śliczny las, piękne sosny, grube, wysokie, proste. Wyrąbują dużą porębę. Las usytuowany na dość dużej górze. Marcowe słońce już grzeje, oślepia, odbijając promienie o pulchną, grubą warstwę śniegu. W naszych stronach tak bogatych lasów nie widać. Wyobrażam sobie, co tu za trzebież Niemcy zrobią.

Nieznane mi były trudności ze zjeżdżaniem z gór z dość dużym ciężarem. Furman kręcił głową nad załadowanym wozem. Polecił mi wstrzymywanie z tyłu sań. Jechał serpentyną. Wstrzymywane przez konie sanie unosiły dyszel stromo w górę. Co sił wstrzymuję sanie. W pewnej chwili silnie zamiotły. Zostałam odrzucona o parę metrów. Poczułam silny ból w nodze. Równocześnie spostrzegam, że koń leży, furman, klnąc, odpina chomąto. Trudno mi było podnieść się. Koń, po kilkakrotnych próbach stanął na nogi. Łatwiej mu poszło niż mnie. Moja noga poniżej kolana zaczęła szybko puchnąć i sinieć. Z trudem zjechaliśmy, ale zjazd był niższy, pokonany bez przygód. Ledwie dowlekłam się do domu. Współlokator po kilku godzinach wrócił pod gazem. Drzewo uważał za swoją własność, mimo że kwit był na niego i na nas.

Po paru dniach na nodze uformował się potężny wrzód. Długo ropił, utrudniając mi chodzenie. Wreszcie po paru nieprzespanych nocach pękł. Nie miałam gdzie i czym rany opatrywać. Współlokatorzy brzydzili się dość dużej rany, a że jedna z pań nigdzie nie wychodziła, nie mogłam swobodnie i odpowiednio nogi opatrzyć. Po nocach szarpało w nodze, jęczałam przez sen, co oczywiście psuło sen innym. Któregoś dnia przyszedł do mnie gospodarz z propozycją, abym wraz z bratem przeniosła się do jego siostry: „Widzę, że pani tu dokuczają. Moja siostra ma słabe zdrowie, pani jej pomoże i obu wam będzie dobrze, brata też niech pani weźmie". Zabraliśmy nasze skromne mienie. Zapasy, żywność już wyczerpane, z których korzystali też współlokatorzy, nie było więc dużo do pakowania.

Po dwóch tygodniach, w śliczny dzień, pachnący wiosną, przenosimy się do gospodarza Józefa Nowakowskiego. Dom na górce w pełni słońca, suchy, czysty, pachnący żywicą. Cała jego rodzina otacza nas troskliwością i opieką, okazuje dużo serca. Przeznaczono dla nas izbę zajmowaną uprzednio przez wysiedlonego księdza, który wyjechał do rodziny. Izba czysta, ciepła, łóżka zasłane świeżą słomą, przykryte lnianymi prześcieradłami. Na kotlinie, w garnku, gorące mleko. Raj! Świeże baźki wierzby włożyłam do słoika, postawiłam na oknie pełnym promieni słońca. Ach, jak było miło po tej cuchnącej,

GRZESZCZAK.indd 85 12.11.2024 20:23:45

wilgotnej norze, gdzie mieszkało się skrępowanym kątem. Noga umoczona we wiadrze z gorącą wodą, do której Nowakowska jakichś ziół dodała, owinięta czystymi, lnianymi szmatami, danymi przez dobrą gospodynię, szybko goiła się. Do końca życia wspominać będę tych zacnych ludzi. Prócz tego, pomocy w postaci paczek i gotówki dostajemy od pana Romana Kwiatkowskiego[15].

Gospodyni miała dwóch synów, z których jeden chorował, pewnie na serce, bo i Nowakowska walczyła z tą dolegliwością. Zajęłam się sprzątaniem, szyciem, a wkrótce przejęłam wszystkie prace domowe, z wyjątkiem gotowania. Najbardziej lubiłam doglądać i doić dwie czerwone krowy o błyszczącej sierści. Dawały dużo, bardzo tłustego mleka, które wlewałam do dawnych, płaskich naczyń. Po paru godzinach można było zbierać grubą warstwę śmietany. Pod okiem gospodyni robiłam masło i sery, które ona zanosiła do Bochni. Było nam dobrze i może zostałabym tam do końca wojny, gdyby nie naleganie brata, który stale przynosił ze swych całodziennych wędrówek różne sprzeczne wieści. Raz pocieszające, to znowu przynoszące obawy. Z domu wiadomość, że jest już zupełnie okradziony. Wśród wieści ze świata, wiadomości przerażające o jeńcach, a tam przecież Tadzik. Obecnie człowiek jak liść oderwany od drzewa i rzucony wiatrem jesiennym.

Dostaliśmy adres do Ściegien[16], skąd podobno łatwo można było przejść świeżo stworzoną granicę i wrócić w swoje strony. Równocześnie ze Związku Ziemian[17] dostałam propozycję udania się do majątku Nagórzany[18] w Krakowskie. Żałowałam później, że z tego nie skorzystałam, ale na pewno nie byłby ten okres wojny tak urozmaicony biedą i przygodami. Michał w Łapczycy nie chciał zostać. Skoro więc lody Wisły spłynęły, odwiózł nas Nowakowski swymi kasztankami na stację do Bochni. Żegnaliśmy się serdecznie, zostawiłam adres do Obór.

W Krakowie zatrzymaliśmy się parę godzin. W kościele mariackim pusto było. Ciszę przerwały głośne kroki kilku żołnierzy niemieckich, którzy szli w czapkach, paląc papierosy i z zaciekawieniem oglądali kościół. Rozmawiali głośno, czyniąc ze śmiechem uwagi. Na nielicznych modlących się patrzyli z ironią.

24 marca 1940 rok. Znów zanotuję parę słów o naszym losie. Liczyliśmy na zmiany w świecie przed żniwami i dlatego z końcem marca przyjechaliśmy w piotrkowskie do gospodarza Górnego. Tam,

[15] Kolega Michała, brata Ireny, z czasów nauki w szkole rolniczej w Cieszynie.

[16] Ścięgny – obecnie część miasta Kamieńsk w powiecie radomszczańskim.

[17] Utworzona w 1916 roku organizacja zrzeszająca ziemian; jej kontynuacją jest obecnie Polskie Towarzystwo Ziemiańskie.

[18] Obecnie część wsi Łękawa w gminie Kazimierza Wielka w powiecie kazimierskim.

GRZESZCZAK.indd 86 12.11.2024 20:23:45



Okupacyjny dowód osobisty Ireny Sęp-Szarzyńskiej wystawiony podczas pobytu w Ogrodzonej. Ze zbiorów Zofii Stachowiak

wobec ciasnoty mieszkaniowej, zaczęliśmy dowiadywać się o inne lokum. W Ściegnach odradzano nam przechodzić granicę. Gdzie się udać? Niedaleko gmina Łęki Szlacheckie[19], a tam wieś Ogrodzona. Michał przypomniał sobie, że mieszka tam dalszy nasz krewny Mietek Zaborowski[20]. Byli razem w szkole rolniczej w Cieszynie. W braku innego wyjścia, brat powędrował po pomoc do Ogrodzonej. Na drugi dzień przyjechał z Mietkiem wozem po mnie i rzeczy.

Ostatecznie, w pierwszych dniach kwietnia skorzystaliśmy z zaproszenia kolegi brata i z początkiem kwietnia zamieszkaliśmy w Ogrodzonej, gdzie serdecznie nas przyjęto. Dostaliśmy pokoik na górze. Dostaliśmy wygodne łóżka z pościelą. Już od blisko trzech miesięcy nie spałam w pościeli. Był koniec kwietnia, początek maja. Wiosna, która wcześnie się zaczęła, została w maju przyhamowana zimnem i niepogodą. Rodzina Zaborowskich składała się z rodziców, dwóch synów: Jurka, Mietka, córki Wandy i zięcia, pana Winiarskiego. Wanda była w ciąży i źle ją znosiła. Pani Zaborowska schorowana – cierpiąca na wątrobę, a mąż jej zdziwaczały. Miał posadę w Łodzi, a Ogrodzona była letniskiem dla całej rodziny. Z wybuchem wojny pozostali w Ogrodzonej, gdzie gospodarstwo mocno kulało. Do zimy zupełnie nie byli przygotowani, więc nielekko ją tam spędzili. W maju trzeba było jeszcze przepalać w żelaznym piecyku, bo

[19] Wieś w powiecie piotrkowskim.

[20] Prawdopodobnie autorka ma na myśli potomków Aleksandra i Wandy z Sęp-Szarzyńskich z Wielgomłynów; zob. s. 22, przypis 17.

GRZESZCZAK.indd 87 12.11.2024 20:23:45

pokoik był bardzo zimny. Wieczorami z Jurkiem i Mietkiem grywaliśmy w brydża.

Skoro ociepliło się, wybrałam odpowiednie miejsce, wystarałam się o nasiona i z zapałem zabrałam się do pracy. Założyłam warzywnik, któremu poświęciłam dużo czasu. Prócz tego reperowałam bieliznę i raz w tygodniu wypiekałam kilka dużych bochenków chleba dla całej rodziny. Ciasto wyrabiałam w dużej, drewnianej dzieży, sapiąc przy tym zacnie. Często wieczorami u nas na górze grywaliśmy w brydża. Te nocne ruszenia nie podobały się wujostwu, ale chłopaki nie mając konkretnego zajęcia, stale urządzali brydżowe spotkania. Tak przeszło lato 1940 roku. Zdawałam sobie sprawę z materialnego położenia Zaborowskich, martwiłam się, co począć zimą. Nie mamy pieniędzy na opał, na życie, a tu zostać i być ciężarem, gdzie już jest ciężko, niemożliwe. O zajęcia płatne zaczęliśmy się starać po przygnębiającej dla nas wiadomości o kapitulacji Francji. Była ona dla nas prawdziwym ciosem. Przyszedł szalony ucisk gospodarczy i ostatecznie czuliśmy się w Ogrodzonej ciężarem.

Gdy ciocia Zaborowska dowiedziała się o moich zamiarach, była bardzo niezadowolona. Chciała, żebym została, nadal jej pomagała, tym bardziej, że jej córka Wanda spodziewała się dziecka. Wolałaby, żeby brat mój gdzieś pracę znalazł. Wreszcie po długich poszukiwaniach dowiadujemy się, że wiejski nauczyciel, pan Łebski[21] z Kretkowa, jest kierownikiem mleczarni w Paradyżu. Zatrudnił już tam dwóch braci proboszcza kretkowskiego[22], Czesława i Edmunda. Wyrobił też posadę dla brata, który od 15 września objął stanowisko w mleczarni[23]. Zajęcie niemiłe i bardzo męczące. Prosimy więc o konie Zaborowskich i odesłanie nas do Paradyża. Zostaliśmy wyposażeni w garnki, talerze, itp., również na początkowe dni, żywność i opał. W Paradyżu trudno o mieszkania. Dostajemy blisko mleczarni lokal po byłym sklepie rzeźniczym. Zimna, ponura dziura, bezpośrednie wejście z dworu. Przed oknem świat zasłania wielki pień dużej lipy. Mamy szczęśliwie każdy dla siebie łóżko, ja nawet siennik, poduszki ze siana, do rzeczy półkę zbitą z desek ze śmietnika, długą ławę od jakiegoś rzeźnika, gdzie na jednym końcu garnki i spiżarnia, w środku ja siedzę oraz żelazny piecyk. A drugi koniec – umywalnia, jedno

[21] Alojzy Łebski. W Paradyżu w powiecie opoczyńskim, gdzie pracował w czasie okupacji jako kierownik mleczarni, zmarło na tyfus jego dwoje dzieci: Andrzej, ur. 24.03.1940, zm. 25.10.1942 r., oraz Lidia, ur. 28.05.1942, zm. 19.10.1942 r. Ich grób znajduje się na tamtejszym cmentarzu.

[22] Ks. Piotr Sobiech (1898-1958) – proboszcz parafii pw. Wszystkich Świętych w Kretkowie w latach 1931-1950.

[23] W istniejącym po dziś dzień budynku dawnej Spółki Rolniczej przy ul. Koneckiej 7 na parterze mieściła się w czasie okupacji mleczarnia, a na piętrze biuro rejestracji bydła i posterunek policji.

GRZESZCZAK.indd 88 12.11.2024 20:23:46

krzesło, no i wspaniały stół dębowy. Ja gotuję, sprzątam i robię bliźnim pończochy.

Myśli stale lecą do Obór i mojej Norki. Wierzę, że wrócę, ale kiedy? Co dzień odmawiam *Anioła Pański*, kończąc: „Jezus, Maria, Józefie św. , pozwólcie mi wrócić do Obór i dać radę w pracy, która tam czeka". Zimna buda daje się coraz bardziej we znaki, tym bardziej, że brak opału. Popękany, żelazny piecyk naładowany opałem daje gwałtowne, krótkotrwałe ciepło, a przy gotowaniu przypala garnki. Do gotowania mam jedynie kartofle i mleko, dostajemy również ser i małą ilość masła z mleczarni. Kiedyś wpadłam na nierealny pomysł zrobienia placków kartoflanych, mało miałam tłuszczu, wszystko się spaliło. Popłakałam się nad zmarnowanym obiadem. Zdaje się były to pierwsze moje łzy od chwili wysiedlenia. Były to ostatnie ziemniaki, jakie miałam dla brata i siebie. Wzruszony moimi łzami, stary bezręki nasz gospodarz, pan Przygodzki, przyniósł w czapce parę ziemniaków i dziwił się, czemu znowu płaczę.

W okresie wczesnej wiosny do mleczarni tak mało mleka przywożono, że brat został na trzy miesiące zwolniony z pracy bez pensji. Długo, mimo usilnych starań, pracy nie znajduje. Zaczynam robić na drutach na zamówienie pończochy, skarpety, swetry. Siedzę nocami przy naftowej lampie. Oczy bolą, czerwone jak u królika. Michał łazi za pracą bezowocnie. Od czasu do czasu Lech Kwiatkowski, kolega brata, który u nas często wakacje spędzał w Oborach (szaleliśmy wtedy na koniach we trójkę, robiąc różne nocne eskapady. Jakie to dalekie, wprost nie chce się wierzyć, i jakie inne stało się życie), przesyła forsę i paczki żywnościowe. Za mało tego, żeby żyć, za dużo, żeby umrzeć. Marta przysłała poduszkę, kołdrę i trochę bielizny. Dałam to bratu, bo przypomniała mi się Matka, gdy umierając, mówiła, żebym się nim opiekowała i ją mu zastąpiła. On mniej wytrzymały na takie spartańskie życie. Sypiam nadal na słomie i tym więziennym łożu, ale słomy mam dużo, przykrywam się kocem i różnymi rzeczami. Chleb kupuje się na kartki, które mają ci, co pracują. Jest okropny, jak glina. Doskonale można z niego garnki lepić i różne różności można w nim znaleźć, pewnie najmniej żytniej mąki. To, co zdobędę, daję Michałowi na drogę. Już od pewnie dwóch tygodni nie jadłam chleba. Żyjemy cienką zalewajką[24], którą w opoczyńskim gotują.

Przyjechał ks. Sobiech, proboszcz z Kretkowa, w cywilu, jako pan Nowak. Przywiózł różne wieści. Niewesoło tam, nie wiadomo, gdzie lepiej. Mieli go właśnie aresztować. Uprzedził go Spychała i w swym ubraniu przewiózł przez Prosnę, i ulokował u Stanisława Kupczyka

[24] Tradycyjna wiejska zupa z ugotowanych, pokrojonych w kostkę ziemniaków, zalanych (stąd nazwa) przygotowanym osobno czystym żurem z zakwasu chlebowego.

GRZESZCZAK.indd 89 12.11.2024 20:23:46

w Lisewie[25], gdzie odczekał na zorganizowanie dokumentów i możność przedostania się do „protektoratu". Spychałę o planach aresztowania księdza powiadomił Niemiec, który po wysiedleniu ciotki Skórzewskiej i Niegolewskiej objął Kretków[26]. Ostrzegł też Spychałę, że władze mogą się zainteresować zbytnią liczbą osób odwiedzających i ukrytym radiem. Mieszkanie Spychały było w podwórzu i tam schodzili się znajomi i ci, co ukrywali się, między innymi ksiądz, który tam dawał potajemnie śluby i chrzty. Tam też niejeden otrzymał dowód osobisty, pozwalający na dalsze przetrwanie wojny. Udawało się, bo Spychała bardzo był przez Niemców forowany.

Kiedyś dostałam paczkę z pszenną kaszą i propozycję podpisania listy volksdeutscha oraz powrotu od pana Przezdziecha[27]. W swoim czasie adorował mnie, a obecnie jako volksdeutsch ma dobrą samodzielną posadę. Kasza owszem – list do pieca.

Okropna ta zima! Zaziębiłam się szpetnie, perioda nie mam od paru miesięcy. Zrobiłam się słaba, jak mucha. Już ku wiośnie. Wieczorami cieplej, bo Sobiechowie przynoszą węgiel i drzewo z mleczarni, i palą u nas. Wolny czas od pracy spędzają z nami, tylko na noc idą do swojej zimnej budy. Ich brat ksiądz mieszka u Łebskich. Jest konwojentem masła i sera z mleczarni do Opoczna i Tomaszowa. Zakochała się w nim jakaś stara panna Kazia. Biedny ksiądz, potężny, brzuchaty, rumieni się jak dziewczę, gdy go wszyscy pouczają, jak ma grać rolę zakochanego, bezskutecznie. Choć przez łzy, ale humor jest. W paskach dziurek braknie, do ostatnich dociągnięte, wszyscy nabierają talii. Zaczynam dostawać szkorbutu.

Teraz rozmowy toczą się przeważnie na temat jedzenia. Wieczorem urządzamy konkursy na układanie jadłospisu. Przed oczami stają mi przyjęcia w Kretkowie (jak „fata morgana"), gdzie w okresie świąt giął się stół pod wielkimi dziadami, których tajemnicy pieczenia nigdy nie odkryłam, bo to wielkie było na blisko metr, a wysokie na pół metra, pulchne, bez zakalca, z przeróżnymi mieszankami suszonych owoców oraz fig, rodzynek. Raj w gębie, gdy się to jadło. Różne baby lukrowane na biało, różowo, czekoladowo, obsiadły tego tajemniczego dla mnie dziada. U stóp przeróżne mazurki, w różne zdobne lukry. Poczesne miejsce na stole zajmował łeb wieprza w całości upieczony, z jajem gotowanym w pysku. Skórę miał koloru Indianina. Spoczywał na półmisku, którego brzegi zdobiły kolorowe surówki z różnych warzyw. Obok półmiski z napoczętą, gotowaną szynką o dużych, różowych plastrach, z obwódką białej słoniny. Część nienapoczęta szynki miała ciemną skórę, na której były wycięte

[25] Lisewo – wieś obecnie w gminie Gizałki, w powiecie pleszewskim.
[26] Zob. s. 26.
[27] Osoba niezidentyfikowana.

GRZESZCZAK.indd 90 12.11.2024 20:23:46

różne napisy, bielące się w podkładzie słoniny. Wokół piętrzyły się kręgi gotowanych kiełbas, ozdobione zielonym barwinkiem. Wśród tego wznosił się sękaty sękacz, na którego guzach zastygł skapujący biały lukier. To smakowite ciasto górowało nad całą zastawą stołu. Spomiędzy półmisków wytykały łby omszałe butelki różnych win i nalewek. Przy talerzach błyszczały srebrne sztućce i zdobnie poustawiane serwetki. Nie brakło też różnych sałatek okrytych majonezem i ozdobionych przemyślnie w misterne róże i kwiaty. Żal niszczyć tych arcydzieł sztuki kulinarnej, na to, aby się w tak prozaiczną rzecz zamieniły. Stawał nad tymi „cudami" wuj Franciszek Skórzewski, z uśmiechniętą twarzą, o sumiastych, rudych wąsach, i wielkim nożem robił na stole spustoszenie, nakładając każdemu na talerz wielkie porcje i dodając zawsze wesołą przymówkę.

Nie zapomnę też przyjęć przy innych okolicznościach, na których bywali liczni goście. Wtedy stół chwalił się faszerowanymi szczupakami na podłużnych, długich półmiskach, bażantami upieczonymi w całości, o spieczonej na brązowo skórce, z osadzonym w całości łbem o kolorowych piórach i wetkniętymi piórami ze zdobnego ogona. W pokrojone i ułożone w całości kawałki bażanta powbijane są srebrne kolce dla łatwiejszego przełożenia na talerz. Dzikie kaczki gotowane pławiły się w grzybowym sosie, a pieczony indyk wystawiał bohatersko pierś z wianka czerwonych konfitur z borówek. Apetyczne combry zające, obok kuropatwy tłuściutkie, ze sterczącymi nóżkami.



Spotkanie w parku w Kretkowie. Stoją od lewej: Wiktor Sęp-Szarzyński, NN, Halina z Sęp-Szarzyńskich Skórzewska, Władysław Łubieński, Franciszek Skórzewski (lata 20. XX w.). Fot. ze zbiorów Zofii Stachowiak

GRZESZCZAK.indd 91 12.11.2024 20:23:46

Stary służący [Franciszek] Jankowiak rozlewał pieniący się szampan, który zawsze służącemu Jankowiakowi strzelał złotą smugą prosto w twarz, gdy z lubością otwierał butlę. Ciekawiły mnie zawsze desery, które były dla mnie atrakcją: różne, kolorowe kremy z czupryną złotych włosów z karmelu lub ogień buchający z kopiastej góry lodów. Dla niewtajemniczonych niepojęte są te dawne sztuki kulinarne. To były teraz wspomnienia przy ściśniętym brzuchu i swędzącej lampce naftowej.

Nadeszła wiosna. Ksiądz Sobiech wyjechał. Dostał się gdzieś do jakiegoś klasztoru. Michał zaczął pracę w mleczarni, ale z bardzo małym wynagrodzeniem. Wieczory skończyły się. Jest cieplej. Zaczyna pokazywać się coraz więcej wojska. Podobno grupują się nad wschodnią granicą. Można od nich często dostać jakieś konserwy lub stare puszki po konserwach, którymi zastępujemy wiadra. Są bardzo łakomi na masło, które pracownicy mleczarni dostają w małych przydziałach. Porozmawiałem z panem Alamą z Chocza, który wysłał Michałowi rower do Łodzi, a z Łodzi za trzy kilogramy masła żołnierze niemieccy przywieźli do Paradyża. Tą drogą dostałam też część najpotrzebniejszych rzeczy od Marty. Od Tadzika miałam dwie karty. Mniej więcej co kwartał odzywał się, dla niego to i tak bardzo dużo. W ostatniej wspomina coś o przyjeździe, ale pewnie niepotrzebnie się łudzi.

Ciepło, dłuższe dni pozwalają na skontaktowanie się ze znajomymi. Któregoś dnia przychodzi Janiczek[28] z Lenartowic[29], brat mojej koleżanki, który po wysiedleniu mieszka w Żarnowie[30]. Przynosi wielki bochen chleba jak koło wozu i woreczek kaszy. Łzy cisnęły mi się do oczu, a chleb z rozczuleniem ucałowałam. Z jakim przejęciem krajałam pachnące kromki. Chleba nie jadłam już od dwóch tygodni, zostawiając to, co mogłam kupić, Michałowi na jego wędrówki po wsiach. Ach, jak mi ten chleb smakował, jak pachniał!

Kontaktujemy się z dawnymi sąsiadami Rakowskimi[31] z Prusinowa. Zastałam panią Rakowską i obie jej córki, Krysię i Halinę. On pracuje w Tomaszowie, zna dobrze niemiecki, dostał dobrą posadę. Mieszkają w Mniszkowie u pani Kozieł-Poklewskiej[32], która daje im

[28] Osoba niezidentyfikowana.

[29] Wieś w gminie Pleszew, w powiecie pleszewskim.

[30] Miasto w powiecie opoczyńskim, siedziba gminy.

[31] Felicjan i Zofia Rakowscy, przedwojenni właściciele majątku Prusinów w gminie Żerków, w powiecie jarocińskim; wysiedleni w październiku 1939 r.

[32] Emilia z Jakubowskich – wdowa po Witoldzie Kozieł-Poklewskim (1883--1934), działaczu rolnym, pośle do Sejmu Ustawodawczego w 1919 r. i właścicielu dóbr Mniszków i Radonia; zm. 6.11.1963 r., pochowana w Białaczowie. W okresie okupacji Kozieł-Poklewscy zaangażowali się w działalność konspiracyjną, udzielając m.in. pomocy Oddziałowi Wydzielonemu Wojska Polskiego mjra Henryka Dobrzańskiego – „Hubala" i prowadząc tajne nauczanie.

GRZESZCZAK.indd 92 12.11.2024 20:23:46



Halina Rakowska. Fot. ze zbiorów Zofii Stachowiak

wygodne dwa pokoje z kuchnią i wszystkie potrzebne prowianty. Po prostu żyją normalnym życiem, nie odczuwając takiej biedy jak my. Zostaję wraz z bratem zaproszona do nich na Wielkanoc. W rozmowie o znajomych dowiadują się, że Białaczów jest odległy od Paradyża o około piętnastu kilometrów, a tam dostały się do państwa Platerów moje ciotki z Kretkowa – Skórzewska i Niegolewska.

Już wiosna w całej pełni. Któregoś wczesnego ranka wybrałam się do Białaczowa. Mijałam wioski z chatami pod słomą, nad stawami kobiety kijankami prały bieliznę. W naszych stronach kobiety piorą w baliach na blaszanych tarach. Tutaj kobieta bosa, w podkasanej spódnicy stoi na desce na słupkach, na takim małym pomoście, stromo nachylonym do wody, i zmoczoną bieliznę, rozłożoną na tej pochylni, wali dużą płaską kopyścią. Zewsząd rozlega się miarowe klapanie kijanki. Bielizna jest z samodziałowego płótna z lnu sianego na długich poletkach. W okresie kwitnienia len błękitnym pasem przecina pasy zbóż i okopowych, bo pola są usytuowane w wąskich pasach. Ziemie lekkie. Na tych zagonach prócz lnu widać proso, tatarkę, konopie, z których robią powrozy. Duża różnica w porównaniu z gospodarstwami w Poznańskiem. Kobiety ubierają się w samodziałowe pasiaki, przeważnie w czarno-czerwone, i zapaski, coś w rodzaju fartucha zakładanego na ramiona jak pelerynka. Poza tym czepce inne, jak te u naszych starych, wiejskich kobiet. U nas były wyższe i zdobniejsze. Droga do Białaczowa prowadziła też przez lasy, o drzewach nie tak bogatych, jak w okolicy Bochni. W przyrodzie i w sposobie życia ludzi widać, że tu ziemia mniej urodzajna.

Sam Białaczów to siedziba magnacka. Pałac z wyglądu taki sam, jak w Śmiełowie, śliczny z wielkim rozmachem. Pani Platerowa[33]

[33] Anna z Brzozowskich Broel-Plater (1880-1964), żona właściciela Białaczowa Zygmunta (1870-1934). Zygmuntostwo Broel-Platerowie z Białaczowa mieli ośmioro dzieci: Marię (1900-1972), Elizę (1901-1999), Annę (1903-1984), Ludwika (1904-1946), Helenę (1906-2008), Stefanię (1907-1988), Konstantego (1909-2007) i Teresę (1912-2002) – zob. H. Mycielska, *Pośród klęsk i zwycięstw 1906-2006*, Izabelin–Warszawa 2018, s. 572; T. Panfil, *Zygmunt Plater z Białaczowa (1870-1934). Jego ród, miejsce i życie. Zygmunt hr. Plater. Wspomnienia (1870-*

GRZESZCZAK.indd 93 12.11.2024 20:23:46

Irena
z Sęp-Szarzyńskich
Spychałowa
Droga do domu



Grób rodzinny
Kozieł-Poklewskich
z Mniszkowa
na cmentarzu w Sławnie.
Fot. J. Grzeszczak



Mieszkańcy regionu opoczyńskiego w strojach ludowych (okres międzywojenny).
Fot. ze zbiorów Muzeum Regionalnego w Opocznie

GRZESZCZAK.indd 94 12.11.2024 20:23:47

z córką Teresą Ostrowską[34] przesiedlona została do oficyny, a pałac zajmuje opasły Niemiec z wielkim brzuchem, głupi jak but[35]. Otacza się wielkimi białymi owczarkami – postrachem całej okolicy. Niejeden nosił ślady ich kłów.

Moje ciotki dostały dość duży pokój w budynku przy głównej drodze, w którym jest biuro policji granatowej i mieszkanie komendanta – Polaka, porządny człowiek, i jego rodziny. Przeraziłam się wyglądem ciotki Skórzewskiej, chuda, przygarbiona staruszka, ten rok o dwadzieścia lat posunął ją. Okropne to wygnanie dla starszych ludzi. Kiedy to powróci się do swoich ukochanych stron?!

Pokój ciotek zawalony przeróżnymi rzeczami, przysłanymi przez ich administratora [Jana] Spychałę (jak później dowiedziałam się, miały być one również dla Sobiechów i dla nas). Zapasy te w nadmiarze psuły się, nie mając odpowiedniego przechowania. Przed wieczorem wróciłam do Paradyża. Bardzo podobała mi się ta wędrówka, a ponieważ ciotki bardzo się ucieszyły, wizyty powtarzałam. Poznałam panią Platerową, panią Kwilecką, jej drugą córkę, wdowę po mężu zamordowanym przez Niemców[36]. Kwilecka pracuje w biurze,

---

-1914). Wspomnienia, anegdoty i doświadczenia myśliwskie (1931), Warszawa 2023.

[34] Autorka myli najmłodszą i niezamężną córkę Broel-Platerów Teresę z jej starszą siostrą Anną, która w 1921 r. wyszła za mąż za Jana Ostrowskiego (1894--1984).

[35] Willy Wabnitz.

[36] Stanisław hr. Kwilecki, ur. 10.10.1896 r.; por. rez. kawalerii, kawaler Krzyża Walecznych, właściciel dóbr Grodziec, obecnie w powiecie konińskim. W 1936 r. poślubił Elizę z Broel-Platerów z Białaczowa. Znalazł się na liście proskrypcyjnej jako oficer rezerwy i osoba krytyczna wobec Niemiec; aresztowany we wrześniu 1939 r. i osadzony w więzieniu w Koninie. Zwolniony dzięki staraniom żony, pozostał w Grodźcu. Aresztowany ponownie po dwóch tygodniach, został rozstrzelany 10.11.1939 r. w Koninie w grupie ok. 40 osób. Po śmierci męża ciężarna Eliza Kwilecka została wyrzucona z majątku męża i udała się do swojej teściowej Marii z Karskich Kwileckiej do Warszawy, gdzie 19.02.1940 r. urodziła swoje trzecie dziecko – córkę Stanisławę Dolores. Wiosną 1940 r. przyjechała wraz z córkami Julitą, Anną i Stanisławą do Białaczowa, gdzie przebywała do lutego 1945 r. Po przejściu frontu wróciła do Grodźca, skąd wkrótce została po raz kolejny wyrzucona, tym razem przez władze komunistyczne. Zabroniono jej też zamieszkania na terenie powiatu. Na skutek petycji mieszkańców Grodźca władze pozwoliły hr. Elizie zamieszkać w tamtejszej ochronce i pracować w jej dawnym majątku, przekształconym w Państwowe Gospodarstwo Rolne, a córki poszły do miejscowej szkoły. Ostatecznie jednak zrezygnowała z tego rozwiązania, opuściła Grodziec i zamieszkała najpierw w Mirkowie pod Warszawą, gdzie pracowała w tamtejszych zakładach papierniczych, a następnie przeniosła się na Śląsk. Po przejściu na emeryturę w 1964 r. przeniosła się do Warszawy, gdzie zmarła w 1999 r.; pochowana obok męża na cmentarzu w Grodźcu – zob. K. Jedynak, *Broel-Platerowie z Białaczowa. Losy rodziny w XIX i XX w.*, Końskie 2013, s. 197-199; K. Jasiewicz, *Lista strat ziemiaństwa polskiego 1939-1956*, Warszawa 1995, s. 559.

GRZESZCZAK.indd 95 12.11.2024 20:23:48

zajmuje boczne skrzydło pałacu. Przed pałacem postrachem ludzi są dwa wielkie białe owczarki, faworyty Niemca.

Platerowa dała mi robotę na drutach: pończochy z cieniutkiej białej wełny. Miał to być prezent dla jej trzeciej, długonogiej córki Ostrowskiej[37]. Okropne były te pończochy, niekończące się w wymiarach, w deseń w drobną kostkę. Teraz przy dziennym świetle prędzej ta wstrętna robota na drutach posuwa się. Dostałam też od pani Poklewskiej zamówienie na swetry. Nagromadziło się tej roboty, że dnie wypełnione. Dostaję za to mąkę, słoninę, naftę. Najważniejsze, że łaski od nikogo nie potrzebuję. Odniosłam roboty Poklewskiej, zadowolona była z mej pracy i dała mi dużo zapasów. Do Mniszkowa jest przeszło dziesięć kilometrów. Zaproponowała mi robotę przy kompletowaniu wyprawy wychodzącej za mąż córki, za Skarżyńskiego[38] z naszych stron, który obecnie pełni rolę szofera na jakimś urzędowym samochodzie. Zostałam tydzień. Odetchnęłam trochę od tego obecnego, biednego mego żywota.

Michał robi się nieznośny. Podobno ma dostać pracę przy szkołach – prowadzenie kursów rolniczych. Poklewska chciała mnie dłużej zatrzymać, ale wróciłam, czując, że Michał, będąc z gotowaniem na bakier, w tym czasie głoduje. Zastałam wszystkie możliwe naczynia zapełnione na wpół ugotowaną kaszą. Okazało się, że gotując kaszę, nasypał pełen, dość duży garnek. Gdy mu kasza pęczniała podczas gotowania, przekładał do innych naczyń, zapełniając je powoli. Do tej rosnącej kaszy nabrał takiego wstrętu, że nie mogłam mu jej więcej gotować, co było dużym problemem i czyniło różnicę w moim skromnym jadłospisie.

[37] Anna z Broel-Platerów Ostrowska.

[38] Antoni Skarżyński (1920-1990), s. Zdzisława i Olgi z Gorzeńskich, ur. we Lgowie w gminie Żerków, w powiecie jarocińskim. W 1918 r. jego ojciec Zdzisław (1878-1941) organizował zaczątki instytucji niepodległej Polski na terenie powiatu jarocińskiego, obejmując następnie w styczniu 1919 r. stanowisko starosty jarocińskiego. Od 1926 r. był właścicielem majątku Tarce k. Jarocina, gdzie prowadził m.in. hodowlę koni szlachetnych półkrwi oraz organizował w swoich obfitujących w lasy dobrach słynne polowania. W październiku 1939 r. Skarżyńscy zostali wysiedleni do obozu przejściowego w Cerekwicy, a następnie trafili do Opoczna. Antoni Skarżyński poślubił w 1942 r. córkę Witolda i Emilii Koziełł-Poklewskich, Kamillę (1919-2011), absolwentkę warszawskiego gimnazjum Cecylii Plater-Zyberkówny. Po wojnie wyemigrował do Kanady, a w 1952 r. Kamilla wyszła po raz drugi za mąż za Andrzeja Kiersnowskiego (zm. 2015). Zmarła 4.10.2011 r.; pochowana w grobie rodzinnym Koziełł-Poklewskich na cmentarzu w Sławnie w powiecie opoczyńskim – zob. J. Staszak, *Zdzisław Skarżyński herbu Bończa*, w: *Non omnis moriar. Groby i sylwetki ziemian z powiatu jarocińskiego*, red. W. Dąbrowski, Dobrzyca 2013, s. 111-113; T. Łuczkowski, *Ostatnie pożegnanie hrabiny*, https://www.opoczno-top.pl/artykul,Ostatnie_pozegnanie_hrabiny,7088.html [dostęp: 22.02.2024].

GRZESZCZAK.indd 96 12.11.2024 20:23:48



Zygmunt i Anna Broel-Platerowie z Białaczowa z dziećmi. Fot. ze zbiorów Jacka Mycielskiego

Michał dostał posadę wykładowcy kursów rolniczych. Jeździ po wsiach rowerem. Na kursy prawie nikt nie przychodzi, co go znowu przygnębia. Tłumaczę mu, żeby się tym nie martwił, niech bierze książki do czytania, a jest regularna pensja i kartki żywnościowe. Gmina przydzieliła nam drzewo. Michał wynajął konie i pojechał po to drzewo. Okazało się, że gospodarz, który dał konie, nazywa się Kochanowski. Zbieg okoliczności skojarzył nazwiska dwóch poetów Kochanowskiego i Szarzyńskiego. Tylko, że ci nie wiersze piszą, a drzewo wiozą.

Do zimy już przygotowujemy się lepiej. Widzi się coraz więcej wojska, w różnym wieku, już nie takie doborowe, jak w 1939 roku. U starszych nastrój nie najlepszy. Wieczory coraz dłuższe, nie można już całych wypełniać robotą na drutach. Marzę o książkach. Podobno proboszcz[39] ma dużą bibliotekę. Może wypożyczy, taki serdeczny

[39] Ks. dr Henryk Błasikiewicz, ur. 2.12.1899 r. w Radomiu. W 1916 r. wstąpił do seminarium duchownego w Sandomierzu. Studia z prawa kanonicznego i muzyki kościelnej odbył w Rzymie, gdzie w 1922 r. przyjął święcenia diakonatu i kapłaństwa oraz zdobył stopień doktora prawa kanonicznego. W 1925 r. powrócił do diecezji, gdzie pracował jako wykładowca w seminarium duchownym w Sandomierzu, notariusz sądu biskupiego i dyrektor chóru katedralnego. W latach 1937-1951 był proboszczem parafii pw. Przemienienia Pańskiego w Paradyżu

GRZESZCZAK.indd 97 12.11.2024 20:23:48

w kazaniach. Poszłam, odprawił mnie w niegrzeczny sposób. Pozory mylą!

Już zima. Z piecykiem jakoś oswoiłam się, wiem już, jakie trzeba mieć do niego podejście i mam czym palić. Michał często na kursy nie chodzi wcale. Boję się, że go znowu wyleją. Najgorsze, że ustępy, z których korzystaliśmy, zajęło wojsko. Dosłownie nie ma gdzie iść w razie potrzeby. Nie mam pojęcia, jak ludzie tu te czynności załatwiają. Przecież nigdzie tych domków nie widać, mimo że w swoim czasie minister Składkowski tak o te domki zabiegał[40]. Nie ma nawet poczciwej stodoły, pod którą można się udać. W ciemne noce Michał „zaszczyca" rynek paradyski. Nie mam odwagi na tę „wielką przestrzeń". Pod lipą – to pod same okno. Zdobyłam od wojska wiadro po marmoladzie. Dam już sobie radę z brakiem kanalizacji.

Na święta jesteśmy zaproszeni przez panią Poklewską i przez Rakowskich na parodniowy pobyt. Rakowskie są teraz same, mają żałobę. Pan Rakowski umarł nagle w Tomaszowie na serce. Jest im trudniej. Krysia zajmuje się ogrodem i drobiem. Do stołu wigilijnego zasiadło więcej niż trzydzieści osób. Przyjęcie skromne, ale jak na czasy wojny i tak luksusowe, atmosfera serdeczna, rodzinna. Parę dni nam szybko przeszło i po powrocie nasza izdebka wydała się jeszcze smętniejsza. U Zaborowskich w Ogrodzonej podobno źle, zięć ich aresztowany zaraz po urodzeniu przez Wandę synka.

Zdaje mi się, że ta zima nie ma końca. Zbliża się drugi rok wojny. Na wschodzie kotłuje się. Nadchodzą różne sprzeczne wieści, Żydów wysiedlają. W Paradyżu jest ich kilka rodzin. Słyszy się o obozach koncentracyjnych i okropnym gnębieniu ludności. Zaczynają brać niezatrudnioną młodzież na prace do Niemiec. Wysiedlonym na razie dają spokój. Coraz większe przygnębienie. Niemcy coraz bardziej rozszerzają swoje granice.

17 luty 1941 rok. Słońce wesoło zagląda do naszej „wspaniałej siedziby". Ściany roztajały i spływa z nich woda, dziurawy piecyk zakopcił pułap i górną część ścian. W słońcu te zimowe pozostałości lepiej się uwidaczniają. Dziś w naszym osiedlu zwykły poniedziałkowy ruch – odbiór kontyngentu mięsnego z paru gmin. Zmierzam za głosem bydła, trzody i ludzi. Wszystko to brodzi w topniejącym śniegu. Drogi niczym małe strumyki, w których Michał odbywa swoje urzędowe

– Wielkiej Woli. Zm. 25.05.1952 r. w Szczawnie-Zdroju, pochowany w Radomiu – zob. J. Świtała-Mastalerz, *Historia parafii pw. Przemienienia Pańskiego w Paradyżu – Wielkiej Woli. Wydanie drugie, poprawione i uzupełnione*, Paradyż 2007, s. 120.

[40] Tzw. sławojka, czyli ubikacja na zewnątrz w formie drewnianego domku, wprowadzana w Polsce w okresie międzywojennym staraniem gen. Felicjana Sławoja-Składkowskiego – ministra spraw wewnętrznych oraz premiera RP w latach 1936-1939.

GRZESZCZAK.indd 98 12.11.2024 20:23:48

przechadzki po oborach chłopskich. Wraca z zupełnie przemoczonymi trzewikami, przebiera się, zjada obiad i kuje niemiecki. Potem oczekiwanie na pocztę i znowu nic, przecież nie może nic być, gdzieś może w końcu miesiąca Tadzik napisze, pisze już przez Ty, to duży postęp i pisuje częściej, bo ostatnio co miesiąc. Michał rąbie drewno. Słyszę, jak ciężką tępą siekierą rozbija klapy, które rznęliśmy razem piłą przed paru dniami. Ja mam skarpetę do roboty. Już mi oczy wypoczęły przez parę dni próżniactwa i zapalenie przeszło.

Rok temu był mróz, przyjechaliśmy do Łapczycy, brr..., dobrze, że już rok przeszedł. Kiedyś się to przecież skończy, i wojna, i nasze biedowanie, i nasz los niepewny. W Oborach nie ma już ani krów, ani owiec i świń. Ostatnie wiadomości z grudnia mało szczegółowe, że ma nastąpić zupełna likwidacja zaczęta od inwentarza żywego i martwego. Do marca mieli być wszyscy wysiedleni i wzdłuż Prosny miał powstać wielki plac ćwiczebny samolotowy. Obecnie podobno znowu wszystko zalewa woda, może Bozia tym odwlecze to wysiedlenie i likwidowanie reszty. Ciekawe, jaką kartę życia otworzy rok 1941. Czy oczekiwanie przyniesie jakiś skutek, czy też takie rozczarowanie, jak rok 1940. Ale przecież wszystko ma swój koniec, byleby tylko siły i zdrowie zachować do pomyślniejszych czasów, aby móc jeszcze z nich korzystać i nimi się cieszyć.

W Paradyżu żyliśmy przeważnie z paczek od pana Romana Kwiatkowskiego. Było też kilka kilogramów kaszki manny przysyłanej przez mego adoratora z ostatnich miesięcy przed wojną, starego kawalera Przezdziecha, który proponował mi wyrobienie papierów „pochodzenia niemieckiego" i ściągnięcie mnie do siebie. Na tak głupią propozycję nie odpowiedziałam i oczywiście korespondencja i paczki urwały się.

Nareszcie robi się cieplej. Któregoś mroźnego, ale słonecznego dnia, Michała nie było, siedzę sama nad robotą na drutach. Puka ktoś energicznie. Wchodzi niespodziewanie starsza, wysoka, szczupła kobieta, w męskiej czapie, w butach ułańskich i oświadcza mi, że proponuje posadę ogrodniczki w Stawowiczkach, za dwadzieścia procent z dochodu, artykuły żywnościowe (kartofle i zboże) i mieszkanie. Okazuje się, że to pani Maria Bronikowska[41], żona zmarłego pana Hilarego ze Stawowiczek. Pełna werwy i tupetu. Dowiedziała się o naszym istnieniu w Paradyżu. Oczywiście godzę się, dziękując jej. Nazajutrz, 11 kwietnia 1941 roku, jesteśmy już w Stawowiczkach. Jednym słowem, oświadczenie tak niespodziewane i bez czasu do namysłu w podjęciu decyzji, jak to Tadzika 13 września 1935 roku[42].

[41] Maria z Bajerów Bronikowska (1894-1974).
[42] Zob. s. 47-48, przypis 63.

GRZESZCZAK.indd 99 12.11.2024 20:23:48

Irena z Sęp-Szarzyńskich Spychałowa Droga do domu



Maria z Bajerów Bronikowska (pierwsza od lewej) wraz z córką Leonią Bagieńską i p. Słodkowską – „Nianiusią". Fot. ze zbiorów Artura Bagieńskiego

No, ale tu łatwiej decydować. Chałupa w Paradyżu wymówiona od Wielkiej Nocy, namiotu nie ma z czego zrobić, trzeba się zdecydować.

Stawowiczki i pani Bronikowska były rajem w porównaniu z warunkami w Paradyżu. Ziemia doskonała, lecz zaniedbana. Budynki bardzo liche. Najlepsza oficyna, gdzie dostajemy pokój i kuchnię, czysto wybielone, suche, słoneczne. Cudo! Jest stara leżanka, sprężynowa siatka z łóżka żelaznego na drewnianych koziołkach, stół, ława i koślawe krzesło. W kuchni postawiliśmy naszą własnoręcznie skleconą umywalkę, stół i ławę. Pościele, to jest poduszki i kołdry, przysłała nam Marta jeszcze do Paradyża. Porządny piec kuchenny, na którym się świetnie gotuje. Gałązek można nazbierać w ogrodzie. Jest jak w niebie! Ogród duży, ale do pomocy nie ma nikogo. Werbuję starsze dzieci z czworaków, przychodzą chętnie. Zasiewam pierwsze warzywo, jest wspaniały rabarbar i z niego pierwszy pieniądz. Pracy masę, drzewa dawno nieprzycinane, już późno na przecinkę. Piłka niedogodnie tępa. Obcięłam powierzchownie, brak czasu. Już są rzodkiewki do sprzedania.

Michał prowadzi kursy rolnicze, na które nikt nie przychodzi. Łazi nadal po wsiach, w których mają być organizowane, odsiaduje tam wyznaczone godziny i wraca zniechęcony. Obok nas mieszka wysiedlony z Pleszewa nauczyciel, pracuje w mleczarni w Paradyżu jako zastępca kierownika. Jego ojciec też pomaga w ogrodzie. Jakoś dajemy radę. Dostałam trochę żyta, ale nie ma gdzie zemleć na mąkę. W czworakach mają żarna, więc na nich robimy razową mąkę. Trzeba się nauczyć odpowiednio obracać drąg wetknięty w górny kamień i miarowo wrzucać ziarno w otwór między kamienie. Początkowo

GRZESZCZAK.indd 100 12.11.2024 20:23:49



Dworek w Stawowiczkach. Fot. ze zbiorów Zofii Stachowiak

zawsze wytrąciłam ziarno z lewej ręki. Mąka gruba, raczej śrut, jaki daje się zwierzętom. Kobiety z czworaków dają mi zakwas. Piekę pierwszy chleb. Udał się – czarny razowiec, smaczny, ale jakie detonacje po nim!

Pani Bronikowska zaprasza na podwieczorki, staram się nie nadużywać jej dobroci, bardzo ją polubiłam. Ma lat czterdzieści siedem i już jest babcią małej wnuczki po jedynej córce, która wraz z mężem mieszkała w sąsiedztwie. Żyła nader skromnie z „Nianiusią"[43], poczciwą staruszką w szerokiej, długiej spódnicy i w zawsze białym czepeczku. Nianiusia nie chodziła, a płynęła cichutko przez niskie pokoje drewnianego dworku, gdzie przez zmurszałe ściany świat było widać. Wszyscy ją bardzo lubią. Pani kochała konie, siedziała w siodle bajecznie i tylko ten rodzaj jazdy uznawała. We wspomnieniach mam ją w długich, żółtych butach, wysoka, szczupła ze wspaniałym węzłem złoto blond włosów, które gdy rozpuści, sięgają do kolan, czapka z daszkiem, szpicruta w ręku, zgrabna, wyprostowana. Szpeci ją zez, ładna nie jest, ale bardzo zgrabna i taka miła, i wesoła. Gospodarstwo wyglądało tak, jak dworek. Ludzie zasiedlali, mimo złych warunków, mieszkania walących się czworaków. Dorabiali się kradzieżą, na którą pani Bronikowska patrzyła przez palce. Taka wspólnota majątkowa. Oczkiem w głowie pani Bronikowskiej był ogier – siwy arab, bardzo rasowy, na którym jeździła. No, ale jak zwykle, gdy mi zaczyna być lepiej, grunt się usuwa spod nóg. Gospodarstwem zainteresowali się Niemcy. Ziemia dobra, a nie daje dochodu.

[43] Niania Słodkowska ze Stawowiczek.

GRZESZCZAK.indd 101 12.11.2024 20:23:49

Przed żniwami – koniec pieśni. Zjeżdża jakaś komisja niemiecka, wśród niej poznaję Huberta Kirschsteina, byłego właściciela ze Skrzypny[44] koło Pleszewa, znanego hulakę i pijaka. Skrzypna należała właściwie do jego matki, a że on krótko przed wojną ożenił się, już po czterdziestce, z dużo młodszą i ładną Polką, córką nauczyciela wiejskiego, został wysiedlony do protektoratu, ale tu ma względy u Niemców. Młodość tego pana była burzliwa i nader wesoła. Dziewczyna wyszła za mąż dla majątku, więc ma wymagania. Dwoje małych dzieci i rodzinka żony na karku, więc trzeba walczyć o byt. I walczył bezwzględnie, nie bacząc, kogo i co depce. W protektoracie zaczął chodzić koło swoich spraw i zostaje wyznaczony na administratora Stawowiczek, które Bronikowskiej zostają odebrane, a ona usunięta od wszystkiego, dostaje małe przydziały. Ma przykrości na każdym kroku.

Jestem nie na rękę Kirschsteinowi, jako znajoma z dawnych stron, ale jako pracownicy wyrzucić nie może. Szuka więc pretekstu do pozbycia się mnie. Ponieważ zajmuję całą oficynę, która zostaje przerobiona na mieszkanie dla rodziny pana Kirschsteina, musimy ją opuścić. Dostajemy, to jest Michał i ja, mały pokój we dworku, a rodzina nauczyciela z Pleszewa u jakiegoś gospodarza w sąsiedniej wiosce. Dworek jest stary, modrzewiowy, ale w rozsypce. Ganek obrosły winem zawala się, dach z gontów przecieka, pokoje niskie z zapachem myszy i stęchlizny. Nie brak karaluchów i innego robactwa. Kirschstein nie może znieść Michała. Stale są jakieś zatargi między nimi, mimo że Michał stara się całe dnie być poza domem. Stara się o inną pracę i wreszcie znajduje posadę instruktora rolnego w Inowłodzu koło Spały nad Pilicą.

Salonik zamieniony na kancelarię i biuro gospodarza. Pieczołowicie pielęgnowany pokój pana Hilarego, zmarłego przed paru laty, staje się gościnnym pana administratora, a stare meble popalone. Pani Bronikowska zostaje we dwóch pokojach i kuchni razem ze starą, dawną nianią jej córki, która od lat pracuje we dworze Stawowiczki.

Kirschstein coraz więcej obowiązków na mnie nakłada. Ja mam prowadzić książki gospodarcze, dozorować spichrzy, inwentarza, ogrodu. Muszę wstawać o czwartej rano, wydawać obroki. Mam wszystkie klucze podwórzowe. Mam być odpowiedzialna za spichrz i wszystkie zapasy w stodołach i składzikach. Stawowiczki dostają duże przydziały węgla, zboża siewnego, kartofli sadzeniaków. Kartofle nie były jeszcze wszystkie zasadzone, bo brakło. Nie wiem, czy takie późne urosną. Co z tego, że noszę klucze i kłódki zamykam, jeżeli przez spróchniałe deski wszędzie można się dostać. Często spostrzegam ubytek węgla, zboża, kartofli. Widzę to u fornali, ale przecież

[44] Obecnie Skrzypnia; wieś w gminie Czermin, w powiecie pleszewskim.

GRZESZCZAK.indd 102 12.11.2024 20:23:50



Dzieci Zygmunta i Anny Broel-Platerów. Od lewej: Maria, Eliza, Anna, Ludwik, Helena, Stefania, Konstanty, Teresa. Fot. ze zbiorów Jacka Mycielskiego

nie powiem o tym Kirschsteinowi. Rozmawiam sama z fornalami, że przecież mnie łeb utną, niech więc mają nade mną litość. Wieczorem muszę siedzieć w biurze, zapisywać obecność ludzi i czynności całego dnia. Jest to cała księgowość gospodarcza, dość ścisła, taka sama, jaką dali mi przed wysiedleniem w Oborach. Trzeba pisać w języku niemieckim, o którym nie mam pojęcia, no trochę podstaw z gimnazjum. Siedzę stale w słowniku, który szczęśliwie zabrałam ze sobą. Kirschstein, przeglądając moje zapiski, często wybucha śmiechem albo wpada w złość.

W swoich zarządzeniach coraz bardziej ogranicza Bronikowską. Chce robić to przeze mnie. Nie wykonuję tych poleceń. Stosunki moje z panią Bronikowską stają się coraz bardziej przyjacielskie. To staje się przyczyną coraz to gorszego traktowania mnie przez Kirschsteina. Z przykrością więc muszę wysłuchiwać ironicznych uwag pana „dyrektora". Pani Bronikowska zatrzymała sobie parę kur, ale nie ma dla nich paszy. Po kryjomu przynoszę jej po trochu ziarna. Robię to bardzo ostrożnie. Musiał to spostrzec któryś z fornali i doniósł Kirschsteinowi. Boże święty! Co za piekło rozpętało się, myślałam, że mnie obije. Od tego czasu nie mówi do mnie, a szczeka. Dziwnie ma wtedy gębę podobną do psa. Tak mnie gania, że już sama nie wiem, co wpierw robić. Książki uzupełniam nocami, nie mam czasu ugotować sobie jedzenia. Dyrektor zajęty urządzaniem swego domu, żoną i dziećmi. Coraz liczniej zjawia się rodzina żony. Orientuję się, że wymagania żony i chęć ich zaspokojenia czyni dyrektora coraz

GRZESZCZAK.indd 103 12.11.2024 20:23:50



Willy Wabnitz z żołnierzem niemieckim przed pałacem w Białaczowie.
Fot. ze zbiorów Jacka Mycielskiego

skąpszym dla pracowników. Wszystkich traktuje z góry. Specjalnie źle odnosi się do mnie. Stawowiczki dostają duże dotacje na podniesienie gospodarstwa, z których swą część Kirschstein zużywa na urządzenie swego mieszkania. Założył podwójne klucze do magazynów i jedne ma u siebie. Gdy wracam z ogrodu, spostrzegam okolicznych chłopów wywożących węgiel, który kupują od pana dyrektora. I tak poszły dwa wagony, które to trzeba rozliczać na deputaty dla ludzi i cele gospodarcze.

Nadchodzi termin miesięcznych sprawozdań, które trzeba wysłać do księgowości do Białaczowa, pod który podlegają Stawowiczki. Pytam się dyrektora, jak mam węgiel rozliczyć.

– Na to pani jest księgową, aby wiedzieć, jak to zrobić. Trzeba rozplanować na gospodarstwo i deputaty.

– Dwa wagony sprzedanego węgla!

– Niech wpisuje na ludzi.

– Ale oni muszą podpisywać odbiór.

– Tu ludzie nie umieją pisać, niech pani wpisuje krzyżyki!

Rzeczywiście czterdzieści procent jest tu analfabetów, w centralnej Polsce, blisko stolicy. Okazuje się, że nie mam zbyt mocnej w tej dziedzinie głowy. Obiekt nie jest znowu tak duży, żeby wagon węgla czy beczka nafty nikła bez śladu. Nie zrobiłam tego – rubryki węgla nie wypełniłam.

Bronikowska miała bardzo rasowego ogiera araba i faworytkę wierzchówkę Legendę. Swą nienawiść do Bronikowskiej dyrektor

GRZESZCZAK.indd 104 12.11.2024 20:23:50

wyładował na biednych koniach, które na zmniejszonych dawkach obroku wzięte do ciężkiej pracy, okropny widok przedstawiały. Ostry i nerwowy arab wkrótce ledwie nogami włóczy. Legenda zdechła, opłakana przez swoją panią. Wszystkie konie dostały świerzb. Gdy zgłosiłam to do dyrektora, zezwał mnie, nie chciał wierzyć. Mam sama temu zaradzić. Jadę do Opoczna po leki. Trzeba stosować ostrożnie, według przepisu. Ale dyrektor każe robić inaczej. Twierdzi, że nie potrzebuję go pouczać. Rezultat taki, że konie bez sierści, a ludzie mają rany na rękach. Znowu moja wina.

Kirschstein pieni się! Spotkał mego brata przechodzącego przez pole, zezwał go. Brat nie pozostał dłużny. Zaraz mi zapowiedział, że nie wolno bratu mieszkać w Stawowiczkach.

Nianiusia pochorowała się. Bronikowska prosi, abym postarała się o zawiezienie jej do lekarza. Wymolestowałam z trudem konie. Okazuje się, że ma jakąś oryginalną chorobę, zwaną „pas św. Franciszka". Prawie co dnia gdzieś wyjeżdżam. Gdy mnie posyła samą, dostaję najlichszego konia, a potem burę, że za długo byłam w drodze. Zaczyna być zimno, w drogę zabieram koc, który służy mi w nocy za kołdrę. Konie już w polu nie pracują, więc dostaję na jazdy wóz z parą koni i fornalem, z którym wspólnie korzystamy z koca, okrywając nim nogi, bo zawsze liche mają ubranie. Od pewnego czasu czuję stale swędzenie ciała, zwłaszcza w pasie. Czyżby to samo, co ma Nianiusia? Wszystko możliwe. Jutro mam jechać do Opoczna, będzie okazja poradzić się lekarza. Wieczorem, mimo zimna, urządzam dokładne mycie. Mam czerwony pas, jak „Niania". Przypadkowo spojrzałam na pasek od podwiązek. Jakieś szare czułki na wewnętrznej stronie. O zgrozo! To wszy i jakie wielkie. To pierwsze z nimi spotkanie – to przyczyna czerwonego pasa i swędzenia. Byłam przerażona. Rano bieliznę, pół mokrą, dosuszałam na sobie. Dużo pracy kosztowało mnie pozbycie się tych pasożytów. Po następnej jeździe znowu swędzenie i znowu gruntowne polowanie.

Coraz częściej jestem wysyłana do załatwienia spraw gospodarczych i prywatnych dyrektora do Tomaszowa. Dnie krótkie i już noc ciemna, gdy przejeżdżamy przez lasy pod Tomaszowem. Z domu wyruszamy po ciemku, wczesnym ranem. Dostaję rozlatujący się wózek i najgorszego konia, którym wkrótce staje się siwy arab. Do Tomaszowa już dostawałam fornala, który pilnował koni. Na pewno drogę tę prędzej bym przebyła piechotą, niż jadąc tymi końmi. Po powrocie zawsze były wymówki, że późny powrót. Podobno nie jeździ sam, bo boi się partyzantów. Przewożę często znaczne sumy pieniędzy na „inwestycje w gospodarstwie", których w praktyce nie widać.

W Białaczowie główną księgową na zespół majątków podległych mu jest pani Kwilecka, która zarabia na małe osierocone dzieci, bo w pierwszych dniach wojny Niemcy zamordowali pana Kwileckiego.

GRZESZCZAK.indd 105 12.11.2024 20:23:50

Irena z Sęp-Szarzyńskich Spychałowa Droga do domu



Eliza z Broel-Platerów Kwilecka. Fot. ze zbiorów Jacka Mycielskiego

Pani Kwilecka, z domu Plater, jest bardzo miłą, dobrą i piękną kobietą. Do niej co miesiąc odwożę raporty gospodarcze. Ostrzega mnie, abym uważała, żeby swoimi kombinacjami Kirschstein mnie nie wsypał. Podczas mojej bytności w Białaczowie arab musiał zwrócić uwagę swoim wyglądem, bo Kirschstein dostał polecenie oszczędzania go i doprowadzenia do normalnego stanu. Po załatwieniu spraw w biurze wpadałam na chwilę do ciotek z Kretkowa, które dostają dużo paczek od Jana Spychały. Mają ciepły i suchy pokój w drewnianym, nowym budynku, zajmowanym przez posterunek policji. Nieraz Kwilecka zapraszała mnie na obiad. Zachwycona byłam zawsze urodą jej i jej córek. Do biura przychodził często Wabnitz, główny dyrektor[45]. Miał niesamowity brzuch, który zawsze opierał na poręczy krzesła. Bardzo mi się to podobało. Miał wspaniałe dwa białe owczarki, którym do woli było wolno gryźć ludzi. Miałam zawsze duszę na ramieniu, gdy szłam do mieszkania pani Kwileckiej, której mieszkanie było w jednym skrzydle ślicznego i nowoczesnego pałacu. Jego środkową część zajmował pan dyrektor z rodziną i owczarkami. Panie Plater musiały zamieszkać w oficynie, kontaktuję się z nimi. W Białaczowie przebywa też pewien czas Józef Szenic[46] z Korzkiew, który dużo u ciotek przesiaduje.

Nadchodzi ta ciężka, mroźna zima, która odwróciła kartę powodzeń niemieckich. Niemcy ponoszą pierwsze klęski na ziemiach rosyjskich[47]. Po humorze dyrektora orientuję się o sytuacji na froncie, nie tylko na wschodnim mają kłopoty. Oddziały partyzanckie coraz śmielej dają znać o swym istnieniu. Kirschstein nigdzie nie wyjeżdża. Nie ma dnia, żeby nie wysłał mnie z różnymi sprawami w ten niesamowity mróz. Jadę z raportami do Białaczowa. Wstąpiłam na parę minut do ciotek. Zaczynają chorować. Zwłaszcza Skórzewska,

[45] Zamieszkały i urzędujący w Białaczowie Willy Wabnitz był naczelnym administratorem (*Oberleiter*) okolicznych majątków, wśród nich Stawowiczek.

[46] Józef Szenic (1903-1973), s. Artura (1868-1932), starosty pleszewskiego, właściciela majątków Korzkwy i Mamoty k. Pleszewa, i Józefy z Cichoszewskich – zob. S. Małyszko, *Szenic Artur Marian Adam*, w: *Słownik biograficzny Wielkopolski południowo-wschodniej Ziemi Kaliskiej*, t. 3, red. D. Wańka, Kalisz 2007, s. 399--400.

[47] Klęska niemieckiej operacji o kryptonimie „Tajfun", mającej na celu zajęcie Moskwy.

GRZESZCZAK.indd 106 12.11.2024 20:23:50

źle z sercem. W drodze powrotnej walczę ze snem. Śnieg pada wielkimi płatami, ledwie drogę widać. Marzę o cieple. Od zimna jestem cała zdrętwiała. Od pewnego czasu na mój powrót zawsze czeka pani Bronikowska z ciepłą herbatą lipową i z ciepłym słowem. To drugie jest dla mnie cenniejsze, po tym ciągłym borykaniu się z życiem, brakiem ciepła życzliwej osoby. Brat unika Kirschsteina, więc tu spokój. Zupełnie obezwładniona zimnem dobiłam nareszcie do Stawowiczek. Już późno, sprawozdanie dyrektorowi zdam jutro, a teraz do upragnionego łóżka, do którego pani Bronikowska włożyła ciepłą butelkę. Gdy się rozbieram, stróż puka do okna z poleceniem pójścia do dyrektora. Przychodzę jeszcze trzęsąca się od zimna, a ten pokazuje mi lampę. Nie rozumiem, o co mu chodzi. On ryczy:

– No czy pani nie widzi, że mało nafty?

Wściekłość mnie ogarnia:

– To niech pan każe dolać.

– A z czego, kiedy nie ma?

– Jak to, przed tygodniem przywieziono dwie beczki.

– To panią nie ma obchodzić, co się z nimi stało, nafty nie ma. Zaraz pani pojedzie do Tomaszowa i poprosi kreislandwirta[48] o bezugschein[49] na naftę. Konie już gotowe, rano na ósmą będzie pani w Tomaszowie, żeby być pierwszą bez czekania, to i na wieczór będzie pani z powrotem.

– Jak to zaraz? Przecież przed chwilą wróciłam z Białaczowa.

– Toteż dostanie pani inne konie i człowieka.

Było znowu piekło, bo żaden z fornali nie chciał jechać. Była to pewnie najmroźniejsza noc. Ciekawe, jak wytrzymam tę drugą, parogodzinną podróż. Okryłam się, jak mogłam. Trzeba było jechać przez lasy. Zdawało mi się, że drzewa pękają od mrozu. Konie brnęły w śniegu po brzuchy, wlekliśmy się noga za nogą. Wóz był dobrze słomą wymoszczony. Szczęściem, mam ciepły kożuszek, jeszcze z domu, i derkę, którą okrywam nogi wspólnie z furmanem. Stopy mamy we workach z sieczką. Powozimy na zmiany, wprost ze zimna sztywniejemy. Mimo to stale rozmawiamy, w obawie przed zaśnięciem. W pewnej chwili przestał gadać, a trąca mnie, dając znak, aby się obejrzeć. Wymęczona drzemałam, dziwnie błogo robiło mi się od tego zimna. Głowę miałam, jak nie swoją. Wyczuwam czyjąś obecność za nami, ale wszystko mi już obojętne, nie oglądam się. Mimo ciemności widziałam, że ma broń. Nim wyjechaliśmy z lasu, nieznajomy zeskoczył z wozu i znikł w lesie. Miałam właśnie w teczce większą sumę pieniędzy, oczywiście nie moich. Szkoda, a mógł tę forsę zabrać, tylko nie wiem, co by wtedy ze mną było.

[48] Powiatowy pełnomocnik III Rzeszy do spraw rolnych.

[49] Kwit na przydział.

GRZESZCZAK.indd 107 12.11.2024 20:23:50

W Tomaszowie przez kreislandwirta byłam przyjęta w południe. Coś bardzo szwargotał, ale dał bezugschein. Byłam niesamowicie głodna, w głowie mi huczało, a nóg nie czułam. O czwartej już ciemno, a więc znowu nocą powrót. Przez stróża posłałam kwity do dyrektora i mimo wezwania nie poszłam. Wreszcie zdrowie nie wytrzymało tych jazd. W nocy dostałam silnej gorączki, coś mi się majaczyło. Nad sobą widziałam twarz pani Bronikowskiej, która chwilami zamieniała się w twarz matki, to znowu w ojca, i ten nie do zniesienia szum w głowie. Gdy odzyskałam przytomność, ujrzałam uśmiechającą się do mnie panią Bronikowską. Podobno przez dwa tygodnie byłam w świecie majaków, pielęgnowana przez dobrą moją opiekunkę. Byłam tak słaba, że wstać nie mogłam. Oczywiście do pracy iść nie mogłam. Gdy po kilku dniach, niepodobna do siebie, siedziałam nad struganiem ziemniaków, przyszedł Kirschstein z kreislandwirtem. Coś szwargotali. Kreislandwirt pyta, co tu robię:

– Obieram ziemniaki.

– Dlaczego nie chodzę do pracy?

– Bo jestem jeszcze bardzo słaba.

– Pani chora?

– Tak, byłam – teraz lepiej.

Po tygodniu dostałam z Białaczowa oficjalne wymówienie z pracy i nakaz opuszczenia mieszkania w ciągu trzech miesięcy oraz obliczenie należnego mi, a zaległego deputatu. Zaznaczono również, że mam dostać konie na stację lub do nowego miejsca zamieszkania. Na moje miejsce został zaangażowany brat dyrektorowej.

Mój brat stał się tajemniczy. Podobno w czasie mojej choroby po parę dni nie było go, stara się o posadę agronoma. Jak tylko doszłam do lepszych sił, udałam się do Paradyża, gdzie bez większego trudu wynajęłam mały pokój z przejściem przez kuchnię, u starszej, całkiem głuchej gospodyni – pani Balasińskiej[50], właścicielki domu i małego gospodarstwa. Zaraz też poprosiłam o konie, za które Kirschstein odtrącił mi część moich należności, ale mimo to obliczam, że starczy na prawie pół roku.

Zbliża się wiosna, dojdę do sił, znajdę pracę. Urządziłam się w dość miłym pokoju. Pani Bronikowska często mnie odwiedza. Oczywiście brat zamieszkuje ze mną. Umeblowanie jest wystarczające. Siatka z żelaznego łóżka na drewnianych podpórkach ze Stawowiczek służy jako łóżko Michała. Sama śpię w starym pudle od otomany, wysłanym obficie słomą. Na dzień przykrywam derą, okładam zaimprowizowane poduszki i jest tapczan, ława, stołek, jedno krzesło. Szafę zastępowała jakaś skomplikowana konstrukcja, zbita jeszcze przez Michała ze zrzyn i odpadów od desek, które kiedyś tanio

[50] Zofia Balasińska; mieszkała w Paradyżu przy ul. Opoczyńskiej 4.

GRZESZCZAK.indd 108 12.11.2024 20:23:50

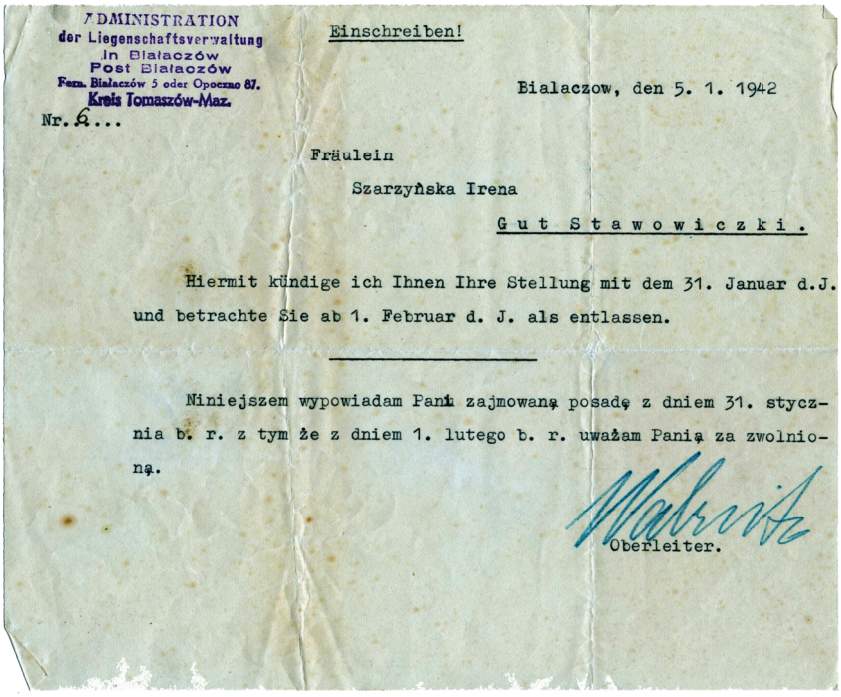

ADMINISTRATION
der Liegenschaftsverwaltung
in Białaczów
Post Białaczów
Fern. Białaczów 5 oder Opoczno 87.
Kreis Tomaszów-Maz.
Nr. 6...

Einschreiben!

Białaczow, den 5. 1. 1942

Fräulein
Szarzyńska Irena
Gut Stawowiczki.

Hiermit kündige ich Ihnen Ihre Stellung mit dem 31. Januar d.J. und betrachte Sie ab 1. Februar d. J. als entlassen.

Niniejszem wypowiadam Pani zajmowaną posadę z dniem 31. stycznia b. r. z tym że z dniem 1. lutego b. r. uważam Panią za zwolnioną.

Wabnitz
Oberleiter.

Pismo zwalniające Irenę Sęp-Szarzyńską z pracy w Stawowiczkach z podpisem W. Wabnitza. Ze zbiorów Zofii Stachowiak

kupił na opał. Obiłam to papierem i oddzieliłam kącik na kuchnię i umywalnię z deseczek. W tej budowli były półki i część z drążkiem i zrobionymi ramiączkami na rzeczy. W „szafie" było oczywiście dużo pustego miejsca. Jako ognisko domowe był tak zwany „krystek" – dwufajkowy, żelazny piecyk, który nazywam karabinem maszynowym. Miał tę zaletę, że szybko się ciepłem zapełnił i równie szybko wystygał, co znów zaletą nie było. Umywalnia była najbardziej udana, trójkąt ze zrzyn, ze wstawioną miską. Wiadra to były wyproszone stare puszki od marmolady od wojska niemieckiego. Jedną taką puszkę miałam do wody, drugą do zlewania brudnej, no i często do innych celów, bo ustęp w podwórzu był makabryczny. Miałam pełne okno kwiatów: kalie, które roniły krople wody, gdy miał deszcz padać, pelargonie obsypane różowym kwiatem. Jedyną krową i ciężką pracą zajmowała się młoda, silna Krysia, wysiedlona, nie wiem z jakiej okolicy. Bronikowska często zagląda.

Któregoś dnia brat oznajmia mi, że dostał posadę agronoma w Inowłodzu obok Spały i że mogę z nim jechać, bo będzie potrzebować kogoś do gotowania. Oczywiście nie zgodziłam się. Zapakował się i wyjechał. Z początku było mi przykro, robiłam sobie wyrzuty

GRZESZCZAK.indd 109 12.11.2024 20:23:50

sumienia, że może będzie miał naprawdę biedę z tym gotowaniem, ale wprost nie miałam odwagi być na jego utrzymaniu. Potem odczułam wielką, niczym nieskrępowaną swobodę.

Tyle już razy miałam przez Michała kłopoty. Największy zrobił mi się wkrótce po przyjeździe do Paradyża, który mnie moc nerwów kosztował i mogło się smutnie skończyć. Gdy zaczęły się wiosenne roztopy po tej niesamowitej ilości śniegu, chodził stale w przemoczonych butach. Zaziębił się. Został w łóżku, poiłam go gorącym mlekiem i zdobyłam aspirynę, którą sam zażywał. Zamiast zażyć normalną dawkę aspiryny, nałykał jej sporo. Gorączkę miał silną, wkrótce wystąpiły na całym ciele podejrzane, czerwone plamy. Wezwałam lekarza, ten orzekł, że to tyfus plamisty, i zgłosił to do gminy. Dostarczono podwodę i nakaz odesłania go do szpitala zakaźnego w Piotrkowie. Coś mnie pchało, żeby iść do niego. Do lekarza w szpitalu nie mogłam się dostać tego dnia. Jakoś nie mogłam uwierzyć, że to tyfus plamisty. Jacyś uczynni ludzie przenocowali mnie i dali wskazówki, przez kogo starać się o widzenie z Michałem. Z trudem dostałam się do wnętrza szpitala. Co za okropny widok! Duża sala pełna łóżek o brudnej pościeli, zaduch, jęki gorączkujących, inni jak martwi, wychudzeni jak szkielety. Makabra trudna do opisania. Brata w sali chorych na tyfus szczęśliwie nie ma. Leży na sienniku na podłodze w korytarzu, jeszcze obok dwóch czy trzech. U Michała gorączka ustąpiła, nim dojechał do Piotrkowa, i plamy zaczęły znikać, ale zdążono go już ogolić na „zero". Nie chce ze mną rozmawiać. Powiedział tylko, że pewnie chcę się go pozbyć. Oniemiałam z przerażenia. Muszę go jak najszybciej stąd wydostać. Okazało się, że to nie tyfus, a zatrucie nadmierną dawką aspiryny. Biegam od Annasza do Kajfasza. Nareszcie lekarz obiecuje mi zbadać go powtórnie i trzymać nadal na korytarzu, bo nie chce go jeszcze zwolnić. Głodna i zgnębiona spędzam noc na dworcu. Rannym pociągiem, pełna niepokoju, wracam do Paradyża, wędrując piechotą z Sulejowa (piętnaście kilometrów). W takich ciężkich chwilach modlę się do rodziców o protekcję u Boga.

Na drugi dzień brat wrócił. Ma pretensje, że wezwałam lekarza, który wszczął ten niepotrzebny alarm. Jak się później okazało, chcąc przyspieszyć kurację, łyknął kilkanaście aspiryn jednorazowo, czego następstwem była podejrzana wysypka i zła diagnoza lekarza w okresie powszechnie panującego tyfusu. Coraz większa przepaść tworzy się między nami, mimo że mu zawsze ustępuję, obwinia mnie za każde niepowodzenie i trudności życiowe. Mimo że zawsze mu ustępuję, czuje się stale pokrzywdzony przeze mnie. Ostatecznie z ulgą przyjęłam wiadomość, że dostał posadę w Inowłodzu, i stanowczo odmówiłam powędrowania z nim, mimo że nie miałam na razie żadnej pracy. Po jego wyjeździe do Inowłodza poczułam się

GRZESZCZAK.indd 110 12.11.2024 20:23:52



Wiktor Sęp-Szarzyński przy otwartym grobowcu żony na cmentarzu w Szymanowicach.
Fot. ze zbiorów Zofii Stachowiak

swobodna, odzyskałam humor i siły. Moje zapasy ze Stawowiczek kończą się, trzeba szukać pracy zarobkowej.

Jest już lato, trzeba starać się o jakąś pracę. W Paradyżu jest biuro rejestracji bydła. Inwentarz jest spisany, zakolczykowany i według tego naznaczony, przymusowy skup. Kierownikiem biura jest pan W., rzeźnik z Jarocina, z moich okolic wysiedlony. Dzięki poparciu znajomych, dostaję u niego pracę w biurze za niewielką pensję, kartki na chleb i przydział tygodniowy mięsa. Praca polega na księgowaniu zarejestrowanego u gospodarzy bydła, z którego musieli oddawać kontyngent. W biurze pracuje też Marian Turek[51] – łodzianin. Niezadowolony z mego przyjścia, nawet nie ułatwiał mi objaśnień w pracy. Siedzieliśmy wyznaczone godziny, nie odzywając się do siebie. Jest dużo młodszy ode mnie i uważa mnie za starą purchawkę, ale stopniowo oswaja się i nabiera zaufania. Wspólnie płataliśmy różne figle naszemu szefowi. Wyczuwam, że ma kontakt z „lasem". Ojciec jego po wyjeździe ks. Sobiecha vel pana Nowaka jest konwojentem w mleczarni. Jego młodszy brat zwiał do lasu. Coraz częściej słyszy się o lesie, coraz tam ludniej. Często myślę, jak to bractwo radzi sobie tam, bo latem pół biedy, ale zimą? Brr! Podobno w Lubelskiem partyzantów najwięcej. Robią Niemcom duże straty w transporcie, otwierają więzienia, w biurach niszczą dokumenty. Wiadomość o każdej takiej akcji podnosi nas na duchu. Marian, gdy jest w dobrym humorze, nieraz powie coś pocieszającego.

Biuro było nader prymitywne. Pokój – biuro jest przedzielone prowizoryczną ścianą, za którą jest sypialnia „szefa". Od pewnego czasu mamy niesamowite powietrze, nie pomaga otwieranie okna. Zachodziliśmy z Marianem w głowę, skąd te smrody. Nawzajem patrzymy na siebie podejrzliwie. Marian często wyjeżdża w teren z szefem zakładać kolczyki z numerami i spisywać u chłopów inwentarz. Siedzę sama w tym smrodzie. Jest ścisła kontrola, prawie wszystko bydło i świnie idą na kontyngenty. Wyznaczone odstawy coraz większe, potajemny ubój jest surowo karany, przeważnie obozem koncentracyjnym. O tych obozach cuda się słyszy, aż skóra cierpnie, wprost nie do wiary.

Smród w biurze nie do wytrzymania. Podczas nieobecności szefa, kontrola jego sypialni rozwiązała zagadkę. No i jest! Stara beczka od karbidu służy szefowi za klozet, już prawie do połowy zapełniona. Luksusowa wygódka szefa stwarza to okropne powietrze. Nic innego nie pozostaje mi, jak przed drzwiami do sypialni przylepić kartkę z dwoma zerami i strzałkę w ich kierunku. Przed piątą wpadł Marian.

Wtajemniczyłam go w te zakulisowe wygody szefa, był oburzony. Zobaczymy, co szef na tę strzałkę z „00" powie. Poskutkowało! Tego

[51] Zob. s. 65.

GRZESZCZAK.indd 112 12.11.2024 20:23:53



Marian Turek z narzeczoną (okres okupacji). Fot. ze zbiorów Zofii Stachowiak

dnia nie widziałam szefa, ale na drugi dzień beczka i smród znikły. W tym samym gmachu, gdzie biura na piętrze, mieści się policja, a prawie cały parter zajmuje mleczarnia. Policjanci często przychodzą do Mariana na pogawędkę. Opowiadają też o różnych wyczynach partyzantów, orientuję się, że są im przychylni, ale boją się i Niemców, i partyzantów. W dni, kiedy były spędy, wiałam z pracy wcześniej, bo część „biurokracji" zalana była w pestkę, lepiej więc było panów samych zostawiać.

Którejś nocy śni mi się moja wierna Nora, wystraszona, tuli się do mnie i żałośnie skomli. Często o niej myślę. Tak mi w myślach ten pies siedzi, że zaczynam o niej opowiadać Marianowi. Widać musi psy też lubić, bo z zaciekawieniem słucha. Od tego czasu Marian zamienia się w dobrego kolegę i nawzajem zwierzamy się ze swoich kłopotów. Marian ma dziewczynę z sąsiedniej wioski, w której chwilowo mieszkają. Ma ona brata listonosza na tutejszej poczcie, nazywa się Tadeusz Szczegielniak[52]. Wkrótce dowiaduję się, że zwiał do lasu.

[52] Mieszkał w Popławach-Kolonii w okolicach Paradyża. Na temat jego działalności konspiracyjnej – zob. s. 65, 11, przypis 53.

GRZESZCZAK.indd 113 12.11.2024 20:23:53

Spotkałam go kiedyś, gdy już tam był i gdy już oni wszyscy uważali mnie za swoją. Nie wiem czemu, ale miałam to nieszczęście, że wiele osób zwierzało się przede mną ze swoich kłopotów. Pocieszałam zawsze, jak mogłam. To było już dużo później, gdy kiedyś na jakiejś miedzy, gdzie szłam, skracając sobie drogę, spotkałam Tadeusza Szczegielniaka. Bardzo zmizerniał, był prawie obdarty, miał jakąś lichą broń. Mówił, że tęskni za swoją rodziną i domem, i wyrwał się, żeby ich odwiedzić. Prosił, żebym zobaczyła, czy droga do jego domu jest pewna. Gdy go żegnałam, miał łzy w oczach i powiedział, że pewnie się już więcej nie zobaczymy. W parę dni potem dowiedziałam się, że w nocy grupa partyzantów, w której był Tadeusz, została otoczona w jakiejś chacie. Bronili się do ostatniego naboju i tym ostatnim odebrali sobie życie, aby nie dostać się w ręce Niemców. Było ich pięciu, przeważnie dziewiętnastoletnich chłopców. Chatę Niemcy podpalili. Na trzecią czy czwartą noc znaleziono zwęglone ich ciała. Koledzy pochowali ich w lesie we wspólnym grobie wśród szumiących sosen. Podobno dużo ludzi zeszło się na ten partyzancki pogrzeb[53].

Biuro nasze jest przeniesione do innego budynku. Jest ciaśniej, ale izba słoneczna. W poprzednim gmachu, po różnych przeróbkach, okratowaniach, usadzili na piętrze policję. Okna są vis-à-vis chaty bogatych Żydów, którzy w Paradyżu mieli sklepik. Żydów teraz wysiedlają i koncentrują w Opocznie[54]. Początkowo zwozili ich do Paradyża z innych miejscowości. Nie wolno im wychodzić poza obręb osady. Ich twarze zrezygnowane, w oczach niektórych wprost obłędna rozpacz.

Coraz więcej ludzi poznaję, zyskuję ich zaufanie i dobrze się wśród nich czuję. Z gospodarzami, którzy przychodzą do biura, rozmawiam często na tematy gospodarcze i dyskutujemy na tematy ich kłopotów i trudności. Szef też stracił swoją ważność w stosunku do mnie. Teraz Marian dużo wyjeżdża z szefem w teren. Przeważnie siedzę w biurze sama. Dotychczas zamykane kleszcze i kolczyki do

[53] Relacja Ireny z Sęp-Szarzyńskich Spychałowej sprowadza to wydarzenie do epizodu, w którym wzięło udział pięciu partyzantów. Tymczasem cały oddział partyzancki „Błysk", w którym służył Tadeusz Szczegielniak, sformowany w kwietniu 1944 r. i dowodzony przez por. Franciszka Czulaka, ps. „Góral", praktycznie przestał istnieć po tym, jak Niemcy zamknęli go w kotle we wsi Ludwików (Łuby Sobieńskie). Partyzanci znaleźli się pod morderczym ogniem nieprzyjaciela, a otoczona wioska została podpalona zrzuconymi z samolotu wiązkami granatów zapalających. Broniący się zginęli od kul i płomieni, a ciężko rannych Niemcy dobijali. Ich zwłoki polano benzyną i podpalono. Poległych żołnierzy oddziału partyzanckiego „Błysk" upamiętnia pomnik na cmentarzu w Paradyżu – zob. M. Kopa, A. Arkuszyński, H. Kępińska-Bazylewicz, tamże, s. 49-50.

[54] Dnia 27.10.1942 r. zgromadzeni w Opocznie Żydzi zostali deportowani do obozu zagłady w Treblince.

GRZESZCZAK.indd 114 12.11.2024 20:23:53



Jadwiga Borowska na rowerze w Paradyżu. W głębi po prawej dom felczera i fryzjera Mojzesowicza, po lewej z białą ścianą sklep prowadzony przez paradyskich Żydów (1937). Fot. ze zbiorów Jadwigi Bochniak

znakowania inwentarza stają się dla mnie dostępne. Świnie u gospodarzy są kolczykowane i umowy zaksięgowywane. Kiedyś, gdy siedziałam sama, zaczęłam badać kleszcze i kolczyki, i odkryłam sposób otwierania kolczyka i powtórnego jego zamknięcia. Był to niesamowity wynalazek. Odtąd u znajomych i pewnych gospodarzy w ich chlewach przekładałam kolczyki z numerami sztuk zdatnych do uboju na mniejsze. W ten sposób tucznik, który w tajemnicy szedł pod nóż, był zastąpiony. Zarejestrowano jego numerem inną sztukę. I wszystko było w porządku. Kleszcze na swoim miejscu, zgodna ilość kolczyków. Niejednemu zrobiłam tę przysługę, zyskując popularność. W ten sposób tajny ubój wzrósł bez naruszenia ilości zarejestrowanego bydła i trzody. Ja miałam zawsze tak mało roztropną minę i tak się zwierząt bałam, że nikomu żadne podejrzenia na mnie nie mogły przyjść do głowy. Coś wolno rosły świnie i byczki, a ludzie z miasta częściej naszą okolicę odwiedzali. Szmuglerzy. Ci żywiciele potajemni miast, wiele bohaterstwa i sprytu dokonywali. Sposoby przewożenia kiełbas i rąbanki były przemyślne.

Bardzo modne stały się obfite biusty, szerokie, pasiaste spodnie. Często twarz była nieproporcjonalnie szczupła do obfitych kształtów talii. Ale nie zawsze się udawało. Niemcy zaczęli robić niemiłe odkrycia. Kiedyś zatrzymali pochód pogrzebowy idący za trumną. Wieziono nieboszczyka do grobów rodzinnych w pobliskim mieście. Musiał być jakiś donos, że Niemcy zatrzymali wóz i kazali trumnę otworzyć.

GRZESZCZAK.indd 115 12.11.2024 20:23:54

W trumnie leżał wieprzek w całości, gotowy do zamiany na rąbankę, obłożony innymi, trudnymi naonczas artykułami żywnościowymi. Zdjęcie otwartej trumny wystawiono na widok publiczny. Gorszy był los twórców nieudanego pomysłu.

Gdy przy pracy siedziałam sama, często na gawędę przychodziłam do okna. Mieszkający w sąsiedztwie Ewek[55] Tyczyński interesował się również moją pracą i zapiskami z terenu, które wyciągałam z ksiąg.

Mój szef musi być słaby w piórze, bo wszelkie piśmidła zleca mi, niewprawnie stawiając swój podpis. Któregoś dnia jest bardzo uprzejmy. Było i „Dzień dobry, jak się pani czuje? Czy dużo pracy?". I tak dalej. W końcu siada vis-à-vis, bierze pióro i:

– Gdzie są moje okulary?

– Ja nigdy u pana okularów nie widziałam.

– Miałem – bez nich nie mogę pisać, a mam taki pilny osobisty list. Może pani to napisze?

– Dobrze, proszę dyktować.

– Ano, widzi pani, byłem na zabawie, poznałem dziewczynę, która bardzo mi się spodobała, chcę się z nią spotkać, ale nie wiem, jak to zrobić. Myślę, że najlepiej napisać do niej list.

– No to co mam panu napisać?

– Niech pani sama ułoży, może już do pani ktoś taki list pisał, to pani wie, co pisać.

Szelmowska myśl skoczyła mi do głowy. List napisałam, ale nie jego treść przeczytałam. Był zachwycony treścią „odczytanego" listu. Obawiałam się, że w uniesieniu wdzięczności uściska mnie. Pieczołowicie list złożył i wysłał. Po paru dniach szefunio w stosunku do mnie stał się wściekły. Nie angażował mnie już do pisania swych listów miłosnych.

Krótko przed Wielkanocą sołtysi dostali od Niemców polecenie spisania inwentarza w swoich gromadach. Miała to być kontrola i porównanie ze spisem w biurach rejestracyjnych. Niektórzy weszli w porozumienie z szefem biura, aby uzyskać stamtąd wyciąg spisu, oczywiście nie za darmo. Szef obiecał wystarać mi się o urlop płatny, w zamian za zrobienie wyciągu nazwisk i numerów poza godzinami pracy. Chcąc pewnie w razie wsypy zwalić winę na mnie. Był to okres przedwielkanocny. A za moje ślęczenie do późna, sam kasował jajka, od sztuki bydła i trzody po jednym. Na obiecany urlop nie liczyłam. Gdy już listy z kilku większych gromad oddałam, sołtysi zaczęli koszami przynosić jaja, które szef upłynniał w Opocznie. Mnie nic nie zaproponował, obrażony stale po tym niefortunnym liście miłosnym. Nie, to ja mam siedzieć po godzinach i nic z tego nie mieć. We mnie wzrósł bunt cichy.

[55] Ewaryst Tyczyński (1914-2003) – zob. s. 60.

GRZESZCZAK.indd 116 12.11.2024 20:23:54

Zjawia się sołtys z Niewierszyna z koszem stu dwudziestu jaj. Prosi, żeby jaja wyłożyć, bo chce kosz zabrać. Jeszcze z jajami dodatkowa robota. Chciałam odmówić, zła, że przerwał mi pisanie listu do znajomych. Ale nie, idę za to przepierzenie do sypialni szefa, gdzie tu jaja wyłożyć? Jest rozgrzebane łóżko, stoliczek, krzesło, zamknięta szafa. A więc na łóżko, ten pomysł wydał mi się genialny. Zaczęłam je pieczołowicie układać, najwięcej we wgłębieniu, gdzie szefunio strudzony całonocnymi poczęstunkami, bimbrem w trzewia, lokował swoje cztery litery. W terenie zawsze był częstowany bimbrem i zawsze na następny dzień ubranie jego dawało sądzić, że spał w nim, nie rozbierając się. Moje rachuby nie zawiodły. Na drugi dzień szef ukazał się bardzo chmurny, mnie w ogóle nie zauważał, ale ja zauważyłam, że był w innym ubraniu. O jajach więcej mowy nie było, bo zaczął mi oddzielać od tego dnia część przynoszonych jaj. Zostawił mi adres, pod który miałam sołtysów kierować, gdy przyjdą w jakiejś sprawie do niego. Opowiedziałam tę historię Marianowi. Płakał ze śmiechu. Po paru dniach zrewanżował się wiadomością, że partyzanci na jakiejś wiosce przychwycili szefa i jego brata i rozebranych puścili do domu z zaleceniem nie brania tak dużych łapówek od gospodarzy za nieścisłe spisy. Podejrzewałam, że Marian wiedział wcześniej o tym, co nastąpiło, bo właśnie w tym dniu został w biurze, uzupełniając rzekomo zaległości.

Zaprzyjaźniłam się z Jadźką Śródkówną, córką kierownika mleczarni, i u niej stołowałam się. Wkrótce Śródkowie przenieśli się do Opoczna. Po pewnym czasie zarządzono przeniesienie naszego biura też do Opoczna. Nie mam tam mieszkania i nie mam ochoty opuszczać Paradyża, gdzie mam własny kąt i życzliwych ludzi.



Irena Sęp-Szarzyńska z Jadwigą Śródkówną (okres okupacji). Fot. ze zbiorów Zofii Stachowiak

GRZESZCZAK.indd 117 12.11.2024 20:23:54

Na razie dojeżdżam okazjami te siedemnaście kilometrów i staram się o zastępstwo, bo pod tym warunkiem obiecano zwolnić mnie z tej pracy. Nie miałam z tym trudności. Po paru dniach jestem bezrobotna i staram się o nową pracę, zostając w Paradyżu. No i co, teraz zapasów nie ma. Z budżetem byłam na bieżąco, gdyż wysyłam co miesiąc paczkę do oflagu.

1942 rok. Jeszcze mam trochę oszczędności, a że już znam wielu ludzi, wiem, gdzie mogę przydać się, więc daję sobie radę. Szkoda tylko, że mając czas, nie mam książek do czytania. Duży zbiór książek ma proboszcz, ale ten odmówił mojej prośbie. Czas spędzam u Flisowskich, u nauczycielki mieszkającej za mleczarnią, u Mireckich i u Durajów[56]. U jednych szyję i reperuję, u innych pomagam w ogródku lub kopię kartofle i mam obiady z głowy, co starczy na cały dzień. Najgorsze, że psują mi się gwałtownie zęby i bolą dziąsła. Dostaję dużo listów. Paczek już nie, bo odmówiłam, że już daję sobie radę. Przerabiam rzeczy, stykając jak się da potrzebne sukienki.

Z Michałem się zupełnie nie komunikuję. Odwiedziłam go kiedyś w Inowłodzu, ale go nie zastałam, przyszedł późnym wieczorem. W pokoju bałagan. Pełno worków ze zbożem, rozgrzebane łóżko, rzeczy porozrzucane. Posłałam sobie na workach i spałam już, gdy przyszedł. Z rana pokazał mi okolicę ładną, lesistą, nad Pilicą. Przed wojną miejsce wypoczynkowe dla warszawiaków. W lasach dużo willi letniskowych. Zapoznał mnie z właścicielką tych willi, starszą panną. Mieszka w ładnie urządzonym domu, ale teraz skromnie żyje. Obyczaje ma całkiem nowoczesne. Nad Pilicą ładna plaża. Ale mimo wszystko wolę życie w Paradyżu, do którego wracam po dwóch dniach. Mój pokoik u Balasińskiej wydaje mi się bardzo miły i ładny. Mam pełne okno kwiatów. Ściany ozdobione pocztówkami i rysunkami. Biało wyszorowana podłoga, czysto i spokój. Ludzie życzliwi. Żyję bez żadnych kłopotów i obowiązków. Włóczę się po okolicy i czas schodzi.

Na razie dostaję dorywczą, papierkową pracę w mleczarni, którą biorę do domu. Sami to mi zaproponowali. Odnoszę wrażenie, że wpłynął na to świeżo poznany pan Henryk Kruszewski[57], który od czasu wzięcia przeze mnie tej pracy często mnie odwiedza, interesując się przy tym zapiskami. Przystojny, starszy pan, słusznego wzrostu, o ruchach wojskowego. Za tę pracę dostaję mało, ale mam jeszcze tyle czasu, że dorabiam sobie u sąsiadek, reperując bieliznę, pracując, oczywiście węglowym żelazkiem, pielę w ogródkach, kopię ziemniaki. Za takie roboty wyżywienie mam z głowy, co jest najważniejsze.

[56] Gospodarstwo na uboczu, we wsi Stasin.

[57] Zob. s. 64-65.

GRZESZCZAK.indd 118 12.11.2024 20:23:55

Idąc kiedyś za Żarnów do znajomej (koleżanki z gimnazjum, też wysiedlonej) przez las, spotykam obozujących partyzantów. Zmęczeni śpią na ziemi pod sosnami. W kotle na drążkach coś się gotuje. Wartownik z karabinem na ramieniu przypatruje mi się ospałym wzrokiem. Pewnie byli po jakiejś nocnej akcji. Orientuję się, że nowy znajomy, pan Kruszewski, ma styczność z partyzantką. Ostatnią wypłatę za moją pracę w mleczarni daję panu Kruszewskiemu, żeby dostarczył na cele partyzantów. Jest to przysłowiowy grosz, ale może będzie okazja na poważniejszą pomoc. Pan Kruszewski prosi, żeby przy najbliższej sposobności dostarczyć mu odpisy niektórych danych z mleczarni. Teraz już wiem, że ser w beczkach podwodami do Opoczna dojdzie, ale masło zawsze zostaje po drodze zabrane, z którego wieczorem pan Turek, konwojent, przyniesie mi ćwiartkę i będzie w dobrym humorze. Prócz masła dostarcza mi różne wieści ze świata. Od tego czasu mam zawsze świeże masło, o które tak tutaj trudno. Niestety po pewnym czasie przestano mi dawać pracę w mleczarni.

Próbuję handlować, w tym celu jeżdżę okazjami do Opoczna. Często korzystam z uprzejmości konwojenta, ojca poznanego w biurze Mariana Turka, i zabieram się z transportem z mleczarni. Któregoś dnia na moją prośbę krzywi się i zgadza się z niechęcią. Pyta, czy koniecznie muszę być tego dnia w Opocznie. Jedziemy, siedząc na skrzyniach z masłem, za nami beczki z serem, tak jak zawsze, tylko pan Turek nagli do pośpiechu, nawet ukradkiem często wyciąga zegarek. Furman, mimo że ciepło, zasłonił się kołnierzem i udaje, że drzemie. Przejeżdżamy przez las, jadąc stępa. W pewnej chwili pan Turek trąca mnie, dając nieznacznie znak milczenia. Odczuwam czyjąś obecność za nami. Spoglądam z ukosa i widzę lufy dwóch pistoletów nad naszymi ramionami. Równocześnie z obu stron drogi wyskakują młodzi chłopcy – partyzanci, chwytając konie za cugle i skręcają furmanką w boczną dróżkę w dość gęsty las. Tu wskakują na wóz. Furman, nagle ożywiony, daje koniom po bacie. Gdy już jesteśmy oddaleni od drogi, trzej nowi pasażerowie, ku mojemu zdziwieniu, witają się serdecznie z Turkiem i furmanem, pytając równocześnie o mnie. Turek zapewnia, że jestem „pewna", więc przychylnie na mnie patrzą. Mamy wracać, licząc jedynie na własne nogi. Podwoda z transportem masła i sera jest dalej transportowana w nieznanym kierunku. Pan Turek prosi o pokwitowanie, okazuje się, że nie ma papieru. Wyrywam kartkę z notesu. Pokwitowanie gotowe, podpisane przez porucznika Pogodę[58]. Pogoda poleca Turkowi zgłosić się we wiadomym miejscu po kostkę masła. Życząc szczęśliwej drogi,

[58] Osoba niezidentyfikowana.

GRZESZCZAK.indd 119 12.11.2024 20:23:55

rozstajemy się i wracamy do Paradyża z grobowymi minami, komponując odpowiednią historię napadu i okrutnym potraktowaniu nas.

Znowu szukam stałej pracy. We Wielkiej Woli, odległej od Paradyża o dwa kilometry, organizują punkt zbiorczy odbioru kontyngentów zboża i kartofli. Biura są w Opocznie. Byłaby to praca blisko, choć sezonowa, ale dobrze płatna. Idę do Opoczna (siedemnaście kilometrów). Odmawiają mi. Na oddziały angażują tylko mężczyzn. W Opocznie, owszem, mogę pracę dostać. Nie odpowiada mi to ze względu na mieszkanie. A więc nadal jestem bezrobotna.

W tym mniej więcej czasie zostaję wezwana przez doktora G. do Białaczowa do chorej na serce cioci Skórzewskiej. Zmieniam się w pielęgniarkę. Będąc z nią, jej siostra nie zdaje sobie sprawy z poważnego stanu chorej, a stawiając siebie zawsze na pierwszym planie, jest nieznośna. Zadręcza chorą i mnie różnymi głupstwami. Tydzień tam spędzony był koszmarem. Z chorej życie ubywało z godziny na godzinę. Traci przytomność, majaczy, wspominając różne zdarzenia z życia, co chwila wzywa mnie. Przez te siedem dni i siedem nocy oka nie zmrużyłam. Nieprzyzwyczajona jestem do tak długiej bezsenności, zaczynałam być też nieprzytomna, staję się automatem, chwilami widzę wszystko jak we mgle. Dałam znać do ciotki Szarzyńskiej, która przyjechała na dzień przed śmiercią chorej. W tę ostatnią noc zastąpiła mnie pani Teresa Plater, a mnie wpakowała do swojego łóżka, gdzie parę godzin snu odświeżyło mnie. Gdy po tym czasie wróciłam, chora już mnie nie poznała. W przedśmiertelnym majaczeniu utkwiły mi w pamięci jej słowa: „Już koniec, życie przeszło, a ja nic dobrego dla ludzi nie zrobiłam, a mogłam". Było bardzo upalnie – lipiec. Trzeba było czekać na trumnę, którą robił w majątku miejscowy stelmach[59].

Gdy przed samym pogrzebem razem z bratem kładłam rozkładające się już ciało zmarłej do trumny, oblała mnie posoka, która przy poruszeniu zmarłej wypłynęła z jej ust i uszu. Okropność! Ciotka Niegolewska dopiero teraz rozpacza, ale zdaje się bardziej nad swoim losem. Chce, żebym z nią została. Ma ją zabrać Konopkowa[60] z Warszawy. Ona boi się wyjeżdżać, ale Platerowie nie chcą ciotki mieć, mają dość jej grymasów. Wkrótce po jej wyjeździe do Warszawy Konopkowa wyjeżdża, ukrywając się przed Niemcami z nieznanych

[59] Rzemieślnik zajmujący się konserwacją kół oraz części do wozów i bryczek.

[60] Helena z Malinowskich Konopkowa, druga żona Józefa (1884-1940), krewnego Skórzewskich z Kretkowa, oficera armii Austro-Węgier i Wojska Polskiego, inżyniera, prawnika, ekonomisty, zamordowanego w Katyniu – zob. J. Grzeszczak, *Skórzewscy na Kretkowie*, s. 45-54; M. Konopka, *Klejnot rodzinny. Dom Konopków herbu Nowina z Jałbrzykowego Stoku, Modlnicy, Mogilan i Głogoczowa, Tomaszowic i Zaleszan*, Warszawa 2014, s. 160-164.

GRZESZCZAK.indd 120 12.11.2024 20:23:55

mi przyczyn. Wtedy zajęła się Niegolewską córka Konopkowej – Ola Unrug[61], zabierając ją do siebie w Lubelskie, gdzie jej mąż miał posadę. Tam, w trzy dni po przyjeździe, zmarła[62]. Nie wiem na co i gdzie jest pochowana. Wezwano mnie do Warszawy po odbiór jej rzeczy. Pierwszy i pewnie ostatni raz byłam w stolicy. Spalony dworzec, sklecony z jakichś szop drewnianych. Wszędzie gruzy po roku 1939. W tramwajach niesamowity tłok. Podobno bardzo często są łapanki uliczne na ludzi do pracy do Rzeszy.

Z rzeczy po ciotkach zostały najgorsze szpargały, resztą już się bliźni podzielili. Nie było nawet tych rzeczy, którymi podzieliłam się z paczek od Leszka Kwiatkowskiego i paczki z pościelą od Marty. Chciałam tych szmat nie brać, a jednak bardzo się przydały i jeszcze mało było. Poszły wszystkie na bandaże i okazały się bardzo potrzebne.

Posadę w Wielkiej Woli dostałam. Przysłano po mnie w parę dni po odmowie z przyczyny braku sił biurowych na punktach skupu. Robiłam obliczenia należności za odstawione zboże i kartofle, w gotówce i w talonach na tekstylia, opał i wódkę. Pod wieczór liczby skakały mi przed oczami, na co tylko spojrzałam. Przy pierwszym wolniejszym dniu od nawału pracy, zrobiłam sobie odpowiednie tabele ułatwiające obliczenia. Po zawsze uciążliwym dniu trzeba było zrobić zestawienia z dziennego obrotu. Część tej pracy należała do moich kolegów biurowych, ale ci przeważnie pod wieczór byli już zupełnie pijani i trzeba było ich robotę zrobić. Na tyle wypijanej wódki trzeba dobrze kombinować, bo pensja mała. Potrzebna była forsa lub jakiś rabat z kontyngentów. Według moich obliczeń w magazynach było duże manko. Pod koniec sezonu ogólny strach zapanował w wesołej kompanii pijaków. Co robić, żeby uniknąć wsypy. A wsypa mogła być okropna w skutkach.

Niemcy szaleją z wściekłości, obrywając zacnie na froncie wschodnim. Już nie widać w ich wojsku doborowych ludzi. Kiedyś byłam w Radomsku, stał tam na dworcu żołnierz z karabinem na plecach, który jakoś pod ściany cisnął się plecami. Zaciekawiło mnie to. Obserwuję go. Otóż nieborak dość duży garb tak chował. W okresach mojego bezrobocia dużo włóczyłam się po okolicy bogatej w lasy, jagody i grzyby, a więc i wiosną, latem i jesienią najbardziej ciągnęły mnie lasy. Kiedyś widzę na drodze jadącego motocyklistę w szerokim deszczowym płaszczu. Wygląda na rosłego chłopa. Jestem w pewnej

[61] Anna z Konopków Unrugowa (1921-2010), córka Józefa i Heleny z Malinowskich.

[62] Odpis skrócony aktu zgonu, wystawiony dnia 6.09.1990 r. przez USC w Bielawach, wówczas woj. skierniewickie, informuje, że Aniela z Sęp-Szarzyńskich Niegolewska zmarła 15.07.1943 r. w Borówku w gminie Bielawy, pochowana na cmentarzu w pobliskich Oszkowicach. Autor korzysta z okazji, by podziękować Pani Magdalenie Unrug-Kuczerze za udzielone informacje.

GRZESZCZAK.indd 121 12.11.2024 20:23:55

odległości w lesie, obserwując go. Przezornie chowam się za krzak. On zatrzymuje się i dążąc w ustronne miejsce, rozbiera się. Gdy już się dobrał do ostatnich spodni, stracił na swej rozrosłości i zamiast herkulesa, którego widziałam na motocyklu, wyłonił się pod krzaczkiem w trawie cherlaczek, małe młode chłopiątko. Pożal się Boże! Takich już biorą na wojnę! Podobno nocami ze wschodu wracają całe wagony rannych, zawszawionych „bohaterów". Co dzień słyszy się o wysadzaniu minami mostów i pociągów. Partyzanci nie próżnują. Niemcy w bezsilnej złości biorą stale zakładników. Po każdej dywersji część ich rozstrzeliwują. Są to przeważnie ludzie nie mający nic wspólnego z dywersją i partyzantką.

Kiedyś, będąc w Tomaszowie, szłam przedmieściem. Przy drewnianym moście stoi parę osób, przypatrując się czemuś przez szpary. Zaglądam i ja. Na dalekim, rozległym błoniu widzę dwanaście słupów, przy których widać sylwetki ludzi. Naprzeciw nich rząd żołnierzy, obok prawdopodobnie oficer wydający komendę. Salwa! Sylwetki od słupów odrywają się, padając ku przodowi. Oficer podchodzi do niektórych leżących i z krótkiej broni dobija rannych. Jak się później dowiedziałam, byli to zakładnicy, wśród których był mój znajomy z Pleszewa – adwokat Perż[63], ogólnie szanowany człowiek. Został wysiedlony do Tomaszowa. Przy innej bytności w Tomaszowie spotkałam dwie ciężarówki jadące od strony więzienia. Ciężarówki są pełne stojących ludzi, którzy mają otwarte usta, a w nich coś białego. Z pełnych więzień są wywożeni ludzie do lasów z zagipsowanymi ustami. W lesie są zmuszani do kopania dołów – mogił, po czym ustawieni nad nimi są rozstrzeliwani i tam zakopani bez względu na to, czy jeszcze żyją, czy już nie. Z Tomaszowa wracam zawsze z rozbitymi nerwami.

W Wielkiej Woli roboty mam coraz więcej. Nie mam czasu na kupienie chleba, nie mówiąc już o gotowaniu codziennej zalewajki. Jestem stale głodna, to mnie zmusza do upomnienia się o przerwę obiadową. Choć nie zdążę ugotować zupy, ale chociaż kupię sobie chleb i marmoladę. Ten dodatkowy przemarsz, około czterech kilometrów, zmęczył mnie, a przy okienku utworzył się długi ogonek czekających na obliczenie należności za odstawione zboże i kartofle, a byli to gospodarze z odległych często wiosek. Zrezygnowałam więc z tych przerw obiadowych. Tymczasem z końcem sezonu żandarmeria coraz energiczniej napędzała gospodarzy do odstaw

[63] Edward Perż, ur. 26.09.1897 r.; pleszewski notariusz i radny Rady Miejskiej; rozstrzelany 25.11.1943 r. na miejscu straceń pod dawnym browarem w Tomaszowie Mazowieckim – zob. A. Ptak, *Samorząd miejski Pleszewa w okresie międzywojennym (1919-1939)*, Pleszew 2007, s. 25; https://www.piotrkow-tryb.ap.gov.pl/art,484,powiat-tomaszowski-w-okresie-ii-wojny-swiatowej [dostęp: 28.02.2024].

GRZESZCZAK.indd 122 12.11.2024 20:23:55

kontyngentów. Są już bardzo długie i liczne kopce kartofli. Nie ma słomy do ich przykrycia. Piętrowe spichrze majątku Wielkiej Woli gną się od zboża. Kierownik alarmuje o transport do dalszej odstawy, ale z transportem coraz trudniej. Wzdychamy, aby partyzanci zainteresowali się tymi zapasami, ale obsada żandarmerii wstrzymuje ich od tego, no i brak warunków. Wypisuję dziennie po kilka bloków kwitariuszy, a wieczorem ostatnie, około dwudziestej drugiej godziny. Pewnie muszą tu noc spędzić ci ostatni, bo policyjna godzina. Potem obliczenia, sprawdzanie. Były dnie, że wskutek przemęczenia robiłam pomyłki. Aby odnaleźć błąd, siedziałam do trzeciej rano. Wtedy ktoś ze stróży odprowadzał mnie część drogi. W tych dniach nawału pracy często robotnicy przynosili mi swoje jedzenie. Była to przeważnie ciepła zalewajka z kromką chleba, którą się ze mną dzielili. Wyśmienita była. Byłam zaskoczona dobrocią tych obcych, często nieznanych ludzi. Nazywali mnie „ta czarna z koroną", bo upinałam warkocz wokół głowy, a starczał prawie podwójnie. Podczas pracy często ta nazwa obijała się o moje uszy.

Kiedyś żadnego ze stróży nie było w pobliżu, padał drobny deszcz, godzina około dwudziestej trzeciej, bardzo ciemno. Zawahałam się, czy iść, ale moi towarzysze biurowi popili się w sąsiednim pokoju i bawili się głośno, odór wódki i tu dochodził. Byle uciec jak najprędzej. Pochowałam książki i kwity. Wzięłam moją nieodłączną torbę i ruszyłam w tę gęstą ciemność, pełną jesiennego dżdżu. Właściciel Wielkiej Woli, pan [Władysław] Pędziach[64], miał bardzo ostre psy podwórzowe, siejące postrach. Psy były przeważnie wiązane w osobnym zagrodzeniu i niewypuszczane w nocy. Gdy przeszłam już zabudowania, przed wejściem na szosę usłyszałam tętent i w mgnieniu oka obsiadły mnie psiska, nie wiem, ile ich było. Dusza wskoczyła mi na ramię. Miałam kożuch na sobie, czuję, jak rwą z niego kawały. Opędzam się torbą, kopię nogami. Byle się nie przewrócić. W ciemności bestii tych nie widzę, ale czuję ich oddech blisko twarzy. Przeraźliwe ujadanie głuszy mój krzyk o pomoc. Czuję ich kły na łydkach, rękawiczki mi z rąk ściągnęły. Czuję, że mnie siły opuszczają. Tyle przeżyć i być przez psy rozszarpaną i to przez stwory, które zawsze bardzo lubiłam. Nagle od strony szosy błysk latarki elektrycznej i strzał z rewolweru. Myśli, jak błyskawica przebiegły – godzina policyjna przekroczona – żandarmeria – obóz karny. Wreszcie znajomy głos miejscowego policjanta [Stanisława] Szulca. Psy, wystraszone światłem i strzałem, rozbiegły się. Rękawiczek nie znalazłam, krwawiącą nogę związałam chustką i w strzępach kożucha powlekłam się za policjantem do

[64] Wielką Wolę nabył w okresie międzywojennym, po zakończeniu wojny wyjechał na Śląsk. Jego syn Wojciech (1937-1971) był utalentowanym piłkarzem m.in. Legii Warszawa.

GRZESZCZAK.indd 123 12.11.2024 20:23:55

Paradyża. Zamiast upragnionego snu, opatrywanie zranionych nóg i reperowanie kożucha. Szczęściem tylko pokrycie poszarpane.

Nazajutrz w biurze czułam się gorzej niż moi współpracownicy po pijackiej libacji. Zbliża się koniec kampanii kontyngentowej. Mimo pełnych spichlerzy i wielkiej ilości kopców, przy prowizorycznych obliczeniach widzimy duże manko. Miny markotne. No tak, mimo wielkiej podaży wódka droga, a z pensji jej się nie kupuje. Któregoś dnia przychodzę i, o dziwo, gęby roześmiane. Magazynier mówi mi na ucho, że wieczorem przyśle mi parę worków zboża. Patrzę zdziwiona. Okazuje się, że spichlerze „pozarywały się". Zboża zmieszane z tynkiem i z gruzami nie da się rozliczyć, a więc kto może, zaopatruje się w nie, póki Niemcy czegoś nie zadecydują. Mając dość znaczną ilość zboża, którą ulokowałam częściowo u siebie i Mireckich, myślę błogo o mającym nastąpić za parę dni bezrobociu. Ale w tych paru dniach masa obliczeń, zestawień. Znowu późne powroty do domu. Jest może dwudziesta pierwsza. Znowu ciemno. Staram się iść jak najciszej i uważam, żeby nie wpaść do rowu, a iść blisko niego.

Dochodzę do Paradyża. Dom Balasińskiej, w którym mieszkam, jest pierwszy. Prosto ze szosy skręca się na nieogrodzone podwórze i już. Jeszcze sto metrów. W okolicy mleczarni słychać hałasy, nawoływania, wreszcie krzyki. Huknęło parę strzałów, po których przeraźliwy, mrożący w żyłach krzyk rozpaczy, ciągnący się w nieskończoność, niby skowyt. Nie umiem tego określić, ale coś, co włosy ze zgrozy podnosi, i taki, którego się nie zapomina. Pół żywa dopadam do drzwi, zamknięte, łomoczę nimi, chcę jak najprędzej dostać się do domu. Otwiera mi Krysia, młoda dziewczyna, też wysiedlona, służy u Balasińskiej, sypia w kuchni. Też jest przerażona, opowiada mi, że żandarmeria przywiozła ze wsi Przyłęk sześciu młodych ludzi. W Przyłęku gospodarze mieli przeważnie nazwiska Wach i Ciach. Niemcy szukali jednego z Ciachów, a nie mogąc znaleźć właściwego, zabrali wszystkich Ciachów na posterunek i wśród nich chcieli szukać właściwego. A żeby nie było dalszych nieporozumień, zadecydowali wysłać wszystkich Ciachów do roboty do Niemiec. Jeden z nich, szesnastoletni, chciał uciec z samochodu. Obok studni koło mleczarni kula trafiła go w wątrobę. Nim go Niemcy dobili rannego, wył z bólu.

Podobny krzyk słyszałam, jak Niemcy zabili podczas łapanki sąsiada Ignaca Ignerowicza[65]. Co pewien czas odbywały się łapanki w miastach, potem w poszczególnych wioskach. Wyglądało to mniej więcej, jak polowanie z nagonką. Niespodziewanie wieś została otoczona dużą ilością żandarmerii, która przyjeżdżała krytymi samochodami, zwanymi przez miejscową ludność sukami. Był to jakby za-

[65] Do zdarzenia tego doszło 31.12.1942 r.

GRZESZCZAK.indd 124 12.11.2024 20:23:55

mknięty kocioł podczas polowania na zająca. Ludzie młodzi kryli się, gdzie kto mógł. Dostrzeżony przez nich, na zawołanie: „Halt, hände hoch!", musiał wykonywać rozkaz. W razie ucieczki strzelano do niego. W domach rewizje. Młodzi, bez kart zatrudnienia, a często i z kartami, byli zwożeni do zbiorczych punktów i licznymi transportami wywożeni do pracy w Rzeszy. Jeżeli kto bliski szybko działał, mógł z punktów zbiorczych, za duże pieniądze, wykupić pojmanego lub dać zastępstwo. Odsyłani byli w tym, w czym ich złapano.

Ta łapanka, w której zabito Ignaca, była pierwszą w okolicy. Wtedy pełne samochody załadowano. W tym czasie jeszcze brat mieszkał ze mną. Jedliśmy obiad, kiedy do mieszkania wszedł żandarm z bronią gotową do strzału. Sprawdza dowód brata, mnie nie pyta, rozgląda się po kątach, mnie o nic nie pyta, wychodzi. Ta niespodziewana wizyta przyprawia mnie o jakiś dziwny skurcz serca i jakby przejście mrówek po całym ciele. Opieram się o parapet okna i widzę w luce między domami Ignaca przeskakującego przez leżące tam belki. Huk wystrzału. Ignac skulił się, ale biegnie skurczony dalej. Pod oknem stoi spokojnie żandarm, który wyszedł od nas z dymiącym jeszcze karabinem. Ignaca już nie widzę, ale słychać w jego kierunku liczne strzały. Wreszcie stłumiony, jakby spod ziemi, przeraźliwy krzyk. Okazało się, że Ignac zdążył dobiec do wykopanej w ziemi piwnicy na kartofle, a Niemcy do ukrytego tam strzelali tak długo, póki nie zamilkł. Po ich wyjeździe matka i siostry pobiegły, znalazły go jeszcze żywego, ale w drodze do szpitala zmarł.

Łapanki w Paradyżu były jeszcze parę razy, ale już nie zdołali Niemcy tylu ludzi złapać. Brat był już wtedy w Inowłodzu, a u mnie dwa razy ukryła się młoda, dwudziestoczteroletnia dziewczyna z sąsiedztwa. Wsadzałam ją pod pudło od kanapy, z którego miałam skombinowaną leżankę. Pierwszy raz, gdy siedziała tam skulona, wszedł żandarm i dość długo przeglądał moje papiery i dowody. Byłam wtedy zupełnie opanowana, mając kartę zatrudnienia. W pewnej chwili spostrzegłam, że spod „leżanki" wypływa struga. Był to wynik nadmiernego strachu ukrytej. Jak to zjawisko wytłumaczyć, jeżeli Niemiec zauważy? Ale wyszedł, szczęśliwie. Dopiero po wyjeździe Niemców wyciągnęłam pół żywą, zmęczoną i spotniałą dziewczynę. Znacznie później, już podczas ostatniej łapanki, miałam inną przygodę. Mieszkałam już wtedy gdzie indziej.

W izbie była staroświecka z wysuniętym kominem kotlina, a za nim niewielka wnęka, którą zasłaniałam zasłonką na drucie. Tam zawsze suszyłam prane w domu bandaże partyzantów, w tym czasie miałam pod opieką trzech rannych, umieszczonych w okolicy. Wszedł stary, widać niezbyt gorliwy Niemiec. Rewolwer w ręku, karabin na plecach, coś tam szwargocze i rozgląda się po izbie. Głębokim ruchem odgarnia zasłonkę, zagarniając z nią bandaże. Sprawdza, czy

GRZESZCZAK.indd 125 12.11.2024 20:23:55

ktoś się tam nie kryje. Odwraca się, przy czym tak nieszczęśliwie, że jeden z rozbujanych przez nagły ruch bandaży zahacza go o lufę karabinu. Niemiec wolnym krokiem zmierza do wyjścia z dyndającym bandażem partyzanckim na lufie karabinu. Tak mnie ta scena rozśmieszyła, że nie zastanawiałam się z groźnej sytuacji. Podbiegłam szybko do wychodzącego Niemca i ze słodkim uśmiechem ściągam drogocenny na ten czas bandaż, mówiąc: „Pajęczynę pan karabinem omiótł". Powiedział mi: „Ja, ja, danke schön", i ciężko sapiąc, wyszedł powolnym krokiem na dalsze poszukiwania, zdaje się prosząc Boga, aby nikogo nie znaleźć.

Praca w Wielkiej Woli zakończona. Porządkuję moją garderobę, przerabiam niektóre rzeczy po ciotkach. Upiększam mój pokój, zdobywam i czytam książki. Michał zaczyna pisywać. Proponuje mi, abym przyjechała do Inowłodza prowadzić mu dom, bo miałby możność założyć małe gospodarstwo. Nie godzę się, za bardzo polubiłam moją niezależność. Mam kilku bardzo życzliwych ludzi, u nich czuję się jak w rodzinie. Prawie nigdy nic nie gotuję, bo stale jestem zapraszana. Nie siedzę u nich z założonymi rękami. Orientuję się, co trzeba pomóc, a więc sprzątam, prasuję, reperuję odzież. W najbliższym sąsiedztwie, bo przez sień, mieszkają państwo Flisowscy. On jest agronomem gminnym. Mają dwie córki, Ulkę i Irkę, z którymi wałęsam się po pobliskim lesie.

Państwo Flisowscy co dzień gotują wielki kocioł mydła. Właściwie praca pana Flisowskiego to nie rola agronoma, a dostawcy surowca do produkcji mydła i jego sprzedaż. Trochę dalej mieszka bezdzietna polonistka, brunetka. Mąż jej niski, łysy, poważny, ze spokojnym dowcipem. Siedzi pod pantoflem aż piszczy. Mąż nauczycielki co pewien czas jeździ w Lubelskie rowerem, ma tam rodzinę i przywozi liście tytoniu, które przerabia na papierosy, mając dalej zarobek. Poza tym przywozi przeważnie wieści o ruchu partyzanckim oddziałów AL, GL i AK, o wysiedleniu tamtejszych wiosek i zaludnieniu ich ludnością niemiecką z różnych krajów: Bośni, Hercegowiny, Jugosławii. Ci Niemcy w większości nie znają języka niemieckiego.

Nauczycielka mieszka za mleczarnią i najbliżej mi do niej przez podwórze mleczarni i koło nieszczęsnej studni, gdzie rozstrzelano Ciacha. Podwórze mleczarni jest równocześnie podwórzem policji. Nauczycielka prosiła mnie, abym z nią nocowała podczas nieobecności męża. Często cały tydzień u niej spędzałam. Była wtedy pełna niepokoju o męża, podczas jego ryzykownych podróży. Do ciągłego ruchu samochodów i krzyków żandarmerii przywykliśmy. Były tu prawie co dnia przywożone coraz to nowe ofiary na „badania" na posterunku. Będąc u nauczycielki pani Flisowskiej, zapomniałam zabrać czegoś z domu. Idę więc po to zwykłą, skróconą drogą. Koło śmietników słychać harmider i widać tam grupę rozwścieczonych

GRZESZCZAK.indd 126 12.11.2024 20:23:55



Irena Sęp-Szarzyńska i jej koleżanka Kazimiera jako instruktorki rolne i łączniczki AK. Fot. ze zbiorów Zofii Stachowiak

żandarmów, walących po łysej głowie kolbami jakiegoś wymaltretowanego mężczyznę o figurze pana Flisowskiego. Skamieniałam z przerażenia! Człowiek jeszcze żyje. Bezwładne ręce widać są połamane. Niemcy kopią go po twarzy. W pewnym momencie ujrzałam jego twarz. Z ust płynęła krew, był kredowo blady. Nie, to nie był pan Flisowski, ale sołtys ze Stawowiczek, z pobliskiej wioski, bardzo zacny i szanowany. Miał styczność z partyzantami i nie chciał ich zdradzić. Poniósł męczeńską śmierć – tajemnicy dochował. Cześć mu składam w tych wspomnieniach. Jego ciało Niemcy wrzucili do śmietnika i dopiero za duży okup i po wielkich staraniach rodzina mogła je należycie pochować w święconej ziemi. Jeszcze jeden podobny wypadek obrzydził mi to przejście i rzadziej już potem do pani Flisowskiej chodziłam, nie chcąc przez całą wioskę obchodzić.

To drugie wydarzenie było po paru tygodniach. Byłam już wtedy agronomką gminną i dopiero organizowałam moją nową pracę. Funkcję agronomki gromady Paradyż – Wielka Wola powierzyłam córce komendanta policji, pana Szulca, bardzo porządnego człowieka. Gdy żandarmeria zaczęła urządzać badania na posterunku, dużo dowiadywaliśmy się przez niego i jego córkę. Od dwóch dni żandarmeria przesłuchuje nieznaną młodą kobietę. Gdy czas i nękanie nerwów nie mogły wymóc zeznań, zaczęto stosować tortury. Szulc, nie wytrzymując nerwowo tego widoku, pod jakimś pozorem ulotnił się. Mimo naszych nadziei, żadna pomoc „z lasu" na jej ratunek nie nadeszła. Myśląc ciągle o tej nieznajomej, właśnie przechodzę przez to nieszczęsne podwórze do pani Flisowskiej i widzę... To chyba ona, ta nieznajoma, młoda, przystojna, zgrabna, twarz kredowo blada, włosy splątane, ciemnoblond. Idzie chwiejnym krokiem, a tuż za nią żandarm z karabinem, lufa oparta o jej plecy. Prowadzi ją za stodołę. Skręciłam w bok i przebiegłam, do uszu doleciał mnie huk wystrzału. Tak, to ona. Szulc pytany o nią, mówił prawie ze łzami w oczach, że była wielką bohaterką. Wiedział tylko, że była mężatką i że Niemcy niczego się od niej nie dowiedzieli. Miejscowy sołtys dostał polecenie zakopania ciała za stodołą, gdzie leżało. Wolno to było zrobić dopiero po trzech dniach. Miała tam leżeć dla przykładu i ostrzeżenie

GRZESZCZAK.indd 127 12.11.2024 20:23:55

ludzi przed buntem, aby Polacy widzieli, „czym grozi nieposłuszeństwo wobec władzy". Gdy już była pochowana, zaniosłam tam kwiaty, nie były pierwsze. Obok na ziemi widniała brunatna plama – krew. Nic potem o tej tragedii nie było słychać.

Spokój mój został zakłócony wezwaniem do kreislandwirta, który przyjeżdża na zebranie do Opoczna. Jestem zaniepokojona, zwierzam się agronomowi Flisowskiemu. Ten zawsze roztargniony uderza się w czoło i oświadcza, że zapomniał mi powiedzieć, ale na ostatnim zebraniu, gdy mieli wysunąć kandydatki na agronomki gminne gospodarstw kobiecych, podał moje nazwisko. Jadę już bez obaw. W Opocznie dostaję zlecenie nauczenia się języka niemieckiego, dostarczenie z dawnej mojej gminy zaświadczenia, że zajmowałam się rolnictwem i mianowano mnie na agronomkę gospodarstw kobiecych na gminę Wielka Wola, z dość możliwą pensją, kartkami żywnościowymi, kilkoma kartkami na obiady w jadłodajniach i zezwolenie na poruszanie się po powiecie. Zaświadczenie bardzo pochlebne szybko przysłał mi wójt Niemiec z gminy Szymanowice.

Od paru tygodni jestem członkiem AK, po złożonej przysiędze otrzymałam pseudonim „Magda"[66]. Nastąpiło to nagle i niespodziewanie, podczas jakiejś nocnej strzelaniny w Paradyżu. W okresie nasilonych aresztowań i łapanek Kruszewski z Kazimierzowa przyniósł do mnie kuferek z rzeczami do przechowania. Mówi mi, że na pewien czas musi zniknąć, gdyż nie czuje się pewnie, a żonę wysłał już do znajomych. Po którejś wieczornej strzelaninie, był wtedy napad na posterunek (jak później dowiedziałam się od Szulca), przyszedł Kruszewski. Ponoć po tej siarczystej strzelaninie na pobojowisku został wróbel, posterunek dzielnie bronił swej placówki i „krwawo" odparł „napad". Zmieniał przemoczone i brudne onuce, brał część bielizny przechowanej u mnie, był jakiś podenerwowany. Padał już zimny deszcz, strzelanina nie ustawała, był wczesny, ciemny wieczór. Proponuję Kruszewskiemu przeczekanie do spokojniejszej chwili, bo do godziny policyjnej jeszcze jest czas. Mówi mi, że ma pewną sprawę do omówienia. Po dłuższym ustępie oświadcza mi, że organizacja – AK, po dłuższej obserwacji doszła do wniosku, że będę im potrzebna. Proponuje mi wstąpienie do niej. „Muszę się zastanowić, bo to poważna sprawa" – odpowiadam panu Kruszewskiemu. „Tak, niech się pani namyśli, ale zaznaczam, że pani już zbyt dużo o nas wie". Rzeczywiście wiedziałam niejedno. „Wobec tego już się zdecydowałam" – odpowiadam ze śmiechem. Każe mi powtarzać słowa

[66] Nazwisko i pseudonim nie znalazło się w opracowaniu poświęconym 25 pp AK autorstwa M. Kopy, A. Arkuszyńskiego i H. Kępińskiej-Bazylewicz. Irena z Sęp-Szarzyńskich złożyła przysięgę i została członkiem AK najprawdopodobniej w październiku 1942 r. – zob. Aneks nr 1.

GRZESZCZAK.indd 128 12.11.2024 20:23:56



Ks. Henryk Błasikiewicz z dziećmi pierwszokomunijnymi, Paradyż, 26.06.1938.
Fot. ze zbiorów Jadwigi Bochniak

przysięgi i czekać na polecenia. I tak się zaczęło. Moim łącznikiem jest listonosz Śpiewak, który jest na miejsce Szczegielniaka. Po paru tygodniach Śpiewak przychodzi z poleceniem, abym postarała się o maszynkę do zastrzyków i poszła zrobić zastrzyk rannemu partyzantowi. Zastrzyk robiłam zwierzętom, ale nie ludziom. Jestem zdziwiona takim poleceniem, ryzykownym dla chorego. Pod pretekstem chorych kur w sąsiedniej wiosce pożyczam strzykawkę od pana Flisowskiego i przegotowuję ją dokładnie, zawijam w przegotowaną łatkę i czekam o umówionej godzinie na Śpiewaka.

Muszę nadmienić jeszcze jedną okoliczność, która utkwiła mi w pamięci. Otóż w Paradyżu jest śliczny kościół z cudownym ołtarzem Matki Boskiej, obok był klasztor. Wysoki mur otaczał dawny ogród klasztorny, gdzie obecnie mają ogrody nauczyciele i między nimi moja znajoma, pani Flisowska, bo zakonników w klasztorze już nie ma. Często też z nią w tym ogrodzie robiłam porządek. Nabożeństwa były zawsze bardzo uroczyste, bo jak jedna kobieta mi powiedziała: „Mają tam dużo narzędzi do uroczystych nabożeństw". Malowniczość procesji i uroczystości kościelnych powiększały barwne stroje opoczyńskie. Proboszcz sam był muzykalny, urządzał często koncerty na skrzypcach, stojąc u stóp ołtarza. Z okien słyszałam zawsze piękny solowy śpiew. Bardzo chciałam zobaczyć właścicielkę

GRZESZCZAK.indd 129 12.11.2024 20:23:56

tego niezwykłego głosu. W tym celu kiedyś przyszłam wcześniej i za zgodą organisty weszłam na chór. Rozglądam się, nie ma nikogo. Przed samym nabożeństwem przychodzi starsza, wiejska kobieta, niesamowicie brzydka. No, ale mojej upragnionej śpiewaczki nie widzę, źle trafiłam. Zaczyna się Msza św. Po pewnej chwili śpiew, ten cudowny śpiew. Patrzę zdumiona na tę niepozorną dziewczynę. Jej twarz staje się piękna, śliczna, z jakimś wyrazem natchnienia oczy. Jak zmieniona!

Po paru miesiącach spotykam ją w innej sytuacji. Przychodzi Śpiewak, niby z listem, i poleca mi w pewnym oddaleniu iść za sobą. Dochodzimy do sąsiedniej wioski. Przechodząc koło jednej z chat, daje mi znak, że mam tam iść. Wchodzę – duża izba, dwie starsze kobiety pochylone nad stołem żarnowym, narzuconym mieniącym się barwami materiałem i nićmi. Pod ścianami łóżka z piętrzącymi się poduszkami, ozdobionymi ręcznymi haftami. Porozkładane są chorągwie kościelne i bogato haftowane ornaty. W jednej z kobiet poznaję śpiewaczkę z chóru. Jestem oczarowana pięknem tych ręcznych robót, istnych arcydzieł. Kobiety wiedzą już, po co przyszłam. Prowadzą mnie do sąsiedniej izby. Tam na łóżku w śnieżnej pościeli leży rosły, młody mężczyzna. Patrzy nieufnie na mnie. Z niechęcią odsłania się do zastrzyku. Cała moja uwaga i myśl skupia się, aby zrobić wszystko prawidłowo. To pierwszy mój zastrzyk robiony człowiekowi. Ile mnie nerwów kosztował. Najwięcej obaw miałam, żeby nie ukłuć w nerw. Jakoś Bóg dał, że się udało. Widziałam nawet pewną ulgę na nieufnej twarzy rannego. Miał przestrzeloną nogę, podobno podczas ćwiczeń. Po paru tygodniach rozmawiałam na ulicy z jedną z młodych sąsiadek z kamienicy obok. Minął nas wysoki mężczyzna z żoną i dwojgiem dzieci. Po ich przejściu sąsiadka uśmiecha się i pyta, czy poznaję tego faceta. Nie, nie znam go! Otóż to mój ranny, któremu robiłam zastrzyk. Sąsiadka też ma łączność z partyzantami. Mówię do sąsiadki: „Trudno mi go poznać po twarzy, bo przy zastrzyku na inną część ciała zwracałam uwagę". Oj tak, po tym zabiegu stale myślałam, czy aby dobrze go wykonałam. W nocy majaczyło mi się, że zastrzyk spowodował opuchnięcie pośladka, tak wielkie, że reszta ciała rannego była śmiesznie mała. Budziłam się pełna strachu. Urzeczenie moje było tym większe, że nie wiedziałam, od kogo dowiedzieć się o stanie zdrowia rannego. Śpiewaka nie mogłam przez dłuższy czas spotkać.

Przy pierwszym spotkaniu z Kruszewskim powiedziałam o moich obawach i ryzyku, jakie jest w tym wypadku dla rannych, i zaproponowałam, by urządzić kurs sanitarny. Wkrótce dostałam polecenie, żeby iść do Mniszkowa do Poklewskiej i wywiedzieć się o wyglądzie uczestników napadu i jego przebiegu, który miał świeżo miejsce na dworze Poklewskiej, rzekomo przez grupę partyzantów.

GRZESZCZAK.indd 130 12.11.2024 20:23:56

Pani Poklewska niechętnie o tym napadzie mówiła i nic się od niej nie dowiedziałam. Dokładnego opisu udzieliła mi pani Wera – bratowa Rakowskich, wysiedlona z Poznania, którą też pani Poklewska wzięła w opiekę. To, co usłyszałam, powtórzyłam Kruszewskiemu. Następne polecenie było gorsze. Miałam obserwować pewnego faceta, niedawno zamieszkałego w Paradyżu, nawiązać z nim znajomość i często się spotykać, aby możliwie poznać jego tryb życia. Mieszkał sam na świeżo objętej posadzie. Rodzinę miał gdzie indziej. Często u niego nocował jego bratanek, młody chłopak. Obydwaj byli często pijani. Jedynym sposobem było zgłoszenie się na sprzątaczkę i odbiór bielizny do prania i szycia. Pod pretekstem odnoszenia i układania bielizny w szafie oraz sprzątania miałam możność słuchania rozmów. Obaj ci panowie byli bardzo ostrożni i nic podejrzanego nie mogłam zauważyć. Musiałam każdą usłyszaną rozmowę panu Kruszewskiemu powtarzać. Były wszystkie nic nieznaczące i myślę, że nic mu wiadomości nie przysporzyły. Natomiast naraziłam się na złośliwe plotki. Powiedziałam sobie, że to wysłuchiwanie złośliwych uwag jest ofiarą dla ojczyzny, i z politowaniem przyjmowałam złośliwe uwagi. Któregoś dnia rozeszła się wiadomość, że „bratanek" zniknął bez śladu, a wkrótce potem i „stryjaszek" zrezygnował z posady i wyniósł się. Ponoć ten „bratanek" był szpiegiem niemieckim i został usunięty wyrokiem podziemia.

Na wczesną wiosnę urządzono kurs sanitarny. Odbywał się przeważnie u Mireckich, bo ich dom leżał na uboczu. Uczestniczyło, o ile pamiętam, dwanaście osób, młode dziewczyny i jedyny mężczyzna, miejscowy organista. Traf chciał, że były to przeważnie moje agronomki gromadzkie. Kurs prowadził stary mężczyzna. Odniosłam wrażenie, że Żyd, pan Borowski[67].

Uczyłyśmy się bandażowania, robienia zastrzyków i radzenia sobie w prymitywnych warunkach, w jakich będziemy mieć rannych. Po paru tygodniach miałyśmy egzamin, na który przybył nasz dowódca podziemia, „Malwa"[68]. Również był Kruszewski[69]. Na uczczenie tego egzaminu zdobyłyśmy trochę kawy, był placek i jakieś ciastka. Niestety mało przez ten egzamin przebrnęło, mimo to miła gawęda przeciągnęła się poza godzinę policyjną.

W tym czasie w Paradyżu stacjonował oddział Węgrów, „dla ochrony przed partyzantami", ściągnięty przez Niemców. Gdy wracałam, na drodze przed Paradyżem stoi z karabinem starszy, wąsaty Węgier. Jak tu się z nim dogadać? Ma poczciwą gębę i życzliwie patrzy, coś gada w swoim „cygańskim" języku, nic nie rozumiem. Na

[67] Osoba niezidentyfikowana.
[68] Stefan Szlązak, ps. Malwa" – zob. s. 60-61.
[69] Henryk Kruszewski, ps. „Olech".

GRZESZCZAK.indd 131 12.11.2024 20:23:56

pewno o to, czemu o tej godzinie idę. Hm, jak mu tu odpowiedzieć? W torbie mam parę ciastek, których resztą podzieliłyśmy się. Zamiast głowić się nad tłumaczeniem się z późnego powrotu, wpycham w czarne wąsiska wyjęte z torby ciasto. Rozpromieniona gęba, przyjazny uśmiech. Okazało się to najlepszym tłumaczeniem. Nawzajem życzymy sobie dobrej nocy, każdy w swoim języku. Węgrzy, choć na migi, ale szybko porozumieli się z miejscową ludnością, odnosili się nawzajem z życzliwością. W niedzielę cały oddział maszerował do kościoła, gdzie ślicznie śpiewał podczas Mszy św., czym do reszty podbił serca miejscowej ludności. Nie poszło to na dobre Węgrom, bo wkrótce Niemcy wycofali ich i ukarali trzydniową głodówką za przyjacielskie odnoszenie się do Polaków. W dodatku Węgrzy odmówili walki z partyzantami. Nie wiem, co było przyczyną, ale kiedyś, gdy byli w Paradyżu, widziałam, jak wieźli młodego Węgra na wozie, nie wiem, czy zmarłego, czy ciężko rannego. Z bladą twarzą leżał nieruchomo na wozie, wąsaty jak wszyscy. Jego towarzysze szli obok zgnębieni.

Poprzednio już Niemcy powywozili wszystkich Żydów, a w Paradyżu było ich kilka rodzin. Zaś przez pewien czas byli też pozwożeni z innych stron, również z Płocka, i stamtąd pochodził mały sześcioletni Żydek, któremu zabili rodziców. Bardzo był miły i ładny ten chłopiec, ale o typowo żydowskiej urodzie. Przychodził prawie co dzień do mnie, aby coś zjeść. Zawsze był w obawie, że go ktoś zobaczy. Zabierał się do sprzątania, noszenia drzewa, a ja reperowałam mu ubranie, grzałam wodę do mycia, szykowałam jedzenie. W tym czasie dostałam wezwanie do Popielaw na kurs agronomek, byłam tam tydzień. Prosiłam sąsiadkę, aby chłopcu dawała jedzenie. Niestety więcej chłopca nie zobaczyłam. Wywieźli go razem z jego rodakami. Opowiadał mi pan Flisowski, że mały siedział na wozie naładowanym jego rodakami, z tyłu na desce wozu, zalewając się łzami. Pusto mi jakoś było bez tego chłopca. Długi czas bardzo za małym tęskniłam. Żydzi ostatnio przed wywiezieniem byli niemożliwie prześladowani.

Był jeden żandarm w Opocznie, który ponoć ślubował sobie zabić własnoręcznie stu Żydów[70]. Któregoś dnia wpadł do Paradyża samo-

[70]Opoczyńskie getto powstało w listopadzie 1940 r. Nadzór nad tym wydzielonym z miasta terenem, obejmującym 115 domów, sprawowała niemiecka żandarmeria. Jednym z jej funkcjonariuszy był cieszący się ponurą sławą żandarm znany jako Moritz, o którym krążyły makabryczne anegdoty, np. że rano nie zjadł śniadania, dopóki nie zastrzelił przynajmniej jednego Żyda. Na terenie getta strzelał do przypadkowo napotkanych ludzi, nie wyłączając dzieci. Na podstawie relacji świadków można stwierdzić, że był jednostką skrajnie zideologizowaną, sadystyczną i pozbawioną jakichkolwiek wyższych uczuć. Na Moritza polskie podziemie wydało wyrok śmierci, który został wykonany dopiero po przeniesieniu go do Starachowic, gdzie nadal prześladował Żydów – zob. W. Pietrzyk, *Moritz – kat opoczyńskiego getta*, „Opoczyńska.pl", 16.11.2016, nr 46(56).

GRZESZCZAK.indd 132 12.11.2024 20:23:56



Zbiórka mieszkańców getta żydowskiego w Opocznie na placu Jana Kilińskiego przed deportacją do obozu zagłady w Treblince, 27.10.1942. Fot. ze zbiorów Muzeum Regionalnego w Opocznie.

chodem, objechał okoliczne wioski, polując na tych Żydów, których mimo nakazu nieopuszczania Paradyża, zastał na drogach, gdy głód ich zmusił do szukania żywności. Zabił trzy osoby na szosie, strzelając zawsze w tył czaszki.

Tego właśnie dnia, wracając z Opoczna, widziałam kałuże krwi na drodze przy rowie nad szosą. Patrząc na tę okropność i okrucieństwa ludzi, zaczyna się tracić wiarę w Boga. Jakże Bóg może dopuścić do tego, aby istota stworzona na Jego podobieństwo była tak zła? Jaki więc ten Bóg jest, największa mądrość i dobroć? Zaczynam tracić to, co w chwilach ciężkich jest siłą i podporą ludzi wierzących – wiarę. Staję się obojętna na to, co się wokół dzieje, i nic mnie już nie dziwi i przeraża. Chętnie uciekłabym na jakieś bezludzie. Całe dnie spędzam w lesie, czując się bezgranicznie osamotniona, brak mi zwierzaków, którymi otaczałam się w Oborach. Dostaję od kogoś żółwia, dużego jak talerzyk deserowy. Żółw podobny do starego pana Turka – konwojenta, ma małą głowę i jakieś senne oczy. Rano wcześnie, gdy głodny, staje przed moim łóżkiem, wyciąga łepek na długiej szyjce i patrzy sennym okiem. Z braku laku szybko do żółwia przyzwyczajam się. Akurat pogoda nie bardzo, nie nudzę się więc sama w domu.

Niespodziewanie zostaję wezwana, aby objąć posadę w Rawie Mazowieckiej jako kierowniczka fermy drobiowej. Jestem wściekła. Ciekawam, kto mi tę niedźwiedzią przysługę oddał. Muszę jechać, ale robię sobie postanowienie, że nie na długo. Balasińskiej płacę za mieszkanie na następny miesiąc, żółwia daję znajomemu chłopcu.

GRZESZCZAK.indd 133 12.11.2024 20:23:56



Funkcjonariusze niemieckiej żandarmerii przed posterunkiem w Opocznie.
Fot. ze zbiorów Muzeum Regionalnego w Opocznie

Ferma i owszem, podoba mi się, ale po rozmowie ze starszą już, bardzo sympatyczną kierowniczką, widzę, że okropne są tam stosunki, dla których ona z posady, pod pretekstem choroby, rezygnuje. Przyczyną są przysyłane do pracy praktykantki, panienki z wyższych sfer, które wymigują się od pracy. Ich celem jest przeżyć bezpiecznie i łatwo czas wojny. Nad wszystkimi decydujące zdanie ma kierownik administracyjny. Młody człowiek, który najgorliwiej zajmuje się praktykantkami. Po tygodniu wyrwałam się z Rawy i z ulgą wróciłam do Paradyża. Miałam obawy, czy na moje miejsce wyszukali kogo innego. Ale nad tym czuwał Flisowski – agronom. Żółwia już nie dostałam, uciekł na wolność.

Teraz kursy mamy częściej, są w Radomiu lub w Popielawach[71]. Bardzo na nich miło. Warunki bytowe dobre, jest nas zawsze piętnaście osób, dopisuje humor. Najweselszy był kurs dojarski oraz pielęgnacji krów. Wykłady były dobre, jedzenie również, zakończone egzaminem, na który przyjechał kreislandwirt. Nie mówił po polsku, więc wiele nie rozumiał z naszych odpowiedzi, które mu tłumacz powtarzał, ale wszystko wypadło dobrze. Był bardzo zadowolony i wyraził chęć zrobienia wspólnego zdjęcia z kursantkami, co nam się

[71] Wieś w gminie Rokiciny, w powiecie tomaszowskim.

GRZESZCZAK.indd 134 12.11.2024 20:23:57

wcale nie podobało, aby mieć takie upamiętnienie z Niemcem. Trzeba jakoś temu zapobiec. Namówiłam jedną z koleżanek, też z dużym nosem, i po wystudiowaniu odpowiedniej mimiki uplasowałyśmy się po obu stronach dygnitarza, który nienawidził Żydów. Kawał musiał się udać, bo zdjęcie nigdy się nie ukazało i dostać go nie było można, rzekomo zepsuło się ku naszej rozpaczy.

Jadąc kiedyś na taki kurs, nie zdążyłam wcześniej wziąć w Opocznie od żandarmerii obowiązującej na przejazd koleją przepustki. Byłam tam przed dwunastą godziną, gdy zapukałam do biura żandarmerii. Wytknął jeden z nich łeb i szczeknął: „Mittag"[72], zatrzaskując mi drzwi przed nosem. Mam mało czasu do odejścia pociągu, na kursie muszę być, biletu bez przepustki nie sprzedadzą mi. Spóźnić się nie było można. Jak tu bilet bez przepustki wykupić? Na dworcu spotkałam agronoma z sąsiedniej gminy – Żarnowa i ten na swoją przepustkę kupił mi bilet. Ale jak kupię bilet powrotny? Kurs prowadzi agronomka powiatowa, Polka, miła osoba, z którą byłam w dobrych stosunkach. Zwierzam się z mego kłopotu. Ponieważ po naszym kursie jest następny, na którym ta pani została, pożycza mi swoją przepustkę, którą mam odesłać listem poleconym do Popielaw. W Opocznie na stacji łapanka, stacja obstawiona, sprawdzanie dokumentów i przepustek na dozwolony przejazd. Mam przepustkę na inne nazwisko. Ustawiają mnie w szeregu przeznaczonym do Treblinki, w gronie przeważnie szmuglerów. Zaczyna się rewizja. Moja przepustka zostaje zabrana przez jednego żandarma, który włożył ją za szeroki mankiet szynela. Mam wezwanie na kurs, tłumaczę, jak było, że chciałam być punktualna i na czas stawić się na wezwanie mojej władzy. Puszczają mnie. Z ulgą odetchnęłam, ale jak wydostać przepustkę? Widzę ją wystającą zza mankietu. Niemczysko siada i coś zapisuje. Podchodzę pewnym krokiem do niego. Przechylam się przez stół, wyciągam ze słodkim uśmiechem przepustkę, mówiąc: „Danke schön", i szybko wynoszę się za drzwi. Niemiec zgapił się, gdy zatrzasnęłam drzwi. Zadekowałam się w ustępie, gdzie przesiedziałam do końca akcji łapankowej. Noc spędziłam u znajomych w Opocznie.

Wkrótce dostałam mianowanie na agronomkę rejonową, której przysługiwała stała przepustka na cały dystrykt. Miałam więc szeroką swobodę ruchów w kilku gminach. Mój rejon miał pięć gmin: Białaczów, Machory, Niewierszyn, Żarnów i Wielką Wolę. W tej ostatniej nadal byłam również gminną. Wszystkie miejscowości naszpikowane partyzantami. Żadna kontrola ze strony władz niemieckich nie grozi. Prócz wyznaczonych na każdy miesiąc wykładów dla gospodarstw wiejskich, w poszczególnych gromadach musiałam przeprowadzać

[72] Południe, obiad.

GRZESZCZAK.indd 135 12.11.2024 20:23:57

kontrolę w gminach mojego rejonu i wysyłać miesięczne sprawozdania. Sprawozdania wysyłam obszerne, komponowałam je na piątkę. Z jazdami po gminach nie przemęczałam się, zwłaszcza po jednej do Niewierszyna, gdzie zarząd gminy o fioletowych nosach i przepitych twarzach, chcąc uczcić mój przyjazd, przyjął mnie bimbrem. Po wypiciu małego kieliszka tego płynu o wstrętnym smaku i palącym usta, poczułam mgłę w oczach i przez prawie dwie godziny nic nie widziałam, podczas których pociłam się ze strachu, co będzie dalej.

Coraz częściej słyszy się o likwidowaniu sługusów niemieckich. Kobietom, które z Niemcami przestają, nieznajomi – nocni goście wypalają na czołach hakenkreuze[73] lub w najlepszym razie golą głowy. Uważam to za słuszną karę za takie postępowanie, zwłaszcza dla żon oficerów polskich, znajdujących się w oflagach.

Któregoś dnia byłam po coś u mojej gospodyni Balasińskiej, której okna pokoju wychodzą na ulicę. Słyszę uderzenie głuche, jakby ktoś w beczkę walił. Wyglądam przez otwarte okno. Widzę od strony paradyskiego „rynku" jadącego na rowerze mężczyznę w średnim wieku, trzymającego w obu rękach jeszcze dymiące rewolwery[74]. Twarz blada, usta wykrzywione dziwnym grymasem, w oczach jakby roztargnienie. Patrzę zdziwiona na broń. Spostrzega mnie i w biegu rzuca wyjaśnienie: „Macie zabitych waszych szpiegów". Okazuje się, że od pewnego czasu w okolicy kręcił się pewien tajniak, na którego był wydany przez „podziemie" wyrok śmierci. Tego dnia, chcąc pewnie wyłowić przy kieliszku jakieś nowe wieści, popijał w miejscowym wyszynku. Przy bufecie stał syn właściciela, a w pobliżu kręcił się zięć. W pewnej chwili wszedł nieznajomy, prosząc o piwo. Pijąc je przy bufecie, przyglądał się obecnym. Przy stoliku siedział tajniak i miejscowy policjant. Nagle nieznajomy z okrzykiem: „Ręce do góry" wyciąga broń i strzela do tajniaka serią. Kule odbijają się, raniąc ciężko syna właściciela zajazdu, inny rykoszet trafia w nogę policjanta. Przerażony zięć właściciela rzuca się do ucieczki i na wezwanie nie staje. Następny strzał wymierzony w nogi uciekającego w momencie, gdy ten pochylił się, trafia go w brzuch, raniąc śmiertelnie. W drodze do szpitala obaj zmarli. Dla jednego drania poszły dwie niewinne ofiary. Tak, wojna pożera coraz więcej ofiar, smak nienasycony. Policjant wykurował się. Tajniak zabity. Zdarzenie to wstrząsnęło bardzo wszystkimi, tym bardziej, że rodzina ta była zasiedziała i lubiana. Córka Irena została wdową po dwóch miesiącach małżeństwa[75].

[73] Swastyki.

[74] Wydaje się, że w tym miejscu autorkę poniosła nieco fantazja; jest też bardzo mało prawdopodobne, że w tego typu akcjach posługiwano się wówczas rewolwerami.

[75] Do tego zdarzenia doszło najprawdopodobniej 21.07.1943 r. w restauracji przy ul. Opoczyńskiej 1a, prowadzonej przez rodzinę Figurskich z Paradyża. Syn

GRZESZCZAK.indd 136 12.11.2024 20:23:58

Jako agronomka dostaję przydział papierosów dla siebie i podległych mi agronomek. Przeważnie papierosów nie odbierają, zrzekają się przydziałów dla mnie. Jest to dużą dla mojej kieszeni podporą. Mam co miesiąc dużą pakę kilku gatunków papierosów. Sprzedaję je, ale zdarza się, że w nocy pukają do okna ci z oddziałów leśnych, prosząc o papierosy, oczywiście za dobre słowo.

W Opocznie jestem prawie co dzień, przywożąc z wylęgarni zamówione kurczęta. W ogóle dużo spraw załatwiam miejscowym ludziom, mając nieograniczone przepustki na jazdy. Obiady na otrzymane kartki jadam przeważnie w Opocznie.

Powstanie w Warszawie i poprzedzający okres. Kursy do Piotrkowa Trybunalskiego

Niemcy coraz bardziej cofają się ku granicy Polski. Coraz nowe nadchodzą wieści. Coraz większe grupy partyzanckie, ale gospodarczo wszystko funkcjonuje jak zwykle. Znowu dostaję wezwanie na jakiś kurs do Popielaw, parodniowy. Gdy wracam, widzę, że koło chaty Balasińskiej kręcą się żołnierze, ale w innych mundurach. Są to Ukraińcy, którzy od paru dni stacjonują w Paradyżu, zajmując co lepsze chaty. Dowiaduję się, że podczas tego nagłego wysiedlenia Śpiewak, wiedząc, że mnie nie ma, co potrzebniejsze rzeczy moje przeniósł do małej chatki w sąsiednim ogródku, do pewnej starszej kobiety, która gościła u siebie młodą krewniaczkę z małym synkiem. Znalazł się tam kącik na moje posłanie, ale reszta rzeczy leżała na zewnątrz przykryta przed deszczem. Zaniepokoiłam się, co się stało z plecakiem – torbami, które właśnie miałam u siebie do uszycia dla partyzantów. Ale Śpiewak już się nimi zajął. Prawie co noc to nowe wojsko wyruszało na tak zwaną pacyfikację. W chacie tylko nocowałam.

Któregoś dnia dostaję polecenie pójścia do sąsiedniej wioski obok cmentarza, do chaty szewca, którego synowie byli w oddziałach AK[76]. Odsunięto szafę zastawiającą drzwi do małego, pustego pokoju, gdzie na słomie leżało dwóch chłopców. Jeden z przestrzeloną łopatką, drugi z wyrwaną połową pośladka. Pierwszy ma gorączkę, trzeba zrobić zastrzyk z penicyliny. Po zdezynfekowaniu i opatrzeniu rannych, już wieczorem, wracam do „domu" po lek i strzykawkę, ale nim uporałam się z zabiegiem, już godzina policyjna. Posterunek zatrzymuje, legitymują. Tłumaczę, że byłam służbowo w sąsiedniej gminie i to powód opóźnienia. Niedowierza i zaczyna kłaść łapy do mych

właściciela Witold Figurski zmarł w wieku 26 lat 12.08.1943 r., a jego szwagier, 29-letni Franciszek Rejmer, po tygodniu od tego tragicznego zdarzenia.

[76] Prawdopodobnie szewc Ciszewski z Sylwerynowa w gminie Paradyż.

GRZESZCZAK.indd 137 12.11.2024 20:23:58



Pierwsza po przejściu frontu procesja Bożego Ciała w Paradyżu (czerwiec 1945). W tle po lewej widoczne zniszczone zabudowania, w których mieściła się restauracja Figurskich. Fot. ze zbiorów Jadwigi Bochniak

kieszeni, a tam strzykawka. Przepuszcza, czyżbym zapomniała ją zabrać? Nie, jest pod chustką do nosa. No i udało się. Po paru dniach dostaję pod opiekę jeszcze dwóch. Jeden z przestrzeloną ręką, drugi, ale nieco później, z gojącą się już, ale poważną raną głowy. Moim chłopcom, poza łopatką Konara i głową brata mego łącznika Śpiewaka, rany szybko goiły się. Dostawałam od AK pieniądze na ich utrzymanie, ale to nigdy nie równoważyło ryzyka ludzi, którzy godzili się przyjąć w gościnę rannego. Nie miałam zdarzenia, aby ktoś jej odmówił lub furmanki do ich przewiezienia.

W tym samym czasie pan Kruszewski daje mi polecenie odniesienia szyfru na małej karteczce, którą w razie niebezpieczeństwa mam łyknąć. Szyfr należy dostarczyć do Piotrkowa pod wskazany adres. Na potwierdzone pytanie: „Czy jest pani Hanka?", mam podać hasło: „Czy są papierosy Balto?". Odpowiedź miała być: „Nie, są tylko Koralowe". Miałam przynieść odpowiedź, którą wieczorem odbierze pan Kruszewski.

Wszystko poszło według programu, z tym tylko, że pani Hanka wydała mi się dziwnie znajoma, a czekając na odpowiedź, zobaczyłam przechodzącą jej matkę. Ki diabeł! Przecież to jest pani Suska, którą poznałam i spotykałam na przyjęciach w Szczytnikach. Obywatelka ziemska z kaliskiego, z Adamek. Zmieniła się trochę, ale i ona przygląda mi się bacznie. Wreszcie wątpliwość ustępuje, poznajemy się

GRZESZCZAK.indd 138 12.11.2024 20:23:58

nawzajem. Dłuższa serdeczna rozmowa, dobre śniadanie. Dowiaduję się o wielu znajomych.

W Piotrkowie przy szpitalu jest siostra Aleksandra z Pleszewa[77], przy rentgenie w szpitalu dla Niemców. Jej zakon Niemcy zlikwidowali. Znałam ją dobrze, kto by jej w Pleszewie nie znał! Wesoła, dowcipna. Odnosiło się wrażenie, że to koleżanka, a nie siostra zakonna. Postanowiłam ją przy najbliższej sposobności odwiedzić. Skontaktowałam się z siostrą Aleksandrą. Mieszkała z kilkoma siostrami, też z Pleszewa. Serdecznie mnie przyjęła. Nawet dwa razy, jak nie mogłam wrócić tego samego dnia, przenocowały mnie. A najważniejsze, że siostra Aleksandra, zawsze pełna humoru, obdarzyła mnie paką bardzo przydatnych, a niedostępnych dla Polaków lekarstw. Widzę, że jest dobrze zorientowana i ma styczność z organizacją. Daje mi różne wskazówki, mogące ułatwić przejścia.

Teraz nowy szyfr gotowy, więc w drogę, aby na czas stawić się. Z Paradyża do Piotrkowa droga przez Sulejów, skąd idzie wąskotorowa kolejka do Piotrkowa. Do Sulejowa jest siedemnaście kilometrów. Z Sulejowa do Piotrkowa trzynaście kilometrów. W pobliżu widać niedawno pobudowany kościół. Kolejka po przeciwnej stronie. Wszędzie jakieś rozgrzebane roboty. Podobno mają tu robić wały przeciwczołgowe, zakładać miny i robić umocnienia oporowe. Widocznie dobrze w skórę dostają, jeżeli nawet tu opór przewidują. Od Jaksonka[78] do Sulejowa są lasy. W Jaksonku mieszka znajoma z kursów. Zatrzymuję się u niej z pół godziny, też jeździ na kursy do Popielaw. Sulejów rozłożył się po obu stronach Pilicy, na gołych w tym miejscu wysokich brzegach. Przed mostem rozłożone stragany z owocami i warzywami. W kolejce podobno często łapanki, jak również na moście często kontrola przy przejściu. Pierwsza moja wędrówka odbyła się bez żadnych przeszkód, ale widzę, że trasa niełatwa. Koleżanka w Jaksonku też należy do podziemia, mogę się u niej zatrzymywać bez obaw. Siostra jej poniosła śmierć w oddziale AK, przebrana za chłopca. Ostrzega mnie, żeby być bardzo ostrożną, bo wie o „spaleniu" się dwóch moich poprzedników na tej trasie. Postanawiam całą drogę odbywać piechotą, nie korzystać nawet z kolejki, ale w obie strony to sześćdziesiąt kilometrów. Na jeden dzień dobry spacer. Szyfr oddałam na czas. Chodzę teraz dwa razy w tygodniu. W oznaczonych godzinach muszę być w domu. Gdy zlecenie dostaję z dłuższym terminem oczekiwania na odpowiedzi, wiem, że przejście będzie trudne.

Front przesuwa się coraz bardziej na zachód. W naszej okolicy były tylko oddziały z AK. Teraz i AL, i GL działa. W niewierszyńskiej

[77] Zob. s. 62-64.

[78] Wieś w gminie Aleksandrów, w powiecie piotrkowskim.

GRZESZCZAK.indd 139 12.11.2024 20:23:58

gminie moc ich się kręci. W okolicy Diablej Góry doszło do starcia i silnego oporu jakiegoś oddziału[79]. Teraz dygnitarze niemieccy nosa z miast nie wytykają. Nie ma obawy, aby były jakieś kontrole.

Zwróciłam się do powiatu o przydział roweru, choć jeździć na nim nie umiem, ale może się nauczę. Kreislandwirt podpisuje mi niechętnie bezugschein na rower. Powiedział, że jest przekonany, że będą na nim jeździć partyzanci. Rower dostałam, ale po licznych potłuczeniach zrezygnowałam z dalszej nauki jazdy. Poszedł więc pod dyspozycję Kruszewskiego i widziałam go tylko, gdy przyjeżdżano do mnie z poleceniami. Teraz na drogach spotyka się całe grupy wozów, wiozących cały dobytek Niemców, niemówiących niemieckim językiem. Nikt ich o nic nie pyta, ale z przejazdów tych nie można się zorientować, co się dzieje, bo ciągną i na zachód, i na wschód. Nie ma dnia bez jakiejś sensacji. A to więzienie rozbite, a to bank uprzątnięty, a tam znowu wsypa, to znów zamach na jakąś szychę niemiecką. Kiedyś jeden z AK, mieszkający wśród lasów, przyszedł do domu. Wywabiony natarczywym szczekaniem psa, wysunął się ostrożnie z domu z bronią. Słychać było strzały, do domu nie wrócił. Rano rodzina znalazła go leżącego za jednym z drzew z kulą w piersiach, a o parę kroków naprzeciw leżało ciało żołnierza sowieckiego. Dochodzenia wykazały, że strzały obu były celne i tylko dwa słyszano. Ale moje zdziwienie doszło do szczytu, gdy dowiedziałam się, że pogrzeb akowca odbył się na koszt Niemców i to z honorami oddanymi przez nich. Zgłupieć można z tą polityką. Przecież AK przeciw Niemcom występuje. Nie mogę też tego pojąć, dlaczego w tak krytycznych chwilach tworzy się tyle niekontaktujących się ze sobą oddziałów, nawet niechętnych sobie.

Front zbliża się do Warszawy. Przebąkują o przerzucaniu tam niektórych oddziałów do stolicy. Również niektórzy z podziemia mają się tam udać. Okropnie się boję, żebym takiego polecenia nie dostała, bo w lesie jestem zorientowana, ale w mieście głupia jak baran. Nadmieniłam to mimochodem w rozmowie z Kruszewskim. Tu mogę się przydać, a tam mogę tylko zawadzać.

Powstanie w Warszawie! Ogólne poruszenie, naprężenia nerwów. Różne sprzeczne wieści. Nie sposób opisać tego, co słyszymy od naocznych świadków. Bohaterskie dzieci rzucające butelki benzyny na czołgi, o odważnych łącznikach. Tragedie mieszkańców Warszawy, poświęcenie i zniweczone marzenia. Chcemy wkraczającą armię rosyjską przyjąć w wolnej stolicy. Zadokumentować własną

[79] Wzniesienie na Wzgórzach Opoczyńskich w gminie Żarnów. Dnia 16.08.1944 r. doszło tam do bitwy pomiędzy liczącym 580 żołnierzy zgrupowaniem 25 pp AK oraz oddziałami Wehrmachtu i żandarmerii. Niemcy wycofali się, ponosząc straty w wysokości ponad 60 zabitych, kilkudziesięciu rannych i 17 wziętych do niewoli.

GRZESZCZAK.indd 140 12.11.2024 20:23:58

niezależność. Powstanie przyspieszone, bo Niemcy wpadli na ślad różnych komórek. Z chwilą zaczęcia powstania armia rosyjska wstrzymała ofensywę. Niemcy całą uwagę mogli zwrócić na Warszawę, a nasz sprzymierzeniec patrzy i czeka, aż Warszawa się wykrwawi. Nadchodzące wieści coraz bardziej przygnębiające. Warszawa broni się zaciekle, ale i Niemcy całą swą złość dotychczasowych niepowodzeń, które spadły na nich po dniach triumfu, wyładowują na nas.

Kiedyś koleżanka mówi, że zaczęli bardzo często robić łapanki w kolejce wąskotorowej kursującej z Sulejowa do Piotrkowa, a ja właśnie obtarłam sobie nogę. Skorzystałam z niej, mając mało czasu na powrót, ale coś mnie tknęło, aby się zabezpieczyć. Wpadłam na pomysł, żeby zaryzykować udanie ciąży. Poprosiłam koleżankę o małą poduszkę, zrobiłam z niej brzuch, dostosowałam ruchy do tej „ciąży" i wkroczyłam do „ciuchci". Wyglądałam naprawdę godnie. Koleżanka była zachwycona moją figurą. Zajęłam miejsce w kolejce. Kobiety, które już tam siedziały, wyrażały zdziwienie, że w takim „stanie" wyruszyłam w drogę. Nim kolejka ruszyła, wpadają żandarmi i „Alles raus". Popłoch – łapanka. Nie ruszam się z miejsca. Wszyscy wychodzić! Wstaję ociężale, wrzeszczący Niemiec spojrzał na mnie i kazał mi zostać. Prawie pustą kolejką dojechałam do Piotrkowa. Miałam tylko kłopot, jak w Piotrkowie pozbyć się poduszki.

W drodze powrotnej miałam całą torbę wyładowaną przez siostrę Aleksandrę przeróżnymi lekami, na rękę założyła mi opaskę Czerwonego Krzyża, która chroniła mnie tylko do Sulejowa. Dalej, wobec braku wymówki, nie mogłam z nią paradować, trzeba było liczyć na łut szczęścia. Nim tymczasowa apteczka została przez pana Kruszewskiego ulokowana gdzie indziej, często w nocy budzono mnie, żądając lekarstw. W mojej zielonej torbie poza lekami przynoszę z Piotrkowa baterie, żarówki do lampek elektrycznych, naftalinę dla zmylenia śladów napuszczanych psów śledczych i różne „trefne" rzeczy. Dużo z tych rzeczy dostarczała siostra Aleksandra, orientując się świetnie, co leśnym potrzeba.

Pewnego razu zamiast szyfru, musiałam się nauczyć na pamięć ułożenia białych i czerwonych świateł w odpowiedniej figurze. Domyślałam się, że chodzi o zrzut[80]. Miałam okropne obawy, żeby nie pokręcić układu i kolejności biało-czerwonych świateł. Rwałam więc co sił do domu. W lasku między Piotrkowem i Sulejowem spostrzegam pędzący za mną gazik z żandarmami. Zwolniłam kroku, nie oglądam się i staram zagłuszyć łopoczące się serce. Gazik dogania mnie i staje. Nic nie niosę, Bogu dzięki, mimo to czuję, jak włosy jeżą się na głowie. Nie mam odwagi obejrzeć się, nogi plączą się. Słyszę, jak

[80] Zob. s. 65.

GRZESZCZAK.indd 141 12.11.2024 20:23:58

Niemcy, szwargocząc, wychodzą, ale czemu nie wołają, czy od razu strzelą w tył czaszki? Idę, idę, jeszcze idę, jeszcze nie strzelili. Czuję, jak serce podchodzi do gardła. Coś nie tak, jak spodziewam się, trzeba się obejrzeć. Od razu odnoszę wrażenie, jakby jakieś niewidzialne kleszcze ściskające mnie rozwarły się. Wciągam z ulgą powietrze. Przy podniesionej masce samochodu widzę wypięte zady Niemców. Co ten defekt samochodowy strachu mi napędził. W lasku przed Paradyżem czekał pan Kruszewski. Czym prędzej patykiem rysuję zapamiętaną figurę i objaśniam kolory. Pan Kruszewski twierdził, że dziś był o mnie niespokojny i już od godziny czeka na mnie. Spieszył się bardzo, domyślałam się, że zrzut będzie w nocy. Mimo zmęczenia nie położyłam się, siedząc w oknie i obserwując niebo. Tak leciały, około drugiej w nocy, leciały w tym kierunku, gdzie czekał na nie oddział Henryka. Na drugi dzień wielu moich znajomych włóczyło się sennie, jak po przebomblowanej nocy. Podobno przesyłka była bogata. Po dniu odpoczynku znowu spacer do Piotrkowa, tym razem duża koperta, jak ją przenieść i jak ukryć. Owinięta papierem, stała się usztywnieniem do okrycia głowy, które założyłam w kształcie turbanu. W Sulejowie na moście ścisła kontrola. Stoję przy straganie z owocami i obserwuję zachowanie się Niemców. Przy ich gorliwości nie będzie łatwo przejść. Moja legitymacja służbowa nie sięga do Piotrkowa. W Sulejowie jeszcze mogę się nią tłumaczyć, ale dalej trudno. Wtem do straganu podchodzi jakiś żołnierz, ubija jakiś interes ze straganiarzem, mówi łamaną polszczyzną, brak mu słów do porozumienia się z handlarką. Ubija interes i zwraca się do mnie, żebym z nim szła i przyniosła handlarce umówioną rzecz, uważając, że mam z nią coś wspólnego. Handlarka zaś uważała mnie za znajomą żołnierza. Poszliśmy razem, ja trochę z tyłu, bo żołnierz stawiał wielkie kroki, ciągle coś gadając do mnie. Na moście zasalutował, coś poszwargotał, pokazując na mnie kontrolującym Niemcom, i przeszliśmy niekontrolowani. Do mostu dochodziła dość znaczna grupa ludzi, wracali ze zmiany przy okopach. Puściłam Niemca przodem, a sama nura przez most. Gdy Niemiec znikł mi na zakręcie, poszłam szybko w przeciwnym kierunku, dziękując mu w duchu za uprzejmą pomoc. Podczas jednego takiego niebezpiecznego dnia, koleżanka założyła mi „bardzo fachowo" gipsowy opatrunek na rękę.

Z Warszawy coraz smutniejsze nadchodzą wiadomości. Pojawiają się pierwsi rozbitkowie. Nie ma rodziny w komplecie. Do tych zatłoczonych okolic napływa nowa fala zabiedzonych. Nie ma ich czym żywić, w chatach tłoczno, w dodatku dużo chorych i rannych. Przychodzą do mnie z gminy, że jest projekt założenia izby chorych[81], na co przeznaczają jedno mieszkanie składające się z dwóch pokoi

[81] W istniejącym do dziś budynku naprzeciwko Urzędu Gminy.

GRZESZCZAK.indd 142 12.11.2024 20:23:58

i kuchni. Mam wystarać się o łóżka i pościele oraz potrzebne naczynia. Problem zaiste ważki. Dowiaduję się o graty i bety pożydowskie. Co lepsze Niemcy pobrali, najgorsze wydobyłam od nich i skombinowałam osiem łóżek. Poduszki i pierzyny, które udało mi się dostać, były wprost wstrętne. Wysypuję z nich pierze i razem z najętą kobietą pierzemy wsypy. Mimo wysiłków pozostają koloru szarego lub nieokreślonego. Powleczeń nie mogę nigdzie zdobyć. Gdy przyjdzie mi tę samą pościel przeznaczać dla innego chorego, nie wiem, co zrobię. Jedna z wysiedlonych za wyżywienie godzi się gotować. Jest pięć zajętych łóżek. Pomoc lekarską bezpłatnie, choć niezbyt chętnie, mamy od lekarza, który wydostał się z Warszawy z żoną i dzieckiem.

Między chorymi jest tęgi, stary już mężczyzna, ma opuchnięte nogi. Lekarz twierdzi, że to daleko posunięta choroba nerek, uważa stan za beznadziejny. Inny ma raka w żołądku, też dogorywa. Żal mi staruszka. Porozumiewam się z lekarzem, który prowadził kursy. Poleca robić analizy i twierdzi, że stosowane lekarstwa są niewłaściwe. Na skutek nalegania lekarz z Paradyża poleca i posyła mnie z analizami do Opoczna, nim wróciłam, stary już prawie w agonii. Nad ranem skonał. Zwróciłam się do gminy o pomoc i jak najszybsze usunięcie ciała. Drapali się tęgo po głowach i wreszcie polecili mi postarać się o ludzi i przenieść nieboszczyka do aresztu gminnego. Gdyśmy go tam zanieśli, okazało się, że nogi nieboszczyka z aresztu wyłażą na korytarz. Byłam w rozpaczy. Chłopisko miał prawie dwa metry, a areszt zaledwie półtora metra. Dopiero na drugi dzień, po energicznym poszukiwaniu, odnalazłam młodą dziewczynę, jego wnuczkę, jedyną z rodziny, jaka została. Okazało się, że dziadek jej był rusznikarzem w powstaniu, a ona roznosiła broń. I tak uczciwy całe życie starowina po śmierci dostał się do aresztu. Ale też mnie funkcją obdarzyli, niech ich kule biją!

W dodatku to chodzenie do Piotrkowa, staranie się o żarcie dla chorych, tam znowu jakieś polecenia związane z moją posadą podwójnej agronomki, bo gminnej i rejonowej. Skończył się mój błogi spokój i próżniactwo. Ostateczny koniec z powstaniem. Warszawa w proszku! Nieufność wśród ludzi, pomiędzy nowo przybyłymi często trafiają się szpiedzy. Napychanie nowych ludzi do i tak już przeludnionych mieszkań stwarza jakąś wzajemną wrogość. Trudności żywnościowe coraz większe. Najlepiej najadam się na kursach, ale jakoś dawno już ich nie ma. Po rozbiciu Warszawy lasy jeszcze bardziej zapełniły się. Gdy kiedyś Kruszewskiemu przyznałam się, że „Skrzyńska", pani Hanka, to moja znajoma, był bardzo tym zaskoczony. Z polecenia chodzę już rzadziej. Podobno w moim rejonie jest około pięciu tysięcy partyzantów.

Dostałam z AK płótno żaglowe i krótki termin na uszycie z niego chlebaków. Płótno jakieś sztywne, igła nie chce w nie włazić. Już kilka

GRZESZCZAK.indd 143 12.11.2024 20:23:58

złamałam, palce mam pokłute, a tu jeszcze wezwanie do Tomaszowa, to cały dzień zejdzie. Wracam zmęczona i przyrzekam sobie zaraz położyć się. Dochodząc do Paradyża, widzę dużo żołnierzy w jakichś innych mundurach. Podbiega do mnie jedna znajoma i mówi, żebym nie szła do Balasińskiej, bo tam cały dom już wysiedlony i zajęty przez Ukraińców, których Niemcy przysłali na likwidacje partyzantów. „A co z moimi rzeczami?" – pytam, myśląc o chlebakach i ostatniej paczce lekarstw niezdanych jeszcze. Okazuje się, że czuwał nad tym mój łącznik, listonosz Śpiewak. Wszystko sam starannie poprzenosił do małej jednoizbowej chatki, którą zajmowała właścicielka, starsza kobieta ze swoją siostrzenicą – tkaczką z Łodzi i jej pięcioletnim synkiem. Ciasno niesamowicie, w dodatku ja jeszcze. Jakoś moje legowisko wstawione, a reszta rzeczy ułożona w ogródku pod domem. Ogródek graniczy z dzielnicą zajętą przez wojsko. Przy samym płocie, w krzakach stał drewniany, pochylony ustęp. W tę noc, w której sobie obiecałam wypocząć, oka nie zmrużyłam. Chatka dudniła od przeraźliwego chrapania grubej, przysadzistej gospodyni. Dowiedziałam się też, że moi chorzy zostali wyrzuceni na ulicę, z której sołtysi rozwozili ich do sąsiednich wiosek. Zrobiło się teraz okropne życie wśród tych szarych nienawistnych mundurów. Łazi to tałatajstwo po chatach, nos wszędzie kładzie, wejścia do wioski strzeże. Trzeba się stale legitymować. Czujemy się jak w jakim obozie. Ciężarowe samochody ciągle wywożą, to znów przywożą żołnierzy w pełnym uzbrojeniu. Na razie nie można zdobyć żadnych wieści, ale i one z czasem docierają do nas.

Niemcy mają dokładne wiadomości, w których wioskach i kto pomaga i sprzyja partyzantom. Nagły i niespodziewany przyjazd wojska zaskakuje wszystkich. Zaczynają się wsypy, co jest powodem palenia całych wiosek. Nie czekam długo na nowe polecenie przysłane przez Śpiewaka. Mam iść do najbliższej wioski, zaraz za cmentarzem w Paradyżu, do mieszkania skromnego szewca, który wraz z żoną opłakiwał brak wieści o dwóch synach, którzy opuścili dom. Mam zabrać bandaże (nikt się nie pyta, skąd je mam wziąć, więc drę rzeczy przywiezione po ciotkach), jakiś środek dezynfekcyjny i antyseptyczny, w ogóle wszystko, co dla rannego potrzebne. A więc pierwsze samodzielne zastosowanie wiadomości zdobytych na kursie. Biorę jakiś stary but do szycia i idę. Szewc z żoną przyjmują mnie serdecznie, odsuwa szafę i wprowadza przez zasłonięte nią drzwi do sąsiedniego pokoju. Pokój jest pusty, w kącie na słomie dwoje ludzi przykrytych kocami. Śpią, twarze ich rumiane, młode, więcej nie mają, jak po dwadzieścia dwa lata. Koszule brudne, obok leżą bluzy zawszawionych mundurów. To są ofiary pierwszych potyczek. Jeden ma rozszarpany pośladek, drugi przestrzeloną łopatkę. Kula, gdy leżał, przeszła po łopatce, naruszając kość. Pierwszy ma

GRZESZCZAK.indd 144 12.11.2024 20:23:58

pseudo Wąż[82], drugi Konar[83]. Uczyliśmy się bandażować rękę, nogę, głowę, ale za przeproszeniem dupy bandażować nie uczono. Chyba Niemcy befsztyk zrobili sobie z takiego kawała mięsa, jaki mu wyrwali. Wyglądało to okropnie, ale jak się okazało, było głupstwem w porównaniu z niewidoczną ranką Konara. Miałam dużo kłopotu z zabandażowaniem rany, szczęśliwie zabrałam również igłę i nici. Bandaż pozaszywałam i opatrunek dobrze trzymał. Z Konarem było gorzej. Miał gorączkę, ranka mała, wzdłuż całej łopatki kula przeszła. W domu miałam jeszcze omnadynę[84]. Musiałam iść po nią i po strzykawkę, którą już sobie kupiłam. Musiałam ją jeszcze wygotować, co mi trochę czasu zajęło, i zrobił się wieczór. Nie mogłam wychodzić z pośpiechem, trzeba było trochę kluczyć. Poszłam z wiązanką kwiatów na cmentarz i stamtąd skręciłam do chłopców. Nie mam termometru, ale widzę większą gorączkę u Konara, dobrze, że przyszłam. Okazuje się, że trzeba postarać się o cywilne ubranie dla chłopaków.

Mimo pośpiechu wracam już parę minut po dozwolonej godzinie. Posterunek zatrzymuje mnie. Tłumaczę mu, że jako agronomka miałam zebranie w dalszej wiosce i wracając, zbłądziłam, co spowodowało opóźnienie. Pokazuję kartę pracy. Mimo to Niemiec chce mnie rewidować, a ja mam strzykawkę w kieszeni. Niemiec kładzie łapę do tej kieszeni. „No, już po mnie" – myślę, ale nie. Nie rozumiem, dlaczego nic nie znalazł. Staram się nie okazywać żadnych obaw, które powodują łomotanie serca. Jeszcze muszę przez dwa posterunki przejść. Jeden z dwóch żołnierzy odprowadza mnie, wymyślając mi. Nieznacznie wsuwam rękę do kieszeni, rzeczywiście strzykawki nie ma. Co się stało, jest chustka do nosa. Dopiero w domu odnalazłam ją pod chustką, była zupełnie łatwa do odnalezienia. Jak ona się wtedy schowała, do dziś nie rozumiem. Przeróżne przygody, często bardzo humorystyczne, spotykały mnie w ciągu tych wędrówek trwających sześć tygodni.

Po paru dniach „dostałam" jeszcze Oliwę[85] z przestrzeloną ręką, w której została kula, tu znowu kłopot z ubraniem. Gospodarze pewni, do których zwróciłam się o ubranie, chętnie mi je dali. Przebrałam więc chłopców na cywili. Przy następnym opatrunku byłam zaskoczona ilością wszy, które nagromadziły się w bandażu. Ze strachem brałam bandaże do domu do prania. Po paru dniach trzeba

[82] Osoba niezidentyfikowana, znana tylko z pseudonimu – zob. M. Kopa, A. Arkuszyński, H. Kępińska-Bazylewicz, tamże, s. 689.

[83] Zob. s. 64-65.

[84] Lek przeciwgorączkowy.

[85] Czesław Kuś, ps. „Oliwa" – zob. M. Kopa, A. Arkuszyński, H. Kępińska-Bazylewicz, tamże, s. 313.

GRZESZCZAK.indd 145 12.11.2024 20:23:58

było chłopców przenieść na inną kwaterę. Leon Wach dostarczył mi koni i wozu. Ustaliliśmy drogę przewozu rannych na nowe meliny. W nocy szłam o kilkanaście kroków przed wozem, badając bezpieczeństwo przejazdu. Ulokowałam ich każdego osobno. Wąż poszedł do pana Duraja mieszkającego wśród torfiastych łąk. Konara i Oliwę umieściłam w dwóch sąsiednich wioskach. Chodziłam do nich co drugi dzień, o stanie gojenia ran komunikowałam się z nowym lekarzem pani Bronikowskiej. Któregoś dnia deszcz lał bez przerwy. Miałam wówczas być u Węża.

W „domu" staram się jak najmniej siedzieć, bo stale przyłażą Ukraińcy, zwłaszcza przystojny, młody, mówiący dobrze po polsku Michałko, który gustuje w młodej bratanicy gospodyni. Tego natręta zastaję często rozwalonego na moim legowisku. Mam już tego dość! Nie mam gdzie prać bandaży i przechowywać niebezpiecznych rzeczy. Przeważnie rano wychodzę, wracam wieczorem.

Głowię się teraz, jak zdobyć jakieś mieszkanie. Staram się przez gminę i władze. Udałam się do miejscowej komendy wojskowej, która ulokowała się na Wielkiej Woli we dworze, wyrugowując stamtąd właściciela Pędziacha. Z dużą obawą pukałam do drzwi komendy. Przyjął mnie tam młody oficer, o dziwo, bardzo grzecznie. Wziął moje papiery osobiste i służbowe agronomki i poszedł do wyższych instancji. Wrócił już z gotowym pismem, przyznającym mi izbę po świeżo zmarłym na suchoty, niestarym jeszcze człowieku, samotnym, zajmującym dość porządną izbę w drewnianym domku. Były tam dwa okna, podłoga dość możliwa z drzwiami do piwniczki. Zdobyłam gdzieś siarkę i w zamkniętej szczelnie izbie wysypałam na węgle. Po wywietrzeniu izbę dokładnie wyszorowałam, usuwając wszystkie graty po zmarłym. Izba miała osobne ze sieni wejście, wspólne drugie z drugim mieszkaniem zajmowanym przez starsze kobiety. Czułam się lepiej u starej Balasińskiej, gdzie pokój miałam za jej kuchnią, do którego wejścia pilnie strzegła. W dodatku nie miałam tu zamknięcia. Trzeba było posługiwać się kłódką. W dodatku ci Ukraińcy, którzy wszędzie zaglądają!

Kiedyś poszłam zrobić opatrunek Wężowi, ulokowanemu u państwa Durajów, z myślą, że zostanę dłużej u Marysi, ich bardzo miłej córki. Ludzie ci mieszkają na odludziu, pośrodku łąk, deszcz pada, zimno. Na błotnistej drodze dogania mnie wóz. Prócz furmana siedzi jakiś młody człowiek. Mijając mnie, zatrzymuje się, uśmiecha się i zaprasza na wóz. Korzystam z zaproszenia, no i chcę jakoś zagaić rozmowę. No, od czegoż, jak nie od pogody. „Co za wstrętna pogoda". Na to mój przygodny towarzysz z uśmiechem mówi: „Niechże pani tak na mnie nie narzeka". Patrzę zdziwiona na niego i przypomina mi się konfiskata masła i podpis „porucznik Pogoda". Aaa, serdeczny uścisk dłoni i przy pożegnaniu życzenia powodzenia.

GRZESZCZAK.indd 146 12.11.2024 20:23:58

Innym razem, idąc do Węża, widzę posterunek partyzancki, przed wejściem hasło. „Nie znam, idę do Węża". Przepuszcza, salutując. Dom pełen młodych ludzi, widać okropne zmęczenie na twarzach. Na jednym z łóżek leży rozgorączkowany młody chłopiec, może czternastoletni. Majaczy, nachylam się nad nim, ma podejrzaną wysypkę, i o zgrozo, wszy! Pełzają po nim, po poduszce, na której leży roi się od nich. Są przeróżne, czarne, szare, białe. Wszy znajdowałam w bandażach początkowo, póki ich z chłopaków nie wykurzyłam, ale takiej masy, nie sądziłam, aby jeden osobnik wyhodował. Mówię o tym przechodzącej umęczonej Marysi. Marysia z rezygnacją odpowiada, że wie o tym, bo często nocami różne oddziały zatrzymują się u nich. Po takiej wizycie mają dwa tygodnie pracy z odwszawianiem. Wszy nawet w szparach podłogi zostają. Okropność! Ja też stale wieczorem u siebie wszy znajduję.

Któryś z chłopców woła mnie do komendanta. W sąsiedniej izbie, przy długim zastawionym stole, nakrytym białym obrusem siedzą przy talerzach pełnych rosołu chłopcy, między nimi w oficerskim mundurze komendant. „Niech pani mnie też przewinie opatrunek, ale szybko, bo zaraz wędrujemy, a chcemy się jeszcze najeść". Ściąga spodnie, widać nie zupełnie zagojoną, sączącą jeszcze ropą, ranę w brzuchu. I tu wszy. Dobrze, że wzięłam więcej gazy i waty. Przemyłam i zawinęłam, wzmacniając opatrunek świeżo zrobionym szalikiem wełnianym, który miałam ze sobą. Był to podobno oddział Bończy[86], ale nie starałam się dokładnie dowiedzieć, najważniejsze, że nasze chłopaki. Mieli popuchnięte nogi. Od kilku dni nie zdejmowali butów. Chory chłopiec został i pod innym nazwiskiem dostał się pod opiekę lekarską. Przechodził jakąś zakaźną, poważną chorobę, pewnie tyfus. Rana Węża świetnie się goiła i wkrótce znikł mi z oczu. Dostałam pod opiekę jeszcze brata listonosza, starszego Śpiewaka,

[86] Kazimierz Julian Załęski, ps. „Bończa", ur. 24.01.1919 r. w Radomiu; absolwent Szkoły Podchorążych Rezerwy Artylerii we Włodzimierzu Wołyńskim. W czasie kampanii wrześniowej walczył jako żołnierz 28 Pułku Artylerii Lekkiej. W czasie okupacji działał konspiracyjnie w ZWZ AK i Szarych Szeregach w Radomiu. Wobec groźby aresztowania w marcu 1944 r. uciekł z grupą harcerzy do lasu, gdzie został dowódcą zgrupowania NSZ „Las 3", który nazwał harcerskim oddziałem partyzanckim „Bończa". Po trzech miesiącach walk przeszedł wraz z podkomendnymi do AK i został dowódcą kompanii w 25 pp. Brał udział w bitwie pod Diablą Górą. Zapisał się jako szanowany i lubiany dowódca; odznaczony orderem Virtuti Militari i dwukrotnie Krzyżem Walecznych. Po 1945 r. zaangażował się w podziemie antykomunistyczne jako członek organizacji „NIE" w Kielcach i współpracownik wywiadu brytyjskiego. Aresztowany przez władze komunistyczne i skazany na pięć lat więzienia. Od lat 60. ubiegłego wieku aktywnie działał na rzecz upamiętnienia czynu zbrojnego AK, prowadził też działalność edukacyjną i charytatywną. W 2008 Prezydent RP Lech Kaczyński podniósł płk. Załęskiego do stopnia generała brygady; zm. 10.11.2009 r. w Kielcach – zob. P. Reising, *Opowieści generała „Bończy"*, Piotrków Trybunalski 2011.

GRZESZCZAK.indd 147 12.11.2024 20:23:58

i innych z czyrakami i wrzodami po całym ciele, które coraz bardziej w oddziałach dokuczały chłopcom. Śpiewak bardzo poważnie był ranny w głowę. Dostałam go już spod opieki lekarskiej, gdy najgorsze minęło. Musiałam mu tak głowę bandażować, żeby duża czapka zakryła bandaż. Nie potrzebował wtedy tak bardzo się kryć.

Teraz głowiłam się nad skontaktowaniem Oliwy z lekarzem, bo nie wiedziałam, co począć z tkwiącą w okolicy nadgarstka kulą. Nie wiedziałam, jakich zapatrywań jest doktor Tomaszewski, wysiedlony z Warszawy do Paradyża. Zorganizowałam kilku chłopaków i którejś niedzieli, gdy Paradyż zaludnił się ludźmi przybyłymi na odpust, nieznacznie obstawili mieszkanie lekarza. Oliwa był w pobliżu. Weszłam do lekarza i spytałam, czy zbada i udzieli porady bezinteresownie nieznanemu pacjentowi, zgodził się dość chętnie. Oliwa został zbadany. Lekarz orzekł, że kula może na razie pozostać i można ranę zagoić bez obaw. Zaczynają się już chłody jesienne. Nocne przeważnie wyprawy partyzantów nadal odbywają się.

Wieczorami, gdy wojsko ładuje się na ciężarówki, na kolejne wyprawy na partyzantów, siedzę godzinami w ustępie, skąd dobrze słychać ich rozmowy. Kilka razy udało mi się, z ich szwargotu i ukraińskiego gadania, uchwycić nazwę wioski, gdzie się wybierali. Prędko wtedy starałam się porozumieć ze Śpiewakiem, który miał już tam sobie znane sposoby szybkiego porozumienia się dalszego w razie potrzeby.

Po którejś takiej wyprawie, gdy mieszkałam nadal w tej małej chacie, jeszcze noc niezupełnie rankowi ustąpiła, włazi zrosiały i zmoczony Michałko. Usiadł na stołku markotny, że łóżko przeze mnie zajęte, jest jakiś zły i małomówny. Wobec takiej wizyty, nie ma co dłużej korzystać z wypoczynku, tylko ubierać się, zabierać moją torbę i wynosić się. Gdy już szykuję się do wyjścia, mimo rannej pory, Michałko, nie odwracając się, mówi do mnie:

– No co, idziesz do swoich partyzantów?

– Ty masz zawsze głupie pomysły – odpowiadam.

– A wot, charaszo, nie myśl, że ja taki głupi, ale się mnie nie bój, a to masz na pamiątkę, to od twojego ubitego partyzanta.

To mówiąc, wyciąga z kieszeni skrwawioną rogatywkę z orzełkiem partyzanckim wytapianym z ołowiu w formie z piasku, z ustrzeloną nóżką i z dziurą od kuli w czapce w tym miejscu (Orzełek po latach dałam do sucholeskiego muzeum przy Szkole Podstawowej, którym w tym czasie opiekował się pan Pilarczyk). Nie mogłam się opanować, czułam, że uczucia moje odbijają się na gębie. Ukrainiec spojrzał na mnie. Nie mogłam się opanować i palnęłam: „Świnia jesteś i ciebie to nie minie". Michałko na to: „Ja nie strzelałem, tylko wziąłem tę czapkę zabitemu dla ciebie, bo ty ich kochasz. Ja tu jeszcze ci coś dla nich przyniosłem, zrobisz im rosół, to prędzej ozdrowieją i będą mogli

GRZESZCZAK.indd 148 12.11.2024 20:23:58

znowu strzelać. Nie bój się, ja nic nie powiem". Wychodzi za drzwi i wlecze worek, z którego wyrzuca sześć tłustych zarzniętych kur. Bez słowa pakuję je z powrotem do worka, zostawiając jedną gospodyni, i wychodzę z nimi, póki jeszcze ludzie śpią, aby okólną drogą zanieść do melin chłopaków i opowiedzieć im o rozmowie z Ukraińcem. Rosoły, które pomagałam zjadać chłopcom, były naprawdę smaczne. Michałko na gwałt uczy się polskiego i już zupełnie dobrze mówi. Podobno niektórym z nich udało się zdezerterować w cywilnym ubraniu. Zdaje się, że Michałko w tym celu uczy się polskiego.

Teraz jestem zajęta, bo rannych nie można długo w jednym miejscu trzymać, poza tym chodzę do Piotrkowa. Miałam też wtedy duże kłopoty z bandażami, z maszynką do zastrzyków, z lekami.

Któregoś dnia w rozmowie z Konarem powiedziałam, że będę nazajutrz w Piotrkowie dla załatwienia pewnej sprawy i odwiedzenia znajomych. Konar rozpromienił się i przyznał, że pochodzi z Piotrkowa, gdzie jego ojciec służy w granatowej policji. Matka i chroma siostra, bardzo przez niego kochane, są odmiennych zapatrywań niż Konar. Uciekł do partyzantki, z domem nie może porozumiewać się, a bardzo tęskni do matki i siostry, i bardzo mnie prosi, żeby zajść do jego matki i powiedzieć jej, że on żyje, bo obawia się, że mogła do niej dotrzeć wiadomość o jego zranieniu, więc pewnie matczysko zamartwia się. Po namyśle poleciłam mu napisać parę słów i podać dokładny adres oraz opis wyglądu matki i siostry. Był uszczęśliwiony. Szłam wtedy jeszcze z meldunkiem, ale był to ostatni raz. Zdaje mi się, ze zmienili później łącznika. Wpłynęło pewnie na to moje przyznanie się do osobistej znajomości z panią Hanką, a może też okres sześciu tygodni był już za długi na częste kursy do jednej osoby w tym samym kierunku. Po załatwieniu zlecenia odnalazłam mieszkanie rodziców Konara. Drzwi otworzyła mi mizerna blondynka, utykająca na nogę, do rosłego Konara zupełnie niepodobna. Spytałam o matkę. Z sąsiedniego pokoju wyszła starsza już kobieta o zatroskanej twarzy. Podałam jej kartkę, prosząc o szybkie zrobienie paczki i zupełną dyskrecję. Zdziwiona z kartką podeszła do okna, bo zmrok już zapadł. Nigdy nie zapomnę twarzy tej kobiety przy czytaniu kartki od syna. O synu dostała wiadomość, że nie żyje, i ukrywała ją przed mężem. Zalewając się łzami radości, obie kobiety ściskały mnie na przemian. Nagliłam je do pośpiechu, bo nie miałam jeszcze uplanowanego noclegu. Gdy dowiedziały się o tym, powiedziały, że bezpiecznie mogę przenocować w łóżku Zdzicha, bo ojciec jego ma służbę i dopiero rano wróci. Dostałam wspaniałą kolację i wygodne łóżko. Rychło rano matka Zdzicha obudziła mnie, nagląc do pośpiechu, w obawie przed przyjściem męża. Zapomniałam wysłać kartkę do oflagu. Siostra Zdzicha ofiarowała się, że ją zaniesie do skrzynki, a ja boczną uliczką i krótszą drogą wydostanę się prędzej, omijając

GRZESZCZAK.indd 149 12.11.2024 20:23:59

miasto. Matce odmówiłam podania miejsca pobytu syna. Zabrałam dość ciężką paczkę i powędrowałam. Jakież było moje zdziwienie i przerażenie, gdy po paru dniach, wróciwszy do „domu" przed samą godziną policyjną, zastałam matkę Konara siedzącą w kącie izby i patrzącą z przerażeniem na kręcących się po izbie Ukraińców. Na mój widok twarz jej rozpromieniła się z wyrazem duszy z piekła, która nagle spostrzega swoje wybawienie. Moja gęba natomiast musiała być przerażona, o ile dobrze odbijała wewnętrzne uczucia. Przez mózgownicę zaczęły mi przebiegać błyskawice myśli, co ja z tą kobietą teraz zrobię? Przede wszystkim wyprowadzić ją stąd, ale gdzie i u kogo przenocować? Wychodzimy do ogródka. „Na litość Boską, co pani najlepszego zrobiła? Skąd pani do mnie trafiła?" Okazało się, że córka jej spamiętała dokładny adres zwrotny na kartce z oflagu, którą zaniosła do skrzynki. Matka Konara przepraszała mnie serdecznie, ale niepokój o jej syna był ponad wszystko. Z Piotrkowa przyszła piechotą, pierwszy raz w życiu odbywając taką podróż. W Paradyżu była już po południu i czekała w nieskończoność, zarzucana pytaniami mojej gospodyni i jej siostrzenicy. Ze strachem pytam, jak im się przedstawiła i o czym rozmawiały. Mówi, że była tak przerażona warunkami mego mieszkania, że tylko odpowiadała, że jest moją znajomą, i modliła się o szybki mój powrót. Po namyśle poszłam do Flisowskiej, która szczęśliwie ulokowała się, po nagłym wysiedleniu, w dość obszernej izbie, z prośbą o przenocowanie mojej znajomej. Zgodziła się chętnie i zajęła się nią gościnnie. Wcześnie rano poszłam po nią, czekała już gotowa do wyjścia. Musiała mi przysiąc na miłość do syna, że dziś jeszcze wróci do Piotrkowa i tylko pod tym warunkiem zobaczyć się może z synem. Nie mogłam sobie odmówić przyjemności obserwowania tej pary przy spotkaniu. Zdzichu naprawdę był maminsynkiem i teraz dopiero zrozumiałam, dlaczego do mnie często zwracał się per „muti" i dlaczego tak często opowiadał o matce. W szale wspólnej radości wyściskali mnie serdecznie oboje. Od tego dnia stale mnie „muti" nazywał i temat o matce był niewyczerpany.

Czas płynął, front zbliżał się i zima również. Chłopcy rozproszyli się, mam tylko Konara i Oliwę, którzy nie mają gdzie się podziać, straciwszy łączność ze swoim oddziałem Doliny[87]. Na ich utrzymanie

[87] Najprawdopodobniej Adolf Pilch, ps. „Pistolet", „Góra", „Dolina" (1914--2000); cichociemny, legendarny dowódca oddziału Kedywu na Nowogródczyźnie. Po brawurowym rajdzie z Kresów na Mazowsze w lipcu 1944 r., pod pseudonimem „Dolina" kontynuował walkę na terenie Puszczy Kampinoskiej oraz na Żoliborzu w czasie powstania warszawskiego. Po rozwiązaniu oddziału w styczniu 1945 r., udał się na emigrację do Wielkiej Brytanii – zob. A. Pilch, *Partyzanci trzech puszcz*, Warszawa 1992; R. Bielański, *„Góra – Dolina" Adolf Pilch*, Warszawa 2007; M. Podgóreczny, *„Góra", „Dolina" – partyzant niepokonany. Wywiad rzeka z cichociemnym Adolfem Pilchem*, Sopot–Warszawa 2015; S. Nowak, *Adolf Pilch „Góra", „Dolina"*, Warszawa 2021.

GRZESZCZAK.indd 150 12.11.2024 20:23:59

przestaję dostawać pieniądze, ale gospodarze trzymają ich bezinteresownie, Konara – Morawski, a Oliwę – Wach w Feliksowie[88]. Trzeba starać się dla nich o kennkarty i jakieś zajęcie. Przez bardzo nam życzliwego wójta, rodem z Wójcina, dostaję gotowe kennkarty, trzeba wpisać nazwiska i inne osobiste dane wypełnić. Uplanowaliśmy, że Konar, po otrzymaniu kennkarty, zgłosi się do kopania umocnień nad Pilicą w Sulejowie, skąd będzie miał możliwość kontaktowania się z matką i siostrą.

W moich wędrówkach poznałam panią Mirecką zza Buga. Miała tam dość zasobną gospodarkę, z której została wysiedlona. Mieszkała naprzeciwko. Męża jej zabili Niemcy. Dwóch starszych synów zwiało do lasu – byli w partyzantce, nie miała o nich żadnych wiadomości. Ona z najmłodszym dziewięcioletnim Józiem i resztą dobytku przywędrowała w okolice Paradyża. Mówiła śpiewnym akcentem, była energiczna i zaradna. Nie chciałam sama mieszkać i zaproponowałam jej sprowadzenie się do mnie. Chętnie się na to zgodziła i szybko zagospodarowała się w chacie, obejmując rządy. Teraz nie potrzebowałam się głowić o jedzenie. Dawałam jej pieniądze i stołowałam się u niej. Dbała o mnie tak samo, jak o Józia. Gdy wracam ciepło, czeka obiad i pani Mirecka. Bardzo miło.

Z wychodzeniem umawiałyśmy się zawsze tak, że jedna zostawała w domu. W dniu, w którym dowiedzieliśmy się o zajęciu Warszawy przez armię radziecką, a raczej jej ruin, zebrało się u nas kilkoro na kwaterze Konara. Był też Kruszewski. Na tę intencję wpłynęła dość dobra samogonka. Robiliśmy różne przypuszczenia co do naszej przyszłości. Zarwaliśmy dobrze godzinę policyjną. Bimber miał to do siebie, że właził w nogi. Ja piłam damskie porcje, więc tak tego nie odczułam. Wyszliśmy razem z Kruszewskim. Na świeżym powietrzu zupełnie mu się nogi splątały i musiałam go aż pod sam Kazimierzów podprowadzić. Ze strachem wracałam do Paradyża. Wartownik Ukrainiec podśpiewywał jakąś smutną dumkę. Nie sprawdził nawet dokumentów i przepuścił, ale lezie za mną. W pewnej chwili chwyta mnie i chce całować. Pod tym względem sława ich już była wielka. Włosy więc zjeżyły mi się ze strachu. W odruchu samoobrony trzasnęłam go z całych sił w gębę, nie zastanawiając się nad możliwościami żołdaka trzymającego karabin. Skutek był wręcz niespodziewany. Wyprostował się, zasalutował, mówiąc: „A wot, charaszo dziewczyna". A ja z kopyta ruszyłam do domu, gdzie czekała na mnie zaniepokojona Mirecka.

Zdobyłam kennkartę dla Konara. Nie widziałam go już dawno. Dałam znać, aby po nią przyjechał. Przyjechał na moim rowerze. Z niecierpliwością czekał na kennkartę, bez której nie mógł się

[88] Prawdopodobnie gospodarstwo Wincentego i Anny Wachów z Feliksowa.

GRZESZCZAK.indd 151 12.11.2024 20:23:59

nigdzie ruszyć. Wypisaliśmy ją wspólnie, zmieniając tylko nazwisko i miejsce urodzenia. Teraz należy książeczkę podniszczyć, żeby nie była tak idealnie świeża. Gdy właśnie mieliśmy się do tego zabierać, ja siedząc na niskim stołeczku, a on stojąc przede mną, włazi dwóch żandarmów. Czułam, że przyrosłam do stołka, a Zdzichu ma niebywale głupią minę. „Czyj to rower?". „Mój służbowy – jestem agronomką". Mówię, nie ruszając się, bo czuję, że nogi mi sztywnieją. Na opartych na kolanach łokciach podpieram dłońmi brodę, żeby mi zęby nie kłapały, a nogi się nie trzęsły. Zdzichu, żebyś się tylko opanował! „A on kto?" „Mój znajomy". „Ooo, taki młody!" – mówi Niemiec z ironią. „Zobaczymy – kennkartę!" Zdzichu trzyma ją w ręce, Niemiec odbiera. Przegląda pieczęcie, podpisy, wszystko w porządku. Trzymając kennkartę, zadaje pytanie: „Data urodzenia?". Zdzichu odpowiada. „Miejsce urodzenia?" – cisza. Zdzichu patrzy na mnie rozpaczliwie, zapomniał. Wiem, że Łódź, i we wzroku, którym patrzę w oczy Zdzicha, koncentruję całą wolę, całą siebie, aby w nim wyczytał „Łódź". Oczy Zdzicha stają się jakieś bez wyrazu i jakimś komicznym głosem powtarza moją myśl – „Łódź". Szczęściem, obaj Niemcy wpatrzeni byli w kennkartę. Nie znajdując w niej nic podejrzanego, oddali mu ją i bez słowa wyszli. Zapanowała chwila milczenia. Żadne z nas nie było zdolne coś powiedzieć ani ruszyć się. Gdy ucichły kroki Niemców, chwycił mnie za gardło jakiś skurcz, zaczęłam śmiać się, równocześnie płakać, trzęsłam się cała, nie mogąc wstać ze stołka. Jakieś czarne płatki zaczęły mi skakać przed oczami i gdzieś z oddali usłyszałam przerażony głos Zdzicha: „Co pani jest?". Dość długa chwila przeszła, nim mi to minęło. Zdzichu z jeszcze większym przerażeniem, niż na żandarmów, patrzył na mnie. Myślał, że zwariowałam. Gdy mi to przeszło, poczułam silny ból głowy i niesamowite zmęczenie. Zdzicha odprawiłam czym prędzej. Nie widziałam go już więcej i nie wiem, jak dalej sobie radził.

Dostaliśmy wezwanie na zjazd agronomów do Tomaszowa. Zdaje się, że wszystko nadal skutecznie funkcjonuje, ale Polacy już śmielsi, mniej zachowują ostrożność. Niemcy jacyś pobłażliwsi. Do Opoczna idę. Mam już nowy kożuszek i taką samą spódniczkę. Uszyła mi pani Malinowska. Kożuszek taki wygodny, że aż lżej się chodzi. Nie wiem, co się Michałowi stało, ale przywiózł mi ten materiał i mimo mojego protestu zostawił w prezencie. Czuję w tym robotę Flisowskiego. Pewnie mu opowiedział o mojej przygodzie z psami i o opłakanym stanie pokrycia. Idę tedy raźnym krokiem do Opoczna na pociąg w nowym kożuszku, bardzo z tego powodu z siebie rada. Mija mnie bryczka zaprzężona w parę kasztanów, prócz furmana młody oficer niemiecki. Gdzie ja taką bryczkę wysoką, żółtą i rącze kasztany widziałam? Aha! W Oborach taką jeździłam. Siedziałam tam, gdzie teraz Niemiec. Ciekawam, jak ja wtedy wyglądałam, to już było bardzo

GRZESZCZAK.indd 152 12.11.2024 20:23:59

dawno. Tak się dużo od tego czasu zmieniło. Niemiec odwraca się, trąca furmana, bryczka staje. Niemiec kiwa na mnie. Bez obaw podchodzę, mam w kieszeni służbowe wezwanie. Ach, to ten uprzejmy Niemiec z Wielkiej Woli. Pyta się, gdzie idę, i proponuje mi zabranie się. Wstyd mi było siedzieć obok Niemca, ale nagle ogarnęła mnie nieprzeparta ochota przejechania się, tak jak dawniej. Ta bryczka i te konie takie były podobne do tych we wspomnieniach. Niemiec mówi łamaną polszczyzną, ale jakoś mogę go zrozumieć. Z ożywieniem opowiada, że jest Austriakiem spod Wiednia. Mocno podkreśla, że nie jest Niemcem i nie z własnej chęci nosi mundur. Ma już dość wojny. Do wojska wzięty z gimnazjum, młodsza siostra już medycynę studiuje, a on co będzie robił, jak wróci? Tęskni do domu, a o urlopie mowy nie ma, boi się o dom i rodzinę, bo tam stale naloty i bombardowania. Pokazuje mi zdjęcia rodziców, siostry, ich domu. Wypytuje mnie, skąd pochodzę. Jest zdziwiony moim opowiadaniem o wysiedleniu i jego sposobie. Dojeżdżamy do Opoczna, tu ruch niebywały. Po obu stronach szosy masa ludzi kopie w zamarzniętej ziemi zygzakowate rowy, wąskie a głębokie. Wiem, że to już tu zabezpieczenia. A jeszcze zebranie agronomów! Pytam naiwnie Niemca, do czego te rowy. Patrzy na nie obojętnie i po pewnej chwili odpowiada: „To są groby dla nas". Jego dotychczasowe ożywienie ustępuje jakiejś obojętności życiowej i sztucznemu spokojowi: „Ze strachem myślę o przyszłości po tak długiej przerwie w normalnym życiu, ale teraz wątpię, czy do swoich już wrócę, i te rowy moim też będą grobem". W krótkim czasie po tym, gdy widziałam te rowy rzeczywiście zapełnione ludzkimi i końskimi trupami, często ten młody Austriak przychodził mi na myśl.

Zebranie w Opocznie było bardzo liczne. Rozmowy ożywione, gęby rozpromienione. U „Szwabów" ostatnie podrygi, wszyscy tego zdania. Przemawia kreislandwirt. Dusimy się z tłumionego śmiechu. Mówi, że wierzy w naszą życzliwość i sumienność w wykonywaniu obowiązków, i prosi o wytężenie pracy w tych przełomowych dla Rzeszy chwilach. Opowiada o dzikim okrucieństwie Moskali, o reformie, którą wprowadzą w razie przyjścia, o konieczności wytężenia wszystkich sił dla wspólnej obrony przed bolszewikami. Wreszcie zwraca się do nas: „Proszę o wstanie tych, którzy chcą być pod rządami Moskali". Cisza zaległa salę, nikt nie wstał. „Proszę wstać tych, którzy chcą być pod rządami Rzeszy". Cisza nadal, wszyscy siedzą bez ruchu. Niemiec popatrzył dłuższą chwilę po licznie zgromadzonych. „Tak, rozumiem, dziękuję". Zwiesił głowę i bez słowa wyszedł. Sala wybuchnęła śmiechem. W dobrych humorach rozjechaliśmy się do domów. Gdy pomiędzy Niemcami trafił się Austriak, był to zawsze nieszkodliwy, uczciwy chłop. Najgorsze szatany były te wychowane na polskiej ziemi. Do takich poczciwych Austriaków należał

GRZESZCZAK.indd 153 12.11.2024 20:23:59

bezirklandwirt[89] z Opoczna. Mieszkał poza miastem w jakimś dworze. Ludzie pod nim mieli dobrze. Nikt nie narzekał. Miał służbowy samochód, którym często podwoził przechodniów spotkanych na szosach. Jego szofer, znając ten jego zwyczaj, bez pytania zbierał już przechodniów dążących do Opoczna. Mnie kiedyś też zaoszczędził zdarcia butów na piętnastu kilometrach. A buty szybko zdzierały się. Te dostawane na bezugschein miały podeszwy tekturowe. Bezirklandwirt oddał mi jeszcze jedną przysługę. Gdy wróciłam do Paradyża ze Stawowiczek[90], dowiedziałam się, że Mundek[91] Sobiech jest ciężko chory. Czech pracował nadal w mleczarni i obaj zajmowali wspólny pokój. Poszłam kiedyś Mundka odwiedzić. Leżał w łóżku, pościel brudna, on zmieniony nie do poznania, dostał suchot. Leży bez żadnej opieki. Wypytuję go o brata – księdza. Dobrze mu się powodzi, jest przy jakimś zakonie, biorę jego adres. Wysyłam list z przedstawieniem faktycznej sytuacji Mundka, z której Czesław nie zdaje sobie sprawy. Ksiądz odpisuje, żeby Mundek przyjechał do Nowego Miasta[92], a on sam po niego przyjedzie, oznacza dzień spotkania. Porozumiewam się z gminą i po dłuższych targach dostaję podwodę w jednego lichego konia. Ale Mundek już siedzieć nie może. Wyścielam jak najwygodniej wóz i w doprowadzonej uprzednio do jakiego takiego stanu pościeli układamy Mundka. W obawie o krwotok zabieram z mleczarni kanę lodu. Wyruszamy jak najwcześniej, turkoczący wóz po kocich łbach męczy chorego. Koń podobny do Mundka, ledwie nogami przebiera. Z trudem dobijamy siedemnaście kilometrów do Opoczna, a tu jeszcze do Nowego Miasta. Nie da rady – każę jechać do bezirklandwirta. Walimy na podwórze. Idę i przedstawiam sprawę, proszę o konia na dalszą drogę. Niemiec nie wyszedł do mnie, rozmowa toczy się przez służącego. Dostaję parę wyjazdowych koni. Zmieniają dyszel do wozu koni – mizerota dostaje obrok, a parą rączych koni zajeżdżamy na rynek Nowego Miasta. Równocześnie z przeciwnej strony zajeżdża półokryty powóz wypchany korpulentną figurą księdza Sobiecha. Jest przerażony stanem Mundka. W pościeli lokujemy go w powozie. Żegnamy się, ruszając każdy w swoją stronę. Mundek, mimo intensywnych zabiegów, w parę tygodni zmarł. Bezirklandwirt nie ukazał mi się, ani też nie zdradził chęci i ciekawości dowiedzenia się, kto jest chorym, którego przewożę.

W Paradyżu stale jakieś sensacje. Któregoś dnia rozchodzi się pogłoska, że Niemcy w okolice nasze ściągnęli Tatarów. W ogóle, czego tam pod koniec wojny Niemcy w swym wojsku nie mieli! Nie

[89] Okręgowy pełnomocnik III Rzeszy do spraw rolnych, zob. s. 56.
[90] Na początku 1942 r.
[91] Edmund.
[92] Nowe Miasto n. Pilicą.

GRZESZCZAK.indd 154 12.11.2024 20:23:59

chcieliśmy wierzyć w tych Tatarów. Aż tu któregoś dnia pędzi wszystko na ulicę, biegnę i ja. Walą Tatarzy, myślałam, że to jakaś maskarada. No i zobaczyłam autentycznych Tatarów na małych kudłatych konikach. Pędzi to bractwo galopem. Chłopiska o dzikich gębach, wąsate, ślepia skośne, z tych koni sięgają prawie nogami ziemi. Pokrzykuje to dziko. Kożuchy włosem do góry, czapy o kolorowych denkach, obszyte baranim futrem. Portki szerokie, też kolorowe. Najwięcej ciekawiły mnie konie, przeważnie jakiejś maści nieokreślonej, szaroczarnej, zgrzane to, dymiło parą. Stajni nie widzi, żre byle co i posuwa się albo stępem, albo galopem, któremu i duży koń nie dorówna. Podobno ci Tatarzy jeszcze gorsi niż Ukraińcy. Ale przeleciało to jak błyskawica i bezpowrotnie zniknęło. Bogu dzięki! Podobno podczas jakiejś potyczki z partyzantami schwytali jednego partyzanta i przywiązanego do konia wlekli, że jedynie strzępy z niego pozostały.

Co dzień nowe sensacje, nowiny coraz pomyślniejsze o zbliżającym się froncie. Mam znowu zebranie w Tomaszowie. Zastanawiam się, czy jechać na to wezwanie. Po namyśle wyruszam w drogę do Opoczna. Na ulicach Opoczna widać dużo cywilnych Niemców bardzo podenerwowanych. Idę na stację, a tu istne piekło. Czego tam na wagony nie ładują, i graty i inwentarze, stosy bagaży, zgiełk. Bałagan niespotykany u Niemców. Wśród zgiełku najczęściej słychać wykrzykiwane: „Shnell". Uciekam z tego piekła, idę na Gorzałków[93]. Pan Roman S., na wysokim fundamencie długich cholew, kiwa swą wielką figurą, u szczytu której widzę wąsiska popodkręcane do góry, w poczciwych oczach figlarne ogniki: „Widziała pani ich, była pani na stacji?". Gościnnie zaproszona zostaję na noc. Wieczór spędzamy wesoło. Nazajutrz, nie spiesząc się z powrotem, schwyciłam jakąś furmankę jadącą do Paradyża. O dziwo – Ukraińców już tam nie ma. Dawno podobno w popłochu wyjechali.

Słychać coraz bliższe detonacje. Wszyscy są podenerwowani i z obawą oczekują następnych chwil. Przed wieczorem wchodzi do naszej izby dwóch Niemców, starszy i młodszy, obaj bardzo zmęczeni. Proszą o coś ciepłego do picia. Ugotowałam kawy i zgrzałam wody. Odgrzałam resztę z obiadu. Jedzą łapczywie. Proszą o możność umycia się. Nogi i ręce drżą nerwowo. Mimo wszystko wzbudzają litość. Obaj robią wrażenie dobrych i spokojnych ludzi, okrucieństwem wojny wepchniętych w jej udział. Nagle huki stają się tak bliskie, że szyby zadzwoniły. Budzą Niemców. W pośpiechu ubierają się, zapominając o karabinach. Przypominam o broni, biorą ją z lekceważeniem, jak rzecz zbędną. Dziękują za gościnę i podają rękę! Cofam swoją w milczeniu. Spojrzeli na siebie i łzy zakręciły się im w oczach. Nie salutując, ukłonili się ze słowami: „Tak, rozumiemy

[93] Obecnie dzielnica Opoczna, dawniej podmiejska wioska.

GRZESZCZAK.indd 155 12.11.2024 20:23:59

was". Ulicami maszerują zwarte szeregi wojska. Jest to szybki marsz, ale idzie wszystko równo i składnie. Przejeżdża artyleria. Nastaje noc, zasypiamy przy rytmie równego kroku wycofującej się armii. Niespokojny sen przerywa nagła cisza. W tym czasie cisza mogła sen przerwać, cisza niepewna. Strachem przed czymś nieznanym, a oczekiwanym. Wychodzę z chaty. Pusta szosa, nie widać żywego ducha. Mirecka chrapie donośnie. Kładę się. Otulam się derą i kożuszkiem, bo styczniowy mróz, mimo późno wygasłego ognia, zagląda do chaty, i zasypiam. Nagle zrywam się. Budzi mnie nerwowe wołanie Mireckiej:

– Słyszy pani czołgi ruskie?

– Co pani wygaduje, przed chwilą szli Niemcy.

Słychać nieznany mi dotychczas łomot. Biegniemy do okna. Przez zamarzniętą szybę nic nie widać. Nie widziałam jeszcze Mireckiej tak podnieconej. Wybiegam w koszuli na szosę i zza węgła chaty nasłuchuję. Słychać wśród łomotu czołgów język ruskich żołnierzy, obok czołgów biegną w nieładzie, pokrzykując. Raczej to wygląda na ucieczkę. Wali to wszystko bezładnie. Jednostajny łomot dzwoni w małe szybki naszej chaty, które dygotały jak w febrze do piątej rano. Nagle cisza i oczekiwanie czegoś nowego ściska strachem serce. Zmęczenie napędza sen napełniony majakami i widziadłami. Skoro się rozwidniło z tego męczącego wypoczynku, podnosi mnie na nogi jakiś zgiełk przy chacie. Wybiegłam, aby czym prędzej cofnąć się w przerażeniu przed widokiem, jaki zobaczyłam o parę metrów od proga. W szarym niemieckim mundurze klęczy starszy człowiek o poczciwej twarzy i błagalnych oczach. Zasłania się obu rękami przed ciosem kolb karabinów tłoczących się wokół niego żołnierzy radzieckich, krzyczących zajadle. Widziałam, jak złamana ręka zwisła bezwładnie, odsłaniając ciosom gołą głowę. Zawarłam drzwi i trzęsłam się z przerażenia. Wkrótce krzyki ucichły i słychać było tupot butów oddalających się w stronę szosy. Dużo czasu minęło, nim odważyłyśmy się wyjść z chaty, zmuszone przynieść wody do śniadania, o które głodny Józio dopominał się. Mirecka kategorycznie oświadczyła, że nie idzie. Zresztą nie pozwoliłabym jej, ona ma dziewięcioletniego syna, ja jestem sama. Po wodę trzeba było przejść przez szosę. W obawie, że leży gdzieś blisko zmasakrowany trup Niemca, nie rozglądam się.

Po przeciwnej stronie szosy stoją czołgi. Wielkie, potężne, pokryte kurzem, w którym przebija biało namalowany numer i litery U.S.A., które przykuły moją uwagę. Krążył potem dowcip, że stary pyta żołnierza radzieckiego, co oznaczają litery U.S.A. na czołgach, ten bez wahania odpowiada: „Ubijut Sukinsyna Adolfa". Wybieram lukę między tymi potworami, opanowuję drżenie łydek i już szczęśliwie dochodzę do przeciwnego chodnika, gdy nagle spostrzegam pod

GRZESZCZAK.indd 156 12.11.2024 20:23:59

gąsienicami czołgu... „O zgrozo, to pewnie ten Niemiec spod kolb". W pozycji siedzącej, ściśnięty przez szynel łańcuchem czołgu, uplasował się kadłub, który zamiast głowy ma bezkształtną masę, z której zwisają czarne sople. Obok obojętnie kręcili się Rosjanie. Czuję jakieś niewidzialne kleszcze, zaciskające gardło, jakiś hak wydziera mi przez nie do żołądka. Ciemne koła zawirowały w oczach. Ostatkiem siły woli dobiegam do chaty z pustym wiadrem. Zaczęłam się dławić wymiotami. Chwilę potem czołgi ruszyły. Dudniły znowu parę godzin. Gdy ucichły, wyszłam znowu po wodę. Na szosie leżała kupa, jakby rozjechanego nawozu – to była mogiła tego Niemca, który pokutował za grzechy rodaków. Gdy przez parę dni na szosie był spokój, zbierały się tam kruki, ucztując jak wróble na końskim łajnie.

Gdy następnego dnia wyszłam, ujrzałam na rynku paradyskim szereg Niemców wziętych do niewoli. Przedstawiali opłakany obraz. Szczególnie utkwił mi w pamięć stary Niemiec, wyższy rangą, z obandażowaną głową i ręką na temblaku. Ledwie popołudnie minęło, zaczyna się piekło. Nie można się zorientować, skąd i gdzie te strzały. Potężne wybuchy słychać ze wszystkich stron. Robi się od razu ciemno, noc ze słonecznego przed chwilą dnia. Gdzieś spoza czarnych dymów i języków ognia przebijają mdłe promienie słońca. Chata nasza trzęsie się, oklejone papierem szyby pękają. Tak, jak nagle wybuchło piekło, tak nagle ustało. Stopniowo dymy przecierają się i jeszcze ukazuje się światło dnia. Ciekawam, jak tam Paradyż po tej burzy wygląda. Opanowałam już strach, ciekawość wzięła górę. Chciałam zasięgnąć języka i zorientować się, co dalej poczynać, bo przecie w tych warunkach chata nasza nie utrzyma się, a my z nią. Mimo protestów Mireckiej korzystam ze spokoju i wychodzę. Wszędzie pusto. Mam zamiar dotrzeć do znajomych z mleczarni. Gdy jestem gdzieś przy czwartej chacie, zaczyna się znowu. Wpadam na podwórze. Drzwi do piwnicy pod domem otwarte. W ostatniej chwili wbiegam tam. Ciemno, nic nie widzę, ale wyczuwam czyjąś obecność. Gdy oczy do ciemności przywykły, spostrzegam kogoś w najdalszym kącie. To nikt z miejscowych. Nieznacznie śledzę. Ku przerażeniu – orientuję się, że to Niemiec z karabinem. Jeszcze nie ucichło zupełnie, gdy z piwnicy wyprysłam i nie zważając na nic, biegnę do domu. Odechciało mi się zwiadu.

W chacie zastałam pełno oficerów rosyjskich. Rozgospodarowali się na dobre. Stół założony niemieckimi konserwami. Jedzą palcami niechlujnie, paprząc stół. W sieni siedzi starszy wiekiem żołnierz ze starym karabinem. Twarz poczciwa, zmęczona. Skwaszona Mirecka przysiadła z wystraszonym synkiem Józiem w kącie. Mówi, że żołnierz w sieni to zmęczony wartownik magazynu ze zbożem, który ma u nas mieszkać. Wojskowi stale wchodzą i wychodzą. Nie mamy się gdzie podziać. Stary żołnierz, patrząc na zostawiony przez oficerów

GRZESZCZAK.indd 157 12.11.2024 20:23:59

w okropnym stanie stół, kiwa smutnie głową i mówi do mnie: „O wot tak, dziś je nasza starszyzna!". W tym kołowrocie ludzkim, nieustającym huku, nie wiem, kiedy przechodzi dzień i noc.

Pamiętam jeden oddział na pięknych siwych koniach. Oficerowie rozłożyli mapy sztabowe, szukając okolicznych miejscowości. Ciekawiło mnie to i patrzyłam z boku, aby dorwać się do mapy i zbadać drogę do Obór. Zdziwiona byłam słabą orientacją oficerów w sztabówce. Gdy im pokazałam szukane przez nich miejscowości, zaczęli podejrzliwie na mnie patrzeć, ale co mi tam. Tak ołówkiem na kartce z ich notesu wyszukałam sobie drogę do Obór. Chwilowy spokój. Zmęczony Józio kładzie się w ubraniu spać. Mówi, klęcząc na łóżku, pacierz. Zaledwie zaczął, drzwi znowu otwierają się. Ukazuje się grupa wojskowych. Pierwszy z licznymi gwiazdkami, przystojny mężczyzna o inteligentnej twarzy. Ruchy jego były łagodniejsze niż kolegów, którzy widać liczyli się z nim. Chcącemu się obejrzeć Józiowi daję znać, aby nie przerywał modlitwy. Oficer staje, wpatruje się w chłopca. Twarz zmienia mu się, surowy wyraz łagodnieje, oczy nabierają dziwnego wyrazu. Staje nieruchomo wpatrzony w chłopca i w tej pozycji pozostaje do końca jego modlitwy. Po dłuższym milczeniu mówi, jakby zbudzony ze snu: „Przecież ja z matką też się tak modliłem". Podszedł do Józia, pogładził po głowie i bez słowa, ze łzami w oczach wyszedł. Podczas tej sceny towarzysze jego milczeli, mając twarze skupione, jak podczas nabożeństwa w kościele. Po dotychczasowym zetknięciu się z wojskiem rosyjskim, byłam zaskoczona zachowaniem się tej grupy.

Nadeszła noc, noc makabry. Wieczór nic złego nie zapowiadał. Stary Moskal, stróżnik, zwrócił się do Mireckiej, aby wraz ze mną szła do magazynu, to wyda kilka worków zboża. „Bo – mówi – gdy tu dłużej pobędziemy, nie będziecie miały co jeść, ja tam daleko też zostawiłem gospodarstwo i żonę z dziećmi, nie wiem, co się z nimi dzieje, też pewnie głodują". Mirecka poszła i uginając się pod ciężarem, przywlekła kilka tych worków. Zła była na mnie, gdy jej tłumaczyłam bezsens tego trudu. Byłam bezgranicznie zmęczona. Położyłam się obok Józia, starając się nie zasnąć. Wpadam w półsen, z którego wyrywa mnie świadomość bliskiej obecności kogoś i namiętny proszący szept: „Hadziajka, pozwól, już tak dawno kobiety nie miałem, może już nie wrócę do swoich!". Skoczyłam na równe nogi, ogarnięta przerażeniem. Chłopisko spojrzało z wyrzutem na mnie i mamrocząc, odeszło skonfundowane. Długo tak jeszcze trzeba będzie czuwać bez snu? Poczciwiec kręcił się niespokojnie, oglądał karabin, narzekał, że zacina się. Zaleca nam ubrać się i przygotować do opuszczenia chaty. Nagle męczący spokój zagłuszony został nowym terkotem i piekłem wybuchów. Szyby z okien powylatywały, chata trzęsła się. Z Mirecką i Józiem wskoczyłyśmy do piwniczki, do której drzwi były w chacie.

GRZESZCZAK.indd 158 12.11.2024 20:23:59

Zapobiegliwa Mirecka zdążyła pościele pozwiązywać w prześcieradła. W piwnicy ciemno, zagrzebuję w piasek moje dokumenty agronomki. Józio trzęsącymi ustami powtarza: „Jezus, Maria, Józefie św.", bez końca w kółko. Jakieś kocisko miauczy przerażone nad naszymi głowami. Wszystko trzęsie się. Uchylam lekko drzwi, chcąc wpuścić kota. Zostawiam małą szparę. Drzwi piszczą, słychać kroki. Widzę dwóch ruskich, poznaję po walonkach i po rozmowie w języku rosyjskim. Stają przy drzwiach wejściowych, naradzają się. Wyszli nie wiem kiedy, cisza. Robię większą szparę, mimo protestów Mireckiej. Staram się widzieć drzwi. Znowu lekko otwierają się. Ostrożnie wsuwa się wysoki, bardzo przystojny mężczyzna, z fajką w zębach, w niemieckim mundurze, z karabinem RKM w ręku, gotowym do strzału. W tym piekle i w tej jego sytuacji zdumiewający jest jego spokojny wyraz twarzy. Ostrożnie zamknął drzwi, obejrzał fajkę, poprawił w niej tytoń. Popatrzyłam przez szparę zdumiona. Wtem Niemiec nagłym ruchem chwyta karabin i wymierza mi wprost w oczy. „Panie – wołam, tu są kobiety i dziecko". Podnoszę drzwi i pokazuję. Chwilowy odruch na twarzy pokrywa znowu obojętność i spokojnym głosem mówi: „Tür zumachen!"[94]. Ciemność znowu nas ogarnia. Wpycham Mirecką i Józia pod ścianę piwniczki, spodziewając się na pewno niezbyt salonowych spotkań ze zmieniającymi się co chwila przybyszami.

Już nic nie wiem, co się dzieje. W uszach zdają się popękać bębenki, ze ścian obsypuje się ziemia, kot znowu miauczy, musi nikogo w chacie nie być. Nagle wybuch, sypią się cegły z komina, dociera do nas swąd ognia. Z przerażeniem orientuję się, że chata pali się. Wyskakujemy z piwnicy, chwytamy tłumok z pościelą, zarzucając wysoko na ramiona. Józia zasłaniamy sobą. Przy barytonie dział słychać wysoki sopran broni ręcznej. Najbardziej denerwuje mnie złośliwy gwizd rewolwerów, „fiut, fiut". Czuję lekkie uderzenie w tłumok z pościelą, tuż nad głową. Boję się, żeby nie stracić panowania nad sobą. Wybiegamy. Między chatą a studnią stoi wóz wojskowy, zaprzężony w parę tęgich koni, kasztana i siwego. Stoją rozkraczone i trzęsą się, bezgranicznie przerażone oczy. Parę kroków za studnią jest kopiec z kartoflami, tuż pod murem od piekarni, w którym u góry jest małe okienko. Chata pali się. Zrzucamy tłumoki i wskakujemy za kopiec, kładąc się plackiem. Straciłam orientację, co za pora dnia czy nocy. Jest ciemno od dymu, czerwono od płomieni, to wszystko rozbłyskuje jasnymi światłami pocisków. Piekło. Strach odbiega ode mnie. Mirecka z głową wtuloną w zmarzłą ziemię leży jak martwa. Józio głośno powtarza swoje: „Jezus, Maria, Józefie św.!". Co będzie dalej, czy to już ostatnie nasze chwile. Staję się śmiesznie spokojna, wprost mnie interesuje niezwykły obraz, gra świateł, znajduję jakiś rytm

[94] Zamknąć drzwi!

GRZESZCZAK.indd 159 12.11.2024 20:23:59

harmonijny w hukach, gwizdach i światłach, przeróżnych gatunkach broni. Nie wiem, jak długo trwa, czuję, że ziemia, na której leżę, staje się lepka i obślizgła. Spostrzegam z obrzydzeniem, że leżę na odchodach ludzkich, które obsmarowują mój kożuszek. W momencie, kiedy z obrzydzeniem chcę zmienić pozycję, coś, jakby silny wiatr przydusza mnie do ziemi. Przeraźliwe detonacje. Na głowę sypie mi się tynk i grudy ziemi. Wysoko gdzieś nad miejscem, gdzie stał wóz, fruwają w powietrzu duże końskie nogi, kawałki drzewa, wszystko przeplecione jaskrawym promieniem w szarym pyle. Czy złudzenie – przecież to tam gdzieś z góry spada noga z kawałkiem szynki, błyska podkowa. O Boże, co to jest? Przy tym wszystkim machinalnie unoszę oczy ku niebu. Ale prędzej głowę spuściłam niż wzniosłam. Nade mną z okienka wycelowana lufa karabinu. Przywarłam mocniej do ziemi. Po rozejściu się dymów, gdzie stał zaprzęg, dostrzegam jedynie koło, obok dość głębokiej lejowatej dziury i z boku nasze tłumoki z pościelą zaczynające się tlić. Mamy dosyć tego piekła.

Korzystając z chwilowej ciszy, chcemy przedostać się do kościoła, w którego podziemiach pokryli się mieszkańcy Paradyża. Mireckiej zachciało się jeszcze ratować tłumoki i wpada na pomysł upuszczenia koła do studni, a na nie wrzucenia rzeczy. Robota poszła piorunem. Dociekła kobieta dopięła swego. Popędzam ją, bo czuję, że spokój niedługo potrwa. Biegniemy przez bramę piekarni. W bramie od strony ulicy klęczy rosyjski żołnierz na jednym kolanie, opierając o nie karabin. Przebiegając, spojrzałam na niego. Z czerwonej zadymionej twarzy zwisa na mięśniu oko z kapiącym zamarzłym soplem krwi. Ulicą spokojnie przejeżdżają wozy z taborami. Nie orientuję się, jaka to pora dnia, ani ciemno, ani widno, jakby gęsta mgła. Biegniemy ku kościołowi.

Przed kościołem podwórzec z krytymi stacjami, a przed tym alejka z wysokimi drzewami. I tu nas znowu łapie „burza". Rozpętało się na nowo. Za mną rozrywa się pocisk. Padam na schodki przed „stacjami". Czuję pod sobą coś miękkiego. Zawirowało mi w głowie. Gdy oprzytomniałam, ujrzałam siebie leżącą na trupie Niemca. Brr! Mirecką i Józia zagubiłam. Wiem, że też dotarli do podziemi kościoła, ale już przez parę następnych dni nie spotkałam ich. Gdy wbiegłam na korytarz klasztoru, zauważyłam trupa przykrytego prześcieradłem. Był nim jeden bardzo uczciwy paradyżanin, ojciec kilkorga dzieci. Szedł po wodę dla tych dzieci, trafiła go kula, która wpadła przez okno. Ludzie zgromadzeni byli w podziemiach kościoła, gdzie znajdowały się trumny ze zmarłymi zakonnikami. Trumny stały na półkach, z których zostały usunięte, a ich miejsce zajęli żywi ludzie. Spotkałam tam Ewka Tyczyńskiego. Ułatwił mi dostanie miejsca na takiej półce, ale wypocząć nie mogłam. Ludzie ogarnięci paniką gorsi byli dla moich nerwów niż gwiżdżące kulki.

GRZESZCZAK.indd 160 12.11.2024 20:23:59



Ślub Marianny Borowskiej i Zdzisława Bochniaka, Paradyż, 30.06.1945. W tle kościół w Paradyżu ze zniszczonymi hełmami wież. Fot. ze zbiorów Jadwigi Bochniak

Przyszedł ksiądz proboszcz i udzielił wszystkim zespołowo absolucji. Zmówiliśmy modlitwy za konających i oczekiwaliśmy ostatniej chwili, która – zdawało się – nadchodziła. Jedni płakali, inni jakichś drgawek dostawali, ogólnie odnosiłam wrażenie, że wszyscy w obłęd wpadli. Razem z Ewkiem wydostaliśmy się z tego tłumu i poszliśmy na parter do pustej celi z wybitymi szybami w oknach i z dziurami od pocisków w ścianach. Jedna z dwu wież kościelnych dymiła i czerwone języki ognia wyłaziły za ogród klasztorny. Wyjrzałam przez okno. Pod murem ogrodu za krzakami porzeczek niemiecki żołnierz przebierał się nerwowo, zrzucając mundur, a naciągając cywilne ubranie. Nadeszła znowu noc. Trochę się uciszyło. Około północy wtargnęli żołnierze radzieccy z karabinami gotowymi do strzału i elektrycznymi latarkami: „Czy są Niemcy? Jeśli wśród was znajdę Niemca, wszyscy będą rozstrzelani".

Wreszcie spokój. Już świta! Za dnia wychodzimy. Większość chat spalona. Ta, w której mieszkaliśmy z Mirecką, również. Spotykam Mirecką przy studni, gdzie są nasze rzeczy. Ale jak je wydostać? Są nad wodą, na kole. Jednak Mirecka dobry miała pomysł. Ubolewa nad obrazami świętymi, które w chacie spłonęły. Mirecka zdobyła gdzieś drabinę. Upuściła do studni i złazi po niej po rzeczy. Ja na zewnątrz mam odbierać. Dookoła pełno biwakujących podchmielonych żołnierzy rosyjskich. Drabina krótka, nie mogę sięgnąć tłumoka podawanego przez Mirecką, bo cembrowina wysoka i boję się, że stracę równowagę i wpadnę do środka. Jestem połową ciała w studni, a nogi dyndają w powietrzu. Na zewnątrz śmiechy żołnierzy. Wreszcie

GRZESZCZAK.indd 161 12.11.2024 20:23:59

czuję, że coś mi pod nogi podsunęli. Oparłam się mocno i pierwszy tłumok wyrzuciłam, odebrałam drugi i trzeci już trochę zamoczony. Wreszcie ciągnę Mirecką. Teraz dopiero widzę, co mi usłużni żołnierze pod nogi podsunęli. Był to trup pękatego Niemca. Ogarnęły mnie mdłości, co pobudziło humor żołdactwa. Z konieczności zamieszkałyśmy w klasztorze, gdzie dużo już było bezdomnych. Głód nam dokucza, nie ma gdzie gotować. Ewek dał mi kromkę chleba. Wszędzie pełno trupów. Sołtys dostał nakaz zebrania ludzi i grzebania Moskali we wspólnej mogile obok kościoła.

[...][95] proszę, żeby dobił konia. Odpowiada: „Idź, głupia, kule mamy dla Niemców, a ty konia dobij siekierą!". Za co ten koń cierpi? Czy ludzie nie są najpodlejszymi stworzeniami? Gdzie Bóg i Jego sprawiedliwość? Wracam. Spotykam znajomego i mówię mu o tym koniu, a on na to: „Chcesz pani mieć obraz dnia dzisiejszego, to idź tam, gdzie była izba chorych". Idę. Na szosie przed tym domem, gdzie była izba chorych, jest z jakiejś masy wzgórek ujeżdżony czołgami, nad nim unosi się chmura kruków i rozchodzi się mdły zapach, który chwyta za gardło. To rozmiażdżone ludzkie ciała. Ten sam zapach wydziela się z otworów okiennych mieszkania dawnej izby chorych. Zaglądam do środka i skamieniałam. Wewnątrz stoi tłum trupów niemieckich z powykrzywianymi twarzami. Jedni mają otwory od kul w czołach, inni twarze pociskiem rozmiażdżone. Niektórzy mają ręce wzniesione. Są stłoczeni w gęstą masę. I stoi ta zbita ława trupów, a pośrodku ten generał z ręką na temblaku, z rozkrwawioną twarzą, którego widziałam, nie wiem już ile czasu temu, gdy stał w szeregu mniej więcej stu pięćdziesięciu ludzi wziętych do niewoli. Oba pokoje i kuchnia mieszkania „izby chorych" zatłoczone były tymi trupami. Gdzie Bóg, gdzie Jego sprawiedliwość?! Czy właśnie ci zawinili, czy ich sprawiedliwość dosięgnęła? Idę dalej. Na wprost kościoła stoi chłopski wózek zaprzężony w parę lichych koni, obok bezradnie wyglądający chłop z batem w ręku, a na wozie na słomianych siedzeniach zbita z surowych desek trumna. Czy to desek nie starczyło i wieko za płytkie, dość, że przez szparę widać trupa staruszki w czerni ubranej. Toć wóz ten w drodze na cmentarz musi przejechać przez stos powstały ze zmasakrowanych trupów, gdzie w ludzkie wnętrzności są wbite medaliony śmierci, których już nikt nie sprawdzi. Może i lepiej, że rodziny nie dowiedzą się już nigdy, jaki był koniec ich bliskich.

Spotkałam Oliwę, przyszedł mnie szukać. Chce, żebym poszła z nim do Wachów w Feliksowie, gdzie dotychczas mieszka. Na pewno nie mam się gdzie podziać, ale niech najpierw dowie się, czy mogę się u nich zatrzymać przez pewien czas, bo i jeść nie mam co. Parę dni korzystałam z ich gościnności. W międzyczasie poszłam odszukać

[95] W MM, s. 278, fragment pozbawiony początku.

GRZESZCZAK.indd 162 12.11.2024 20:24:00

Zenka, u którego miałam część rzeczy. Gdy widziałam, na co się zanosi, część rzeczy popakowałam w paczki i rozdałam na przechowanie poza Paradyż znajomym. Zenek mieszkał z matką nad szosą z Opoczna. Tam było najgorzej. Zresztą diabli wiedzą, gdzie było najgorzej. Ale i oni uciekli do podziemia klasztoru. Poszłam z Zenkiem do ich mieszkania. Ich chata nie była spalona, ale przedziurawiona jak sito. Rzeczy wszystkie powyrzucane, tylko najgorsze łachmany zostały. Wybraliśmy tylko parę garnków, których Zenek nie chciał brać, bo nie miał co w nie kłaść! Oliwa wrócił, zabrał mój tłumok istniejących rzeczy i powędrowałam z nim do Wachów. Na szosie w kierunku Wójcina też pełno trupów, podobno ciągną się tak aż do Sulejowa. Wszyscy nadzy w hełmach, obok porozrzucane fotografie, buty, niektórzy mają na piersiach medaliki. Wszyscy to młodzi, dobrze zbudowani ludzie. Leżą w przeróżnych pozach, miejscami tak gęsto, że przejść nie można. W Feliksowie nie było walk i tu można było odetchnąć.

Wachowie to było młode małżeństwo. Oboje współdziałali z podziemiem, służąc zawsze wydatną pomocą, nie zważając na to, jak bardzo narażają się. Feliksów znalazł się w widłach walk, które odbywały się na głównej szosie Kielce – Piotrków, a po drugiej stronie były bagniste łąki, w które wpakowała się niemiecka kolumna samochodów, uciekając przed Rosjanami. Samochody w łąkach zostały, a Niemcy rozpierzchli się. W tych samochodach okoliczna ludność dużo bogatych rzeczy znalazła, ale niektórzy i śmierć, bo w niektóre samochody Niemcy zdążyli miny założyć. W Kazimierzowie też było możliwie. Choć i tam bez rannych się nie obyło. Ocalało mi jeszcze trochę środków opatrunkowych, więc znowu zaczęłam wędrówki do rannych, ale teraz przeważnie kobiet. Do Feliksowa przyszedł oddział żołnierzy. Teraz już przeważnie co noc pełne chaty. Wachowa była w ciąży i źle się czuła. Któregoś dnia zjawił się brat mój Michał, aby dowiedzieć się, czy żyję, i ustalić powrót do domu. Ponieważ zrobiła się okropna pogoda, trzeba było parę dni przeczekać. Wreszcie pożegnałam gościnny dom Wachów i z bratem poszłam do Opoczna. I tu cała droga zasłana była trupami przysypanymi śniegiem. Trupy już pęczniały. Zwalono je widłami do przydrożnych rowów i dołów, które Niemcy kopali dla obrony i tam wspólnie ludzkie i końskie trupy zasypywano. W Opocznie zatrzymałam się również w gościnnym domu państwa Śródków. Michał powędrował do Inowłodza. W ciągu dziesięciu dni miał wrócić, bo postanowiłam w rocznicę wyjazdu z Obór, tj. 10 lutego, wrócić do nich. Opoczno było częściowo w gruzach, a w rynsztokach pełno było zakrzepłej krwi. Trupy ciągle jeszcze zwożone chłopskimi wozami. Trupy były już w rozkładzie, więc od przejeżdżających wozów powietrze szło niemożliwe. Niektóre domy, nawet piętrowe, miały rozwalone frontowe ściany. Wnętrze

GRZESZCZAK.indd 163 12.11.2024 20:24:00

mieszkań odsłonięte. Podobno ma nadejść polskie wojsko – Armia Kościuszkowska. Wyglądamy ich.

Z Jadźką Śródkówną włóczymy się po ulicach, aby zobaczyć tych naszych żołnierzy. W ulicę wkracza bezładny oddział wymęczonych, zabiedzonych ludzi, to oni! Jakże inaczej wyobrażaliśmy ich sobie. Mają zniszczone mundury i rogatywki, broń niejednolita, a obuwie, pożal się Boże. Idzie, jeden nie w szeregu, a chodnikiem, ma podeszwę przywiązaną sznurkiem, palce wyłażą. Moja podeszwa też odłazi. Pokazuję mu mój but i jego, i zwracam się do niego per kolego. Nawiązuje się krótka rozmowa, ale żołnierz widać boi się mówić szczerze:

– Czemu nie witacie nas kwiatami i nie cieszycie się nami?

– Bo tak smutno wyglądacie, jakbyście nie byli zwycięzcami – odpowiadam.

– Smutni, bo z czego się cieszyć, za nami i przed nami same gruzy. Zdobyliśmy nie ojczyznę, a gruzy po niej.

– I z gruzów można gmachy stawiać, tylko rąk i chęci trzeba.

Michała doczekać się nie mogę.

Spotkałam pana Kruszewskiego, mówi mi, że członkowie AK są zwolnieni ze swych obowiązków i każdy ma się starać wrócić do swej miejscowości. Widząc moje buty, dał mi czterdzieści złotych. Ale butami mymi zajął się pan Śródka, tak że z przymocowanymi podeszwami mogłam wędrować do Obór. Postanowiłam dłużej nie czekać i rozejrzeć się w możliwościach powrotu. Uszykowałam więc plecak, resztę rzeczy zostawiłam w Opocznie i przesiaduję na dworcu. Nareszcie idzie towarowy pociąg do Łodzi. Gdy już załadowałam się do wypełnionej ludźmi węglarki, słyszę, że ktoś woła: „Pani Ireno, ja też już wracam, do widzenia". Był to Czech Oliwa[96]. Dobrze, że zabrałam większą ilość papierosów, bo okazuje się, że nim wyruszyliśmy, a potem w drodze, stale zza wysokiej ściany wagonu wychylają się żołnierze radzieccy, dopominając się wódki i papierosów za to, że nam wolność dali. Jeżeli się nie okupimy, nie pozwolą dalej jechać. Stale się zatrzymujemy i stale opłacamy żołnierzy-oswobodzicieli i maszynistę. Jak dalej tak będzie, nie starczy okupu. Wyjść z wagonu nie możemy, bo nie wiadomo, kiedy pociąg ruszy. Już niejednemu chce się siusiać. Jeden staruszek podnosi gwałt, prawie płacze. Śmieją się z niego. Mnie go żal. Podobno już niedaleko do Łodzi. Pociąg stanął w polu i ani rusz. Po trochu wagon opróżnia się. Większość ma dosyć jazdy i postanawia iść piechotą. Pomiędzy nami były dwie małe dziewczynki, które broniłam przed ściskiem. Okazało się, że to półsieroty bez matki i z ojcem wracają do Kalisza. Był to jakiś robotnik. Chciałam też iść, ale dziewczynki płacz podniosły, abym z nimi zo-

[96] Czesław Kuś, ps. „Oliwa".

GRZESZCZAK.indd 164 12.11.2024 20:24:00

stała. Ojciec ich też o to prosił. Powiedział, że pójdzie dowiedzieć się, jakby do Łodzi dojechać. Gdy długo nie wracał, bałam się, że zostanę z dziećmi i nie będę wiedziała, komu i gdzie oddać.

No, nareszcie zjawił się. Okazało się, że ma jeszcze ukrytą butelkę wódki, za którą maszynista ma lokomotywą podwieźć nas do Łodzi. Tu jeszcze jedna przeszkoda, jakiś dukt zerwany i dalej nie jedzie. No więc siedzimy i czekamy. Wreszcie dowiadują się, że most gotów, ale na razie tylko lokomotywa pojedzie i kto chce ryzykować, może się na nią wdrapać. Zdecydowałam się na to ryzyko. Uczepiłam się gdzieś koło komina, trzymając się paska wygodnie usadowionego żołnierza radzieckiego. Musiałam za to trzymanie dać resztę papierosów. Już nie pamiętam, jak długo jechaliśmy, straszna jazda. Niesamowite, gdy o tym teraz wspomnę. Nawet wtedy bałam się, choć jakoś zawsze odwaga mi dopisywała.

Z Łodzi po całonocnym czekaniu ruszył pierwszy pociąg osobowy do Kalisza. Nawet dość wygodnie się jechało. Wreszcie znalazłam się w Kaliszu i nazajutrz szłam w ostrym tempie (trzydzieści kilometrów), w strachu. Kalisz zmienił się, zniszczeń stosunkowo mało. Odnoga Prosny przy ul. Babina zasypana i planty zrobione[97]. Lepiej nawet z tymi plantami. Jestem szalenie zmęczona i głodna. Idę na Stawiszyńską do pani Gałczyńskiej. Ucieszyła się staruszka, ale chorą ją zastałam. Choroba jej wygląda mi na raka. Zmieniona bardzo. Napasła mnie, wyspałam się, a że już 8 luty był, wyruszyłam, mimo jej protestów, zaraz rano piechotą do Obór. W Jastrzębnikach zatrzymało mnie ORMO[98], pytając o dowód. Dobrze, że wyjeżdżając z Opoczna, wzięłam od jakichś władz polskich tymczasowe zaświadczenie z podaniem celu podróży. Dość długo czytał, ale puścił. Przed wieczorem dobrnęłam do Chocza. Tam zatrzymałam się u Alamów, kierownika mleczarni, któremu dziecko trzymałam do chrztu. Przyjął mnie nader gościnnie, ale był zmieszany. Przed wysiedleniem dałam mu na przechowanie trochę biżuterii, najlepszy dywan, tacę okutą srebrem i inne drobiazgi. Na razie nic o tym nie wspominam, ale i on nie porusza tej sprawy. Czuję, że właśnie te rzeczy wywołują jego zmieszanie i jakąś sztuczność w okazywanej serdeczności. Musiałam u nich przenocować. Najbardziej krępowało mnie to, że nie dali mi możliwości dokładnego mycia się, a uszykowali mi spanie w jednym łóżku z siostrą Alamowej. A nuż ją co ode mnie oblezie? Mimo wielkiego zmęczenia źle spałam, przezornie odsuwając się na skraj łoża dość szerokiego.

[97] Zasypywanie odnogi Prosny Niemcy rozpoczęli w 1942 r. Obok gruzu i śmieci, do kanału wrzucono kilkadziesiąt tysięcy książek z polskich i żydowskich bibliotek publicznych – zob. W. Kościelniak, K. Walczak, *Kronika miasta Kalisza*, Kalisz 1989, s. 178.

[98] Prawdopodobnie nieumundurowana milicja.

GRZESZCZAK.indd 165 12.11.2024 20:24:00

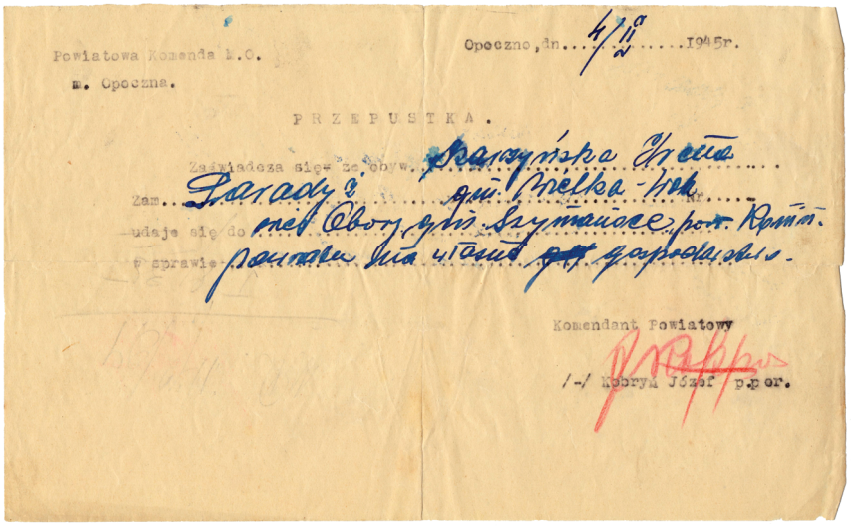

Powiatowa Komenda M.O.
m. Opoczno.

Opoczno, dn. 4/II 1945 r.

PRZEPUSTKA.

Zaświadcza się, że obyw. Szarzyńska Irena
Zam. Prawy 2 gm. Mielka-Wlk.
udaje się do Obór celem odbycia praktyki
w sprawie pomocy dla ciężarnych.

Komendant Powiatowy
/-/ Kobryń Józef ppor.

Przepustka na podróż do Obór wystawiona Irenie Sęp-Szarzyńskiej przez Powiatową Komendę MO w Opocznie, 4.02.1945. Ze zbiorów Zofii Stachowiak

Zaledwie dniało, ruszyłam w drogę, już tylko siedem kilometrów. Kwileń bardzo wypiękniał i rozbudował się. Był tam młyn parny należący do Oskara Pedy[99], brata mego sąsiada z Niniewa. Ale ten cieszył się bardzo dobrą opinią. Ożeniony był ni to z Polką, ni z Rosjanką, trochę próżną kobietą[100]. Przez wojnę zapuścił wąsy, z którymi wyglądał jak dawny szlachcic polski. Był lubiany, a w czasie wojny dużo Polakom pomagał. Ojciec jego już miał ten młyn, ale wtedy wodny. Tuż nad drogą wiodącą do Chocza był dość duży staw, od którego prowadził głęboki rów do Prosny, a tam woda obracała wielkie koło młyńskie. Zawsze tam wolniutko przejeżdżałam i patrzyłam, jak wodne warkocze wody wielkie łopaty koła rozciągają do góry i rozbijają na błyszczące w słońcu krople, jak garście brylantów. Młody Peda zlikwidował koła, założył turbinę, unowocześnił młyn, rozbudował obok istniejącą małą cegielnię na wielkie przedsiębiorstwo. Wybudował tartak. Aż miło był opatrzeć, jak Kwileń rósł. On też wybudował most na Prośnie, przez który przejeżdżaliśmy do Pleszewa. Między Kwileniem a Niniewem krótko przed wojną zaczęto budować dużą szkołę. Podobno Peda z Niniewa przyczynił się, że budowa utknęła na niewykończonych murach. Znikły też rosnące tu dawniej rozłożyste dęby, które w myślach „Dewajtisami" nazywałam. Była

[99] Oskar Eryk Peda (1893-1965) – zob. Z. Flisińska, *Historia rodu Pedów, ostatnich dziedziców Kwilenia i Niniewa*, „Rocznik Pleszewski", 2021, s. 71-79.

[100] Helena Małych – nauczycielka z Kalisza, od 1925 r. żona Oskara E. Pedy.

GRZESZCZAK.indd 166 12.11.2024 20:24:00



Oskar Eryk Peda. Fot. ze zbiorów Zdzisławy Flisińskiej

tu taka samotna gospodarka, z zamożnymi zabudowaniami, zwana Rementówką, od właściciela Niemca o nazwisku Rement. Tu również była głęboka dolina o stromych ścianach od strony piaszczystego traktu. Dolina ta była bagnista. Legenda głosi, że tu zapadł się kościół i że w Boże Narodzenie i Wielkanoc, w nocy o północy biją dzwony pod ziemią, które słychać, gdy ucho przyłożyć do ziemi. Z coraz większym zdenerwowaniem mijam tereny złączone tak ściśle z mymi dziecinnymi wspomnieniami.

Do rzeczywistości przywołał mnie widok ormowca prowadzącego dwóch młodych Pedów z Niniewa, Jurka i Ottona. Poznali mnie i nieśmiało nachylili czapki. Widać byli konwojowani przez uzbrojonego ormowca. W milczeniu minęliśmy się. Słoneczne promienie, łamiąc się w kryształach śniegu, dawały światu wesoły wygląd. I moja dusza radowała się, że wracam do Obór, że Pan Bóg wysłuchał moich modlitw podczas odmawiania *Anioł Pańskiego*. Niniew przeszłam jak lunatyczka. Uczucie rozrzewnienia. Dochodziłam do celu. Już widzę dach stodół i gęstą kępę drzew. Jakoś mi się nogi zaczęły plątać i zdaje mi się, że mam spętane, że ledwie się ruszam. Figury Matki Boskiej nie ma, a taka ładna była. W otaczającym ją ogródku kupa gruzów. Nie ma też figury św. Rocha, gdzie główne miejsce zajmowała blacha z wizerunkiem oka Opatrzności. Pusto jakoś na podwórzu. Aha, stajnie w gruzach, jednak nie przetrzymały tych pięciu lat, ale i zebrany na nowe budulec pod słomianym daszkiem też zniknął. Obora pusta z otwartymi wrotami. Gnój usechł, dawno już widać krowy wyprowadzone. Wozów nie ma, ni żadnych narzędzi. Pustka zewsząd wyziera. W jednej stodole jęczmień niewymłócony i trochę żyta, słomy dość dużo. Kartofli w kopcach na jakieś dwa tysiące cetnarów pojemności. Bardzo goło bez stajni. Obie przybudówki stoją, tylko środek w gruzach. Przeszłam podwórze prosto. Rozglądając się, idę do dworu. Drzewa są, jak były w 1940 roku. W świniarni pusto, w kilku chlewach narzucana słoma. Dom otwarty. Biegnę na strych, gdzie miałam wsuniętą pod belkę puszkę ze słoikiem naładowaną biżuterią. Nie potrzebowałam szukać, pusta puszka leżała w pobliżu. Podłoga, pod którą były

GRZESZCZAK.indd 167 12.11.2024 20:24:02

szory[101], też widać ruszona, paczki ze srebrami stołowymi też nie ma. Czuję się, jak złodziej myszkujący za zdobyczą. Schodzę na dół, przebiegam pokoje. W jednym pokoju stół zrobiony ze zwykłych desek na koziołkach. Na nim resztki jadła. Po kątach odchody ludzkie. Jedynym meblem, o dziwo, była w moim pokoju kanapa z jadalnego. W moim pokoju piec przebudowany. Niestety – przecież za ten stary włożyłam butelkę starego miodu. Drzwi do garderoby zamurowane, a te zamienione na spiżarnię z wybitymi drzwiami do kuchni. Z dawnej spiżarni – o ludzie! Wspaniała łazienka z wejściem do dawnego pokoju ojca i na korytarz, sedes, umywalka, nad nią lustro, wanna z piecem kąpielowym. Basen z wodą umieszczony u góry, tam, gdzie przy tej robocie znalezione rzeczy między sufitem i podłogą. Wobec tej łazienki przebolałam stratę ukrytych szorów. Całe mieszkanie odnowione. Nie zatrzymując się długo w pustych pokojach, wychodzę, nie wiedząc, co począć. Już od proga słyszę głosy. Stanęłam niepewna. Widzę kilka dziewcząt folwarcznych, biegnących z zaciekawieniem, a na czele Helena Maćkowiakówna. Wyrosła z podlotka na również, jak matka, przysadzistą rumianą kobietę. W milczeniu czekam, jakie to będzie powitanie. Na gębach widzę uśmiech i zaciekawienie. Rzucają się na szyję i witają radośnie. Helcia, czerwona od biegu, chwyta mnie w rozłożyste ramiona. Bogu dzięki, przywitanie serdeczne. Oddaję uściski, liczne pytania. Każdy coś mówi. Jestem oszołomiona. Czy zostaję, co będę robić? Obory wedle zapisu w gminie nie mają stu hektarów. Wszyscy są pokrzywdzeni, bo parcel nie dostaną i też nie wiedzą, co począć. Proponuję im założenie wspólnej gospodarki z rozliczanymi na biorących udział w pracy rozchodami i przychodami. Śmieją się ze mnie. Przecież tu nie ma o co rąk zaczepić. Jak gospodarować w takiej pustce? Najlepsze krowy wzięli okoliczni ludzie, jak również narzędzia. Resztę inwentarza Moskale popędzili do Kretkowa. Dopiero się tworzą urzędy, więc nic jeszcze nie wiadomo, co za zarządzenie będzie. Przecież w Poznaniu Niemcy jeszcze się bronią. Decyduję się zostać. Uszykowali mi opału, zgromadziłam go do mego pokoju, gdzie było najczyściej, no i kanapa. Miałam coś zapasów jedzenia ze sobą. Gdy pierwsze podniecenie minęło, poczułam zimno. Lutowe słońce kończyło swą krótką dzienną wędrówkę. A z nim kończyły się przebłyski różowych myśli. Ogień w otwartym piecu coraz bardziej czerwieniał. Ludzie rozeszli się. Cisza przerywana trzaskaniem ognia. Nie mam czym okna zasłonić. Z nadejściem nocy głupio zaczynam się czuć w tej pustce. Siedzę na kanapie na wprost ognia, do którego ciągle drzew dorzu-

[101] Rodzaj uprzęży na konia złożonej z szerokiego napierśnika skórzanego albo parcianego oraz z pomocniczych rzemieni (pasów pociągowych lub postronków).

GRZESZCZAK.indd 168 12.11.2024 20:24:02

cam. Już ciepło, ale boję się zostać po ciemku. Ciągle zdaje mi się, że stoi ktoś za oknem w czarnej ciemni nocy. Czy to ze zmęczenia, czy też co ukrywać [sic]. Ze strachu czuję, że mam ręce i nogi sztywne. Siedzę skulona i myślę, jak się tu urządzić. Czy w ogóle nowo utworzone władze nie zabronią mi tu przebywać. Co w ogóle będzie z dawnymi właścicielami majątków? Podobno nie słychać dotąd, aby który z nich wrócił pod swój dach. W sąsiednich majątkach sprawa jasna, mają ponad sto hektarów. Na razie są własnością komendantów wojennych, Rosjan, a mają być rozdzielone między pracowników po kilka hektarów, do piętnastu najwyżej. Ale obecnie komendanci skoncentrowali inwentarz, a raczej bydło, bo końmi w pośpiechu powyjeżdżali przyjezdni Niemcy i ci, którzy, mając nieczyste sumienie, bali się zostać. Strasznie długa była ta pierwsza noc lutowa pod wytęsknionym własnym dachem, którego to własność prawem kaduka staje pod znakiem zapytania. Opał skończył mi się. Coraz niklejsze światełka załamują się na ścianach. A mnie przeraźliwe zmęczenie zobojętnia na obawy, które co chwila dręczą mnie. Z głową na małym węzełku mojego osobistego majątku, okryta kożuszkiem, zasypiam.

Gdy się obudziłam, było zupełnie widno. Zaczęłam wszystko dokładnie obchodzić i oglądać. Zauważyłam, że w najbliższej domu świniarni słoma, która w kącie leżała i wczoraj była luźna, dziś zduszona jest i zdradza wyraźne legowisko. A więc wyczucie miałam dobre, nie byłam sama. Muszę coś wymyślić. Więcej takich nocy nie chcę. Choćby mieć psa, już raźniej by było. A może skorzystać z propozycji starego Ferli i u nich zamieszkać, póki coś się nie ustali? Ferla przez czas rządów niemieckich został niezmiennie przy krowach, mimo że dawano mu gospodarstwo. Syn jego – Adek zginął w głębi Rosji, czuli się Polakami. Wtem od czworaków doszło mnie grube szczekanie psa. Zaciekawiona postanowiłam zobaczyć tego psa. Był to śliczny wilk. Na ogródku Ferli, uwiązany przy ciepłej budzie, stał nad wielką ćwiartką wołowiny. Nieźle ci się, przyjacielu, wiedzie, ja takiego żarcia od niepamiętnych czasów nie miałam. Pies nie szczekał, patrzył rozumnymi ślepiami i merdał lekko ogonem. Wstąpiłam do Ferli wypytać się o psa. Hektor się nazywał. Ferlina szybko uszykowała mi śniadanie, umyłam się. Ferlowie pokazują świeżo zasłane łóżko, wzdęte od pierzyn, czeka na mnie od wczoraj. Na widok tego łóżka poczułam niesamowite zmęczenie. Pokusa wzięła górę. Przespałam się parę godzin.

Wiele dnia nie zostało. Poszłam jednak do Rudy[102], do Wojciechowskich[103]. Ucieszyli się serdecznie. Była tylko Wanda i stary. Wojciechowski kupił ongiś resztówki dawnego majątku Murzynowskich

[102] Ruda Wieczyńska w gminie Gizałki, w powiecie pleszewskim.
[103] Władysław (1872-1963) i Julianna z Ciszewskich (1881-1959).

GRZESZCZAK.indd 169 12.11.2024 20:24:02

z dworkiem otoczonym przez stare wielkie lipy. Park, który kiedyś musiał być ładny, stał się pastwiskiem dla krów. W dworku były jeszcze skromne, ale staroświeckie meble. Stary Wojciechowski był czerstwy, rumiany, z siwymi wiechami wąsów i bujną białą czupryną. Nie rozstawał się z grubą sękatą laską. Pamiętam ją jeszcze sprzed wojny. Czy jechał, czy wędrował piechotą, zawsze mu za podporę służyła. A teraz wsparty na niej, dziwił się, że już wróciłam, gdy jeszcze zaledwie dziewięćdziesiąt kilometrów dalej w Poznaniu Niemcy nie kapitulują, choć spodziewane to jest lada dzień. Wojciechowski daje mi dużo rad i wskazówek w czasie, gdy synów jego jeszcze nie ma. Dwóch z nich chodziło do pleszewskiego gimnazjum. Jeden z nich, prawnik, był w mojej klasie. Wojciechowscy słuchać nie chcą, abym się u nich miała nie zatrzymać. Dostaję pokoik podobny do mego. Za radą Wojciechowskiego postanowiłam iść do komendanta wojennego do Ciemierowa, gdzie się też rychłym rankiem wybrałam.

Pomimo przeróżnych zapisów hektarów, ponad stu i poniżej, folwark mam przyznany, ale nie dostałam „ani woza, ani powoza". O koniach w ogóle nie ma mowy. Bydło przeznaczone [jest] do ewakuowania do Rosji. Po trudach obfitujących w nieprawdopodobne przygody zdobyłam dwa źrebaki, dwa woły pociągowe, wielkiego buhaja i dwadzieścia krów. Ferla w swoim żywiole. Moi pracownicy dostają poniemieckie gospodarstwa, których właściciele są tymczasowo na ich miejsce ulokowani. Są to przeważnie kobiety z dziećmi. I zaczynamy pracę. Stary Karol Pisching robi jarzma, zdobywam łańcuchy i oprzęgamy krowy. Krowy stają na rogach, ryczą, my płaczemy z rozpaczy. Po dwóch tygodniach i licznych moich zabiegach w zdobywaniu pługów dwuskibowych, wyruszają cztery zaprzęgi. Wiosenne siewy skończyłam w czerwcu. Mam już część moich mebli zebranych po całej okolicy. Mieszkam u siebie i z przyjemnością patrzę, jak znowu dym unosi się z komina.

Zaczynają ściągać bezdomni. Ciocia[104], której nie wpuszczono do majątku o dużym obszarze, jej dziewięćdziesięcioletni stryj[105], administrator drugiej ciotki pan Spychała, wreszcie brat. Brat nie chce się niczym zająć. Zasiał tytoń, para się obrywaniem liści Virginii. Natomiast pan Spychała zaczyna zajmować się gospodarstwem. Doskonale porozumiewa się po niemiecku z obcymi pracownicami. Ja mam po uszy pracy w domu i ogrodzie oraz przeróżne interesy w urzędach i zakupy.

Bratu proponuję podział folwarku, początkowo godzi się. Załatwiam wszystkie sprawy formalne, bardzo kosztowne. 8 czerwca 1947 roku wychodzę za mąż za pana Spychałę. W marcu 1948 roku

[104] Helena z Szołdrskich Sęp-Szarzyńska.
[105] Ignacy Szołdrski.

GRZESZCZAK.indd 170 12.11.2024 20:24:02



W domu sióstr szarytek w Buku. Od lewej: Halina z Krajewskich Hemplowa, Jadwiga z Domaradzkich Mazaraki, Helena z Szołdrskich Sęp-Szarzyńska i Aniela z Zielonackich Finkowa (obrócona plecami). Fot. ze zbiorów Zofii Stachowiak

mam córkę Zosię. Brat zrywa umowę. W czerwcu dosięga mnie reforma rolna. Ostatecznie ustalam obszar powyżej stu hektarów i ziemia zostaje pokrojona. Brat żeni się i zamieszkuje u żony. Ciotka lokuje się w zakonie[106], jej stryj w domu starców. A my zaczynamy wędrówki po dzierżawach.

Pierwsza była bardzo niefortunna[107]. Straciliśmy tam wszystkie oszczędności i kupę nerwów. Wreszcie znaleźliśmy się koło Gniezna[108], zajmując się przeważnie ogrodnictwem. Dwa razy w tygodniu stoję z warzywami na rynku w Gnieźnie. Wzbogacam się o dwóch synów. Już z trójką dzieci bierzemy na pięć lat w dzierżawę dziewięć hektarów blisko Poznania[109].

Mam jeszcze trzeciego dziewięcioletniego chłopca, sierotę po braterstwie męża, i maleńką drugą córkę. W sumie pięcioro dzieci, około dwudziestu świń, sześć krów, które doję dwa razy dziennie. Dzieci do przedszkola na pół dnia, starszy do szkoły. Trzeba prędko

[106] Helena Sęp-Szarzyńska przebywała do śmierci w 1966 r. w domu sióstr szarytek w Buku; pochowana w rodzinnym grobowcu Szołdrskich w Jaszkowie.

[107] Donatowo w gminie Czempiń, w powiecie kościańskim.

[108] Spychałowie dzierżawili kolejno grunty w powiecie gnieźnieńskim w miejscowościach Strzyżewo Kościelne, Pyszczyn i Lednogóra.

[109] Chludowo w gminie Suchy Las, w powiecie poznańskim.

GRZESZCZAK.indd 171 12.11.2024 20:24:02

uporać się z oprzętem inwentarza, iść na parę godzin w pole, gotować obiad. Zająć się małą. Prania na siedem osób, łącznie z pieluchami małej, bez pralki, ręcznie. Nocami szyję, przerabiam rzeczy, bo za co kupować? Od znajomej dostaję przechodzone. Na odległym poligonie[110] dostajemy działki na siano. Wyrusza się tam z całym tabunem dzieci i żywnością na cały dzień. Krowy pasą się w zbiorowych stadach. Trzeba na odpowiednią godzinę odebrać je. W lecie, jeszcze szaro, biegnę w pole, póki dzieci śpią. W żniwa, o ile księżyc świeci, wiążę snopki, bo zboże kosiarką skoszone. Ręce cierpną mi, plecy też, pewnie od dojenia krów, bo to wysiłek.

Którejś zimy mąż złamał palec u nogi. Przyszły komplikacje i zaatakowana cała noga. Prawie całą zimę przeleżał. W tym czasie dzieciaki na odrę leżały, po której starszy miał dalsze dolegliwości. Szpital w domu. Pompa zepsuta i noszę po czterdzieści wiader wody od sąsiada, a wiadomo jak mróz, bydło pije więcej. Żeby tylko sił starczyło. Sąsiedzi pomagają. Przyniosą słomy ze stodoły, odwiozą mleko do mleczarni. Jeden z dwóch koni bardzo kopie, trzeba bardzo ostrożnie obok niego przechodzić, a przy czyszczeniu dusza na ramieniu.

Najgorszy stały brak pieniędzy. Co pewien czas wpadnie pewna suma za odstawienie tucznika, co miesiąc z mleczarni. Ale podatki, opał, światło i tyle, tyle przeróżnych wydatków, że pieniądze szybko rozchodzą się.

Do niektórych prac trzeba donająć pomoc. Dniówka pracy z każdym rokiem droższa. Często myślę, jak to dobrze, że za dawnych czasów, pilnując wykonania różnych prac w gospodarstwie, wykonywałam pracę razem z robotnikami. Wykonuję teraz każdą pracę z nabytą wprawą, przez co w krótszym czasie. Oczywiście nie mam pralki i piorę wszystko w balii na tarze. Coraz częściej odczuwam zmęczenie i mam uczucie, że zemdleję. Wiosną mąż już może pracować, ale jeszcze kuleje. Bronować pole muszę sama. Chłopca – sierotę zabrał jego starszy brat, a mógł już trochę pomagać w gospodarstwie. Był już w drugiej klasie. W ciągu lata coraz częściej odczuwam zmęczenie, jesienią rozchorowałam się na dobre. Przez parę tygodni przeważnie leżałam. Silne osłabienie serca i lata przejściowe. Znowu koszty leczenia.

Mija pięć lat i koniec dzierżawy. Właściciel dyktuje nowe warunki, które są dla nas nie do przyjęcia. Po długich poszukiwaniach kupujemy tuż pod Poznaniem[111] resztówkę z rozparcelowanego większego gospodarstwa, na co sprzedajemy plac, który mąż miał w powiatowym mieście[112], również inwentarz. Tu starczy jeden koń i jed-

[110] Poligon wojskowy w Biedrusku w gminie Suchy Las.
[111] W Suchym Lesie.
[112] Września.

GRZESZCZAK.indd 172 12.11.2024 20:24:03

na krowa. Nareszcie własna chata. Licha, ale własna. Mąż przyjmuje posadę przy ochronie obiektów, ja uczę religii w miejscowej szkole podstawowej, przygotowuję się do tego nocami, bo mam wszystkie klasy. Po wakacjach już w szkole tego przedmiotu nie ma. Nie żałuję, że straciłam pracę, bo mało była płatna, a w domu i tak dość roboty.

Upłynęło półtora roku pod własnym dachem i znowu nieszczęście. Mąż ma wypadek i po tygodniu w szpitalu umiera. Najmłodsza córka jeszcze w przedszkolu, najstarsza w piątej klasie. Chłopiec z klasy trzeciej, starszy, zarabia koniem. Młodszy i starsza córka mają zajęcia przez całe wakacje u ogrodników. I tak już w zwyczaj weszło, że część wakacji zarobkują, a część na kolonii lub obozie. Duży inwentarski budynek wydzierżawiłam wraz z podwórzem. Gdy syn skończył podstawówkę, ziemię również dałam w dzierżawę. Mam rentę, dzieci w średnich szkołach dostają stypendia.

Lata lecą. Wszystkie dzieci uczą się dobrze, troje kończy technika. Najstarsza ma wyższe i tytuł magistra. Obecnie wszyscy mają dobre stanowiska pracy. Synowie już żonaci, dostarczyli mi czworo wnucząt. Poza pracą domową i ogródkiem, pomagam przewodniczącej w kole gospodyń. Teraz mam czas na kontaktowanie się listowne z dawnymi znajomymi, na lekturę, na telewizję i częstszy wyjazd do miasta. W domu bywa dużo koleżanek córek. W ogóle otacza mnie młodzież, ale mimo to czuję się sama. Może za wielką przestrzeń stworzyły lata z tyloma zmianami między moim a dzisiejszym pokoleniem.

A dworek nad Prosną w rozsypce, park częściowo wycięty, budynki rozebrane. Wiem, bo z opowiadań. Ja od 1948 roku nie byłam tam i nie będę. Zostały wspomnienia i renta z tytułu reformy.

Postscriptum

Irena z Sęp-Szarzyńskich Spychałowa zmarła 26 grudnia 1992 roku w Poznaniu. Pogrzeb na cmentarzu przy ul. Lutyckiej zgromadził ogromną rzeszę ludzi, który ją znali i chcieli z wdzięcznością towarzyszyć w ostatniej ziemskiej drodze. Jej najstarsza córka Zofia wspomina, że matka, zmuszona wiele razy w życiu do opuszczenia miejsc, w których dopiero co zaczynała zapuszczać korzenie, chętnie otwierała drzwi swojego domu w Suchym Lesie tym, którzy domu potrzebowali. Przyjeżdżały tam koleżanki Zofii ze studiów i zawsze mogły przenocować w gościnnym domu jej matki, z którą budowały pełną serdeczności więź. Ireny Spychałowej nie mogło później zabraknąć na ich uroczystych absolutoriach w Poznaniu.

Po wielu latach od propozycji starosty powiatowego z 1939 roku, by zajęła się działalnością społeczną, Irena zaczęła współpracować z ks. Tadeuszem Szkarłatem TChr, w latach 1952-1962 proboszczem parafii pw. Ścięcia św. Jana Chrzciciela na Morasku. Uczyła najpierw religii, a po usunięciu tego przedmiotu ze szkoły przez władze komunistyczne zaangażowała się w życie lokalnej społeczności, m.in. w Kole Gospodyń Wiejskich, które zawiązało się w Suchym Lesie w 1974 roku. Z nieukrywaną pasją uczestniczyła w organizowanych przez Koło autokarowych wycieczkach po Wielkopolsce, które dokumentowała wierszowanymi relacjami. Przytoczmy z nich tylko jeden krótki fragment na temat ulubionej przewodniczki p. Miry z Poznania:

Jest wesoła i zaradna,
Zna ją tutaj prawie każda.
Gdy wycieczkę zamierzamy,
O nią tylko się pytamy.
Gdy jedziemy bez tej pani,
To wycieczka jest do bani[1].

[1] I. z Sęp-Szarzyńskich Spychałowa, *Przewodnik p. Mira*, mps ze zbiorów Zofii Stachowiak.

GRZESZCZAK.indd 175 12.11.2024 20:24:03



Irena z Sęp-Szarzyńskich Spychałowa na absolutorium Barbary Kaczmarek w Poznaniu.
Fot. ze zbiorów Zofii Stachowiak

Dużo miejsca w swoich wierszowanych zapiskach poświęca problemowi ludzkiej samotności i przemijania. Od swojej pochodzącej z Obór bratowej Kamili Sęp-Szarzyńskiej z d. Zakolskiej dowiedziała się o rozebraniu zrujnowanego dworku, w którym spędziła dzieciństwo i młodość. We właściwy sobie sposób podsumowała ten bolesny dla niej fakt wierszem *Wiadomość od Kamy*, w którym dała wyraz ogólnej refleksji nad życiem człowieka, które jawi się jako nieustanna tułaczka, a podejmowane w ciągu życia wysiłki przypominają pękającą nagle bańkę mydlaną[2]. Namysł nad ludzkim losem, w którym znaleźliśmy przewodniczkę w osobie naszej Autorki i Bohaterki, zatoczył w ten sposób koło i dotarliśmy do punktu wyjścia tej refleksji, gdzie być może czeka na nas inny Sęp-Szarzyński, ten najbardziej nam znany:

Z wstydem poczęty człowiek, urodzony
Z boleścią, krótko na tym świecie żywie,
I to odmiennie, nędznie, bojaźliwie;
Ginie, od słońca jak cień opuszczony.

I od takiego (Boże nieskończony,
W sobie chwalebnie i w sobie szczęśliwie
Sam przez się żyjąc) żądasz jakmiarz chciwie
Być miłowany i chcesz być chwalony.

Dziwne są Twego miłosierdzia sprawy.
Tym sie Cherubim (przepaść zrozumności)
Dziwi zdumiały i stąd pała prawy
Płomień, Serafim, w szczęśliwej miłości.

O święty Panie, daj, niech i my mamy
To, co mieć każesz, i Tobie oddamy![3]

[2] Zob. taż, *Wiadomość od Kamy*, mps ze zbiorów Zofii Stachowiak.

[3] M. Sęp-Szarzyński, *Sonet II. Na one słowa Jopowe: Homo natus de muliere, brevi vivens tempore etc.*, w: tenże, *Rytmy abo wiersze polskie*, oprac. J. Lebenstein, Lublin 1996, s. 8.

GRZESZCZAK.indd 177 12.11.2024 20:24:04

ANEKSY

GRZESZCZAK.indd 179 12.11.2024 20:24:05

Aneks 1

Poezje Ireny z Sęp-Szarzyńskich Spychałowej

Tęsknota

Gdy wieczorem siedzę sama,
To tęsknota mnie obsiada
Wspomnieniami z mej młodości,
Co to żalem w sercu gości.
Wtedy słyszę, że coś dzwoni,
Czy to świerszcz, czy puls mej dłoni.
Myślą biegnę w tamte lata,
Gdzie w zieleni stała chata.
Dworkiem wtedy była zwana,
U mnie stale wspominana.
Też wieczory w samotności,
Tylko świerszcz gdzieś w kącie gości,
Gdy pogada – cisza głucha,
A gdy wicher albo plucha,
Wtedy koncert drzewa dają,
A kominy przedrzeźniają.
Coś w tym ponurego było,
W samotności tym straszyło.
Nastrój taki dziwny stwarza,
Aż to prawie mnie przeraża,
Lecz lubiłam wichrów granie,
W samotności ich słuchanie.
Człek myślami w młodość bieży,
Wierna Nora u nóg leży
I naftowa lampa świeci,
Nieraz cicho mysz przeleci,
A w kominie wiatr łomocze,

GRZESZCZAK.indd 181 12.11.2024 20:24:05

Jak piekielne jakieś moce.
Coś groźnego w tej muzyce,
Którą jeszcze teraz słyszę,
Lecz lubiłam wichrów granie,
W samotności ich słuchanie.

Kretków[1]

Dalej Kretków...
Miał tu kiedyś pałac ładny[2],
Dziś mu dachy już zapadły
I w ruinę się zamienia.
Szkoda wielka tego mienia.
Kiedyś park tam był zadbany,
Z lasem dużym był zbratany.
Pałac liczył cztery sale
I pokoje w nim niemałe,
Ilość duża ich tam była,
Dużo by tam pomieściła.
I zaplecze piękne było,
Wszystko, wszystko się zniszczyło.
Był tu obiekt okazały
Lekkomyślnie zmarnowany.
I legenda także była,
Co o duchach tu mówiła,
Że przed laty był tu kościół,
Co ariański zespół gościł[3],
Że w piwnicach wmurowane
Trumny arian przechowane.
Czy to prawda, czy to baśnie?
Dziś zniszczony pałac strasznie.

[1] Część dłuższego utworu, noszącego tytuł *Śmiłów* i będącego wierszowaną relacją z wycieczki, w czasie której członkinie Koła Gospodyń Wiejskich z Suchego Lasu zwiedziły Muzeum Adama Mickiewicza w Śmiełowie, Żerków oraz Kretków. Tę ostatnią wioskę autorka znała z autopsji, bywała przed wojną w tamtejszym pałacu u wujostwa Skórzewskich.

[2] Jedno z nielicznych świadectw na temat wyglądu wnętrz pałacu w Kretkowie, którego ruiny wysadzono w powietrze w latach 80. ubiegłego wieku – zob. R. Kąsinowska, *Ruiny pałacu w Kretkowie*, s. 145-149.

[3] W rodzinie Skórzewskich z Kretkowa przekazywano z pokolenia na pokolenie legendę o arianach (braciach polskich), których zbór miał stać aż do momentu wygnania ich z Rzeczpospolitej po potopie szwedzkim. Na jego fundamentach miał być wybudowany pałac w Kretkowie.

GRZESZCZAK.indd 182 12.11.2024 20:24:05

Aneksy

Gdy Skórzewscy tu mieszkali, były także takie zbiory:
Od kaganka do lamp nowych,
Od oleju, świec i nafty.
Zbiór był wiele wówczas warty,
Oraz fajki różne były,
Co ten pokój też zdobiły,
A niektóre bardzo długie
I te krótkie zbiór zawiera,
Takie z wiśniowego drzewa.
Gdzie się wszystko to podziało,
Co się tutaj znajdowało?
Dawniej klomby zadbane,
Dziś chlewiki nastawiane.
Wstyd zmarnować obiekt taki,
Co tak piękny był przed laty.

GRZESZCZAK.indd 183 12.11.2024 20:24:05

Aneks 2

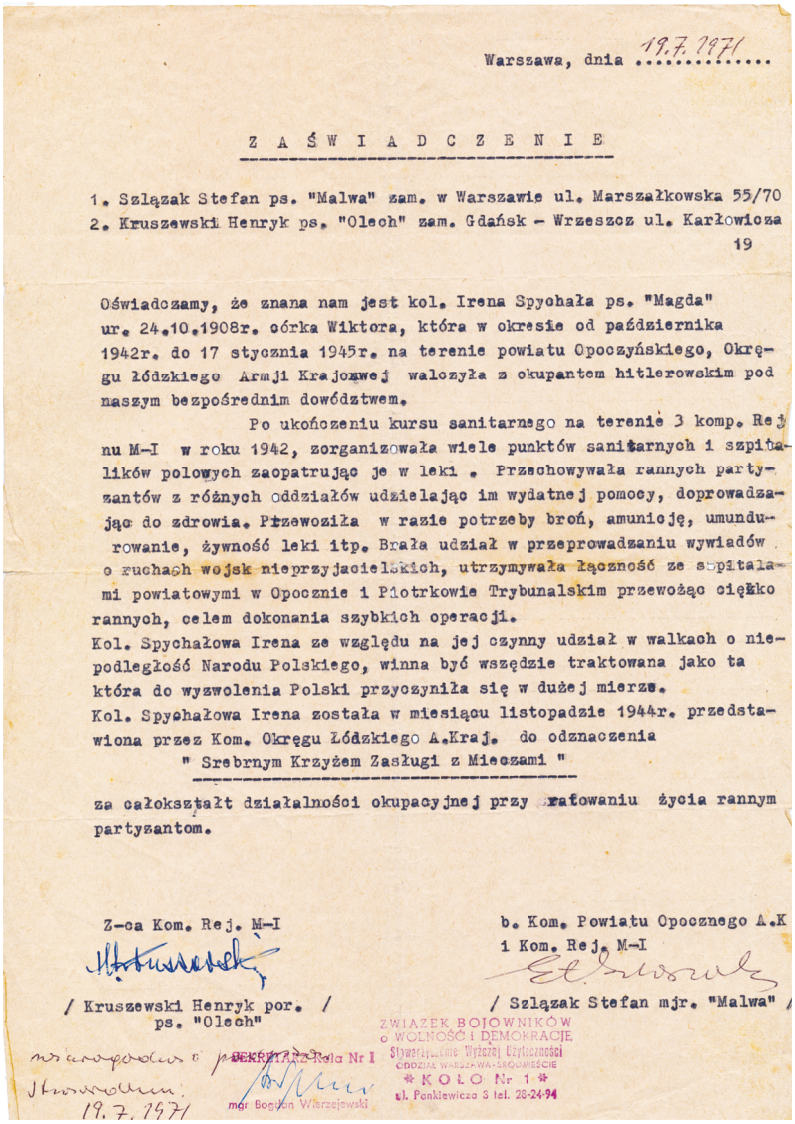

Warszawa, dnia 19.7.1971

Z A Ś W I A D C Z E N I E

1. Szlązak Stefan ps. "Malwa" zam. w Warszawie ul. Marszałkowska 55/70
2. Kruszewski Henryk ps. "Olech" zam. Gdańsk – Wrzeszcz ul. Karłowicza 19

Oświadczamy, że znana nam jest kol. Irena Spychała ps. "Magda" ur. 24.10.1908r. córka Wiktora, która w okresie od października 1942r. do 17 stycznia 1945r. na terenie powiatu Opoczyńskiego, Okręgu Łódzkiego Armji Krajowej walczyła z okupantem hitlerowskim pod naszym bezpośrednim dowództwem.

Po ukończeniu kursu sanitarnego na terenie 3 komp. Rejonu M-I w roku 1942, zorganizowała wiele punktów sanitarnych i szpitalików polowych zaopatrując je w leki. Przechowywała rannych partyzantów z różnych oddziałów udzielając im wydatnej pomocy, doprowadzając do zdrowia. Przewoziła w razie potrzeby broń, amunicję, umundurowanie, żywność leki itp. Brała udział w przeprowadzaniu wywiadów o ruchach wojsk nieprzyjacielskich, utrzymywała łączność ze szpitalami powiatowymi w Opocznie i Piotrkowie Trybunalskim przewożąc ciężko rannych, celem dokonania szybkich operacji.

Kol. Spychałowa Irena ze względu na jej czynny udział w walkach o niepodległość Narodu Polskiego, winna być wszędzie traktowana jako ta która do wyzwolenia Polski przyczyniła się w dużej mierze.

Kol. Spychałowa Irena została w miesiącu listopadzie 1944r. przedstawiona przez Kom. Okręgu Łódzkiego A.Kraj. do odznaczenia

" Srebrnym Krzyżem Zasługi z Mieczami "

za całokształt działalności okupacyjnej przy ratowaniu życia rannym partyzantom.

Z-ca Kom. Rej. M-I

/ Kruszewski Henryk por. /
ps. "Olech"

b. Kom. Powiatu Opocznego A.K
i Kom. Rej. M-I

/ Szlązak Stefan mjr. "Malwa" /

ZWIĄZEK BOJOWNIKÓW
O WOLNOŚĆ I DEMOKRACJĘ
Stowarzyszenie Wyższej Użyteczności
ODDZIAŁ WARSZAWA-ŚRÓDMIEŚCIE
* KOŁO Nr 1 *
ul. Pankiewicza 3 tel. 26-24-94

SEKRETARZ Koła Nr 1
mgr Bogdan Wierzejewski

19.7.1971

GRZESZCZAK.indd 184 12.11.2024 20:24:05

Aneks 4

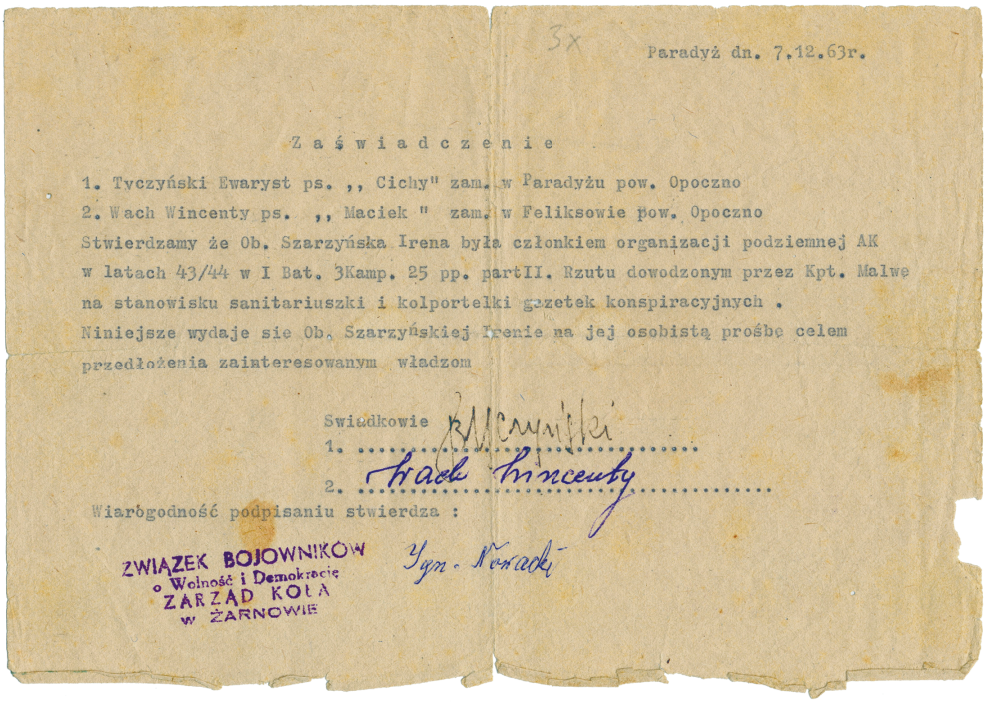

3x Paradyż dn. 7.12.63r.

Z a ś w i a d c z e n i e

1. Tyczyński Ewaryst ps. „ Cichy" zam. w Paradyżu pow. Opoczno
2. Wach Wincenty ps. „ Maciek " zam. w Feliksowie pow. Opoczno

Stwierdzamy że Ob. Szarzyńska Irena była członkiem organizacji podziemnej AK w latach 43/44 w I Bat. 3Kamp. 25 pp. partII. Rzutu dowodzonym przez Kpt. Malwę na stanowisku sanitariuszki i kolporterki gazetek konspiracyjnych .

Niniejsze wydaje sie Ob. Szarzyńskiej Irenie na jej osobistą prośbę celem przedłożenia zainteresowanym władzom

Świadkowie
1. .....
2. Wach Wincenty .....

Wiarogodność podpisaniu stwierdza :

ZWIĄZEK BOJOWNIKÓW o Wolność i Demokrację ZARZĄD KOŁA w ŻARNOWIE

Wyg. Nowacki

Bibliografia

Źródła

1. Pisma Ireny z Sęp-Szarzyńskich Spychałowej

Moje myśli. Wspomnienia (oprac. A. Stachowiak, Suchy Las 2008, mps w zbiorach Zofii Stachowiak).

Przewodnik p. Mira (mps ze zbiorów Zofii Stachowiak).

Śmiłów (mps ze zbiorów Zofii Stachowiak).

Tęsknota (mps ze zbiorów Zofii Stachowiak).

Wiadomość od Kamy (mps ze zbiorów Zofii Stachowiak).

Życiorys (mps ze zbiorów Zofii Stachowiak).

2. Źródła rękopiśmienne

Archiwum parafii Szymanowice, *Liber mortuorum*, 26/1842, https://geneteka.genealodzy.pl/ [dostęp: 21.02.2024].

Dyplom Heroldii Królestwa Polskiego dla Michała Wawrzyńca Szarzyńskiego, Warszawa 10/22.07.1843. (ze zbiorów Zofii Stachowiak)

Kopja z drzewa Genealogicznego Rodziny Sęp-Szarzyńskich Herbu Junosza (ze zbiorów Zofii Stachowiak)

Stanisław Sęp-Szarzyński do Ireny z Sęp-Szarzyńskich Spychałowej, 17.01.1966 (list ze zbiorów Zofii Stachowiak).

Stanisław Sęp-Szarzyński do Ireny z Sęp-Szarzyńskich Spychałowej, 7.12.1966 (list ze zbiorów Zofii Stachowiak).

3. Prasa (**XIX i XX w.**)

„Dziennik Poznański", 23.04.1879, nr 93 (A. Szarzyński – wspomnienie pośmiertne).

„Dziennik Poznański", 5.05.1902, nr 103 (ślub Anieli Sęp-Szarzyńskiej z Tadeuszem Niegolewskim).

„Dziennik Poznański", 6.09.1900, nr 203 (ślub Michała Sęp-Szarzyńskiego z Heleną Szołdrską).

„Gazeta Grudziądzka", 21.07.1904, nr 87 (nekrolog ks. Kazimierza Szołdrskiego).

„Gazeta Poznańska", 6.12.1806, nr 103 (rozkaz gen. Jana H. Dąbrowskiego z 3.12.1806).

„Kurier Warszawski", 21.05.1840, nr 134, s. 642-643 (Jan Gliszczyński – wspomnienie pośmiertne).

GRZESZCZAK.indd 187 12.11.2024 20:24:09

4. Źródła opublikowane

Homer, *Odyseja*, tłum. L. Siemieński, Wrocław–Kraków 1959.

Lévinas E., *Pies albo prawo naturalne*, w: tenże, *Trudna wolność. Eseje o judaizmie*, tłum. A. Kuryś, Gdynia 1991, s. 160-162.

Mikołaia Sępa Szarzyńskiego Rytmy abo wiersze polskie po jego śmierci zebrane y wydane Roku Pańskiego 1601, wyd. J. Muczkowski, Poznań 1827.

Mycielska H., *Pośród klęsk i zwycięstw 1906-2006*, Izabelin–Warszawa 2018.

Sęp-Szarzyński M., *Rytmy abo wiersze polskie*, oprac. J. Lebenstein, Lublin 1996.

Skórzewska H., *„Przyjdźcie do mnie wszyscy". Modlitewnik*, Poznań 1938.

Wojenne tułaczki. Wspomnienia mieszkańców ziemi jarocińskiej wysiedlonych w latach 1939-1940, red. I. Kaczmarek, R. Kaźmierczak, J. Szych, Jarocin 2023.

5. Pozostałe źródła

Karta osobowa Helmuta Gäberta (1894-1973) (Muzeum Regionalne w Opocznie).

L. Taylor, *Wspomnienia, lata 1913-1930* (mps ze zbiorów Zofii Stachowiak).

Opracowania

Bartel W.M., *Gliszczyński Maciej*, PSB, VIII/1, z. 36, Wrocław–Kraków–Warszawa 1959, s. 73-74.

Błoński J., *Mikołaj Sęp-Szarzyński a początki polskiego baroku*, Kraków 2001.

Boziewicz W., *Polski Kodeks Honorowy*, Warszawa–Kraków [b.r.w.].

Brudzisz M., *Szołdrski Władysław Wojciech, krypt. O.R.*, https://www.ipsb.nina.gov.pl/a/biografia/wladyslaw-wojciech-szoldrski-redemptorysta [dostęp: 26.02.2024].

Corpus studiosorum Universitatis Iagellonicae in saeculis XVIII-XX, Tomus III: S-Ś, red. K. Stopka, Kraków 2014.

Cyfrowa Szkoła Wielkopolsk@ 2020, https://www.csw2020.com.pl/biogram/irena-spychala/ [dostęp: 25.01.2024].

Dworzaczek W., *Gliszczyński Józef*, PSB, VIII/1, z. 36, Wrocław–Kraków–Warszawa 1959, s. 73.

Encyklopedia Wrocławia, red. naukowa J. Harasimowicz, Wrocław 2000.

Finkel L., *Mikołaj Sęp-Szarzyński. Kilka nowych szczegółów biograficznych*, „Przewodnik Naukowy i Literacki. Dodatek do Gazety Lwowskiej", 1880, R. 8, nr 4, s. 363-372.

Flisińska Z., *Historia rodu Pedów, ostatnich dziedziców Kwilenia i Niniewa*, „Rocznik Pleszewski", 2021, s. 71-79.

Gembarzewski B., *Wojsko Polskie. Księstwo Warszawskie 1807-1814*, Warszawa 1905.

Górzyński S., Kochanowski J., *Herby szlachty polskiej*, Warszawa 1992.

Grzeszczak J., *Skórzewscy na Kretkowie. Sto czterdzieści cztery lata z życia wielkopolskiej rodziny ziemiańskiej*, w: *Kretków. Właściciele – zabytki – duszpasterze*, red. J. Grzeszczak, Poznań 2014, s. 11-72.

Grzeszczak J., Zaręba R.F., *Domus Skórzewsciana. Zespół zabytkowych grobowców i nagrobków przy kościele parafialnym w Kretkowie*, w: *Kretków. Właściciele – zabytki – duszpasterze*, s. 183-234.

Herbarz Polski Kaspra Niesieckiego S.J. powiększony dodatkami z późniejszych autorów, rękopismów, dowodów urzędowych i wydany przez Jana Nep. Bobrowicza, t. 4, Lipsk 1839.

GRZESZCZAK.indd 188 12.11.2024 20:24:09

Herbarz Polski Kaspra Niesieckiego S.J. powiększony dodatkami z późniejszych autorów, rękopismów, dowodów urzędowych i wydany przez Jana Nep. Bobrowicza, t. 8, Lipsk 1841.

Horoszkiewicz E., *Od pijawek po dializy. Z kart historii pleszewskiej medycyny*, Pleszew 2013.

Jasiewicz K., *Lista strat ziemiaństwa polskiego 1939-1956*, Warszawa 1995.

Jedynak K., *Broel-Platerowie z Białaczowa. Losy rodziny w XIX i XX w.*, Końskie 2013.

Karwowski S., *Historia Rodu Leszczyców z Radolina Radolińskich*, tłum. B. Górczyńska-Przybyłowicz, Jarocin 2010.

Kąsinowska R., *Ruiny pałacu w Kretkowie*, w: *Kretków. Właściciele – zabytki – duszpasterze*, red. J. Grzeszczak, Poznań 2014, s. 73-156.

Konopka M., *Klejnot rodzinny. Dom Konopków herbu Nowina z Jałbrzykowego Stoku, Modlnicy, Mogilan i Głogoczowa, Tomaszowic i Zaleszan*, Warszawa 2014.

Kopa M., Arkuszyński A., Kępińska-Bazylewicz H., *Dzieje 25 pp Armii Krajowej. Geneza, struktura, działalność zbrojna, zaplecze, dramaty powojenne*, Łódź 2001.

Kościelniak W., Walczak K., *Kronika miasta Kalisza*, Kalisz 1989.

Ludzie – Lata – Szkoła. Gimnazjum i liceum w Pleszewie (1871-1996), oprac. zbiorowe, Pleszew 1996.

Łuczkowski T., *Ostatnie pożegnanie hrabiny*, https://www.opoczno-top.pl/artykul,Ostatnie_pozegnanie_hrabiny,7088.html [dostęp: 22.02.2024].

Majątki wielkopolskie, t. II, Powiat pleszewski, oprac. S. Małyszko, Ł. Gajda, Szreniawa 1994.

Majątki wielkopolskie, t. VI: Powiat kaliski, oprac. S. Małyszko, Szreniawa 2000.

Małyszko S., *Szenic Artur Marian Adam*, w: *Słownik biograficzny Wielkopolski południowo-wschodniej Ziemi Kaliskiej*, t. 3, red. D. Wańka, Kalisz 2007, s. 399-400.

Niklewska W.S., *Służebniczki Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny (Pleszew)*, Studia i materiały do historii chrześcijaństwa w Polsce, 3 – Żeńskie Zgromadzenia Zakonne w Polsce 1939-1947, t. 3, Lublin 1985.

Nowak S., *Adolf Pilch „Góra", „Dolina"*, Warszawa 2021.

Oni nas uczyli. Słownik biograficzny nauczycieli uczących w latach 1919-2019 w Gimnazjum i Liceum im. Stanisława Staszica w Pleszewie, red. A. Szymański, Pleszew 2019.

Panfil T., *Zygmunt Plater z Białaczowa (1870-1934). Jego ród, miejsce i życie. Zygmunt hr. Plater. Wspomnienia (1870-1914). Wspomnienia, anegdoty i doświadczenia myśliwskie (1931)*, Warszawa 2023.

Personel Polskich Sił Powietrznych w Wielkiej Brytanii 1940-1947, w: https://listakrzystka.pl/ [dostęp: 21.02.2024].

Pietrzyk W., *Moritz – kat opoczyńskiego getta*, „Opoczyńska.pl, 16.11.2016, nr 46(56).

Pietrzyk W., *Styczeń 1945. Epizody opoczyńskie*, Opoczno 2020.

Pilch A., *Partyzanci trzech puszcz*, Warszawa 1992.

Podgóreczny M., *„Góra", „Dolina" – partyzant niepokonany. Wywiad rzeka z cichociemnym Adolfem Pilchem*, Sopot–Warszawa 2015.

Powiat tomaszowski w okresie II wojny światowej, https://www.piotrkow-tryb.ap.gov.pl/art,484,powiat-tomaszowski-w-okresie-ii-wojny-swiatowej [dostęp: 28.02.2024].

Ptak A., *Samorząd miejski Pleszewa w okresie międzywojennym (1919-1939)*, Pleszew 2007.

R. Bielański, *„Góra – Dolina" Adolf Pilch*, Warszawa 2007.

GRZESZCZAK.indd 189 12.11.2024 20:24:09

Reising P., *Opowieści generała „Bończy”*, Piotrków Trybunalski 2011.

Rewitalizacja parku w Oborach, https://irenakuczynska.pl/mieszkancy-wsi-obory-upamietniaja-ostatnia-wlascicielke-majatku/ [dostęp: 25.01.2024].

Rutowska M., *Obóz przesiedleńczy w Cerekwicy (październik – grudzień 1939 r.). Wysiedlenia ludności polskiej z Wielkopolski do Generalnego Gubernatorstwa w latach II wojny światowej*, „Zapiski Jarocińskie. Kwartalnik społeczno-kulturalny ziemi jarocińskiej”, 2005, nr 1, s. 28-52.

Rutowska M., *Wysiedlenia ludności polskiej z Kraju Warty do Generalnego Gubernatorstwa 1939-1941*, Poznań 2003.

Sęp-Szarzyński S., *W służbie Latającego Smoka*, Londyn 1957.

Słownik geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich, t. VII, red. B. Chlebowski, W. Walewski, Warszawa 1886.

Stachewicz K., *Myśleć los człowieka. Studium filozoficzne*, Kraków 2023.

Staszak J., *Zdzisław Skarżyński herbu Bończa*, w: *Non omnis moriar. Groby i sylwetki ziemian z powiatu jarocińskiego*, red. W. Dąbrowski, Dobrzyca 2013, s. 111-113.

Staszewski J., *Kaliski wysiłek zbrojny 1806-1813*, Kalisz 1931.

Świątek-Nowicka L., *Cichociemni na Ziemi Opoczyńskiej. W 80. rocznicę pierwszego zrzutu Cichociemnych na teren okupowanej Polski*, https://www.facebook.com/muzeum.opoczno/posts/pfbid032bp4MCRkSWXBHnDR4LKfGifwX4utRCsVsuKKBwXSTpzhpUkfvpBmPEHy9HBkoaGbl [dostęp: 28.02.2024].

Świtała-Mastalerz J., *Historia parafii pw. Przemienienia Pańskiego w Paradyżu – Wielkiej Woli. Wydanie drugie, poprawione i uzupełnione*, Paradyż 2007.

Telegramy Kościuszkowskie, opr. J. Aleksiński, Poznań 2003.

Telegramy Kościuszkowskie. Zapomniane dokumenty patriotyzmu polskiego (1895--1939). Katalog wystawy, Toruń 1995.

Wardzyńska M., *Wysiedlenia ludności polskiej z okupowanych ziem polskich włączonych do III Rzeszy w latach 1939-1945*, Warszawa 2017.

Wawrzyniak E., *25 Pułk Piechoty Armii Krajowej Ziemi Piotrkowsko-Opoczyńskiej*, Warszawa 1999.

Wierzchoś D., *Zwyczajne życie zwykłych ludzi. Losy archiwum Towarzystwa Przyjaciół Pamiętnikarstwa*, https://histmag.org/Zwyczajne-zycie-zwyklych-ludzi.-Losy-archiwum-Towarzystwa-Przyjaciol-Pamietnikarstwa-1750 [dostęp: 21.02.2024].

Willaume J., *Gliszczyński (Glisczyński) Antoni*, PSB, VIII/1, z. 36, Wrocław–Kraków–Warszawa 1959, s. 70-72;

Wysocka B., *Włodzimierz Dworzaczek 1905-1988*, w: *Wybitni historycy wielkopolscy*, red. J. Strzelczyk, Poznań 2010, s. 523-533.

Żychliński T., *Złota księga szlachty polskiej*, R. I, Poznań 1879.

Гржимала-Неголевский Фаддей Казимирович (горный инженер) – Tadeusz Niegolewski h. Grzymała (inżynier górniczy), w: https://rodnaya-vyatka.ru/forum/109044 [dostęp: 21.02.2024].

Indeks osobowy

Alama z Chocza 92
Aleksander I Romanow 24
Aleksiński Jan 36, 190
Antoni Padewski, św. 27, 76
Arkuszyński Aleksander 60, 61, 64, 114, 145, 189
Augustyniak Marta 73, 74
Augustyniak Stanisław 52

Bagieńska Leonia z Bronikowskich 100
Bagieński Artur 13, 100
Bajerowie 99, 100
Balasińska Zofia 108, 118, 124, 133, 136, 137, 144, 146
Bartel Wojciech M. 22, 188
Bécu Salomea 27
Berger Gottlieb 25
Bielański Ryszard 150, 189
Bielski Marcin 19
Błasikiewicz Henryk 97, 129
Błoński Jan 19, 188
Bobrowicz Jan Nepomucen 17, 19, 188, 189
Bochniak Jadwiga 14, 115, 129, 138, 161
Bochniak Zdzisław 161
Bogdańscy 35,
Bogdański Stanisław 35
Borowska Jadwiga 115
Borowska Marianna 161
Borowski 131
Boziewicz Władysław 32, 188
Broel-Plater Anna z Brzozowskich 93, 97
Broel-Plater Konstanty 93, 97, 103
Broel-Plater Ludwik 14, 93, 97, 103
Broel-Plater Maria 93, 97, 103
Broel-Plater Stefania 93, 97, 103
Broel-Plater Teresa 93, 95, 103
Broel-Plater Zygmunt 93, 97
Bronikowscy 13
Bronikowska Maria 99, 100, 101, 102, 103, 104, 105, 107, 108, 109, 146
Bronikowski Hilary 99, 102
Broniszowie 39, 40
Brudzisz Marian 31, 188

Chlebowski Bronisław 21, 190
Chodyński Adam 74
Ciachowie 124
Ciszewski 137
Czapscy 35
Czulak Franciszek, ps. „Góral" 114

Dąbrowski Jan Henryk 22, 187
Dąbrowski Wojciech 96, 190
Dobrzański Henryk, ps. „Hubal" 60, 92
Duraj Marysia 146, 147
Durajowie 118, 146
Dworzaczek Włodzimierz 22, 54, 188, 190

Ferla Adek 169
Ferla 50, 72, 81, 169, 170,
Ferlina 169
Figurscy 136, 138
Figurski Witold 137
Finke 75
Finkel Ludwik 19, 188
Finkowa Aniela z Zielonackich 171
Flisińska Zdzisława 14, 166, 167, 188

GRZESZCZAK.indd 191 12.11.2024 20:24:10

Flisowscy 118, 126, 150
Flisowska Irena 126
Flisowska Urszula 126
Flisowski, agronom 126, 127, 128, 129, 132, 134, 152
Florjan, gimnazjalista z Pleszewa 52
Franciszek, św. 105

G., lekarz 120
Gäbert Helmut 56, 57, 188
Gajda Łucja 39, 189
Gałczyńska 165
Gawlina Józef 34
Gembarzewski Bronisław 24, 188
Gepar, Niemka z Kolonii Oborskiej 76
Gliszczyńscy 22, 25, 35
Gliszczyńska Joanna ze Skórzewskich 22, 25
Gliszczyński Jan 22, 24
Gliszczyński Zygmunt 22, 24, 26
Górczyńska-Przybyłowicz Bożena 24, 189
Górny 86
Górzyński Sławomir 17, 188
Grabowscy 35
Grabowski Adam 13
Grabowski Antoni, ps. „Czapla" 60, 65
Grzeszczak Jan 9, 11, 26, 36, 38, 50, 67, 94, 120, 188, 189

Harasimowicz Jan 27, 188
Hauke Leon 82
Haukowie 82
Hellenbrandt Werner 63
Helwing Jan 14, 77
Helwing Józef 76, 77
Hemplowa Halina z Krajewskich 171
Henryk II Pobożny 27
Hoffman Bogdan 52
Hoffman Zdzisław 52
Homer 58, 188
Horoszkiewicz Edward 61, 189

Ignerowicz Ignac 124

Jan Chrzciciel, św. 62, 175
Jan III Sobieski 21
Janiak Anna 31
Janiczek z Lenartowic 92
Jankowiak Franciszek 92
Jasiewicz Krzysztof 95, 189
Jedynak Katarzyna 95, 189
Jezierscy 35
Józef, św. 74, 89, 159
Józio, syn Mireckiej zza Buga 151, 156, 157, 158, 159, 160

Kaczmarek Barbara 176
Kaczmarek Ilona 27
Kaczyński Lech 147
Karwowski Stanisław 24, 189
Kazia 90
Kazimiera, agronomka i łączniczka AK 127
Kaźmierczak Robert 27, 188
Kąsinowska Róża 9, 182, 189
Kępińska-Bazylewicz Halina 60, 61, 64, 114, 128, 145, 189
Kicman Aleksandra Leokadia 62, 63, 64
Kieniewicz Stefan 12
Kiersnowski Andrzej 96
Kiliński Jan 133
Kirschstein Hubert 56, 102, 103, 104, 105, 106, 107, 108
Kochanowski Jerzy 17, 188
Kochanowski 97
Komorowski 36
Koniew Iwan 65
Konopka Józef 120
Konopka Marek 120, 189
Konopkowa Helena z Malinowskich 120, 121
Konopkowie 120, 189
Konstanty Ignacy, ps. „Szmaragd" 65
Kopa Mirosław 145, 189
Koperny Józef 47
Kordecki Augustyn 34
Kościelniak Władysław 165, 189
Kotarbiński Tadeusz 12
Kozieł-Poklewska Emilia z Jakubowskich 92, 96
Kozieł-Poklewska Kamilla 96
Kozieł-Poklewski Witold 92, 96
Kraszewski Józef Ignacy 52
Kraśko Wincenty 12
Kruszyński Henryk, ps. „Olech" 64, 65, 131

GRZESZCZAK.indd 192 12.11.2024 20:24:10

Krysia, pomoc u Zofii Balasińskiej 124
Krzyżański Henryk, ps. „Stefan" 65
Kuczborscy 35
Kuczyńska Irena 10, 190
Kupczyk Stanisław 89
Kuryś Agnieszka 57, 188
Kuś Czesław, ps. „Oliwa" 145, 164
Kwiatkowski Lech 89, 121
Kwiatkowski Roman 86, 99
Kwilecka Anna 95
Kwilecka Eliza z Broel-Platerów 93, 95, 97, 103, 105, 106
Kwilecka Julita 95
Kwilecka Maria z Karskich 95
Kwilecka Stanisława Dolores 95
Kwilecki Stanisław 95, 105

Laskowski Ignacy 71
Ledóchowski Mieczysław 31, 36
Lévinas Emmanuel 57, 188
Lorentz Stanisław 12

Łebscy 90
Łebska Lidia 88
Łebski Alojzy 88
Łebski Andrzej 88
Łuczkowski Tomasz 96, 189

Maćkowiaczka 75
Maćkowiakówna Helena 168
Magnuscy 35
Magnuszewski Bogdan 52
Makowski Edmund 52
Malinowska 152
Małyszko Stanisław 31, 39, 106, 189,
Mańkowska 21
Mazaraki Jadwiga z Domaradzkich 171
Michalski, gimnazjalista z Pleszewa 52
Michałko 146, 148, 149
Michnikowski Zdzisław, ps. „Konar" 64
Mickiewicz Adam 10, 182
Mikołaj, św. 35, 40
Mira 175
Mireccy 118, 124, 131
Mirecka zza Buga 151, 156, 157, 158, 159, 160, 161, 162
Mirecki Stefan, ps. „Snopek" 65
Mojzesowicz 115
Morawski 151
Moritz 132, 189
Mrowiński Stanisław 13, 14, 31, 82,
Muczkowski Józef 18, 188
Mycielska Helena z Broel-Platerów 93, 97, 103, 188
Mycielski Jacek 14, 97, 103, 104, 106
Mycielski Ludwik 14

N., ps. „Wąż" 145, 146, 147
Nankier, bp 27
Napoleon I Bonaparte 24
Narloch Franciszka 62
Nehring Walther 66
Niegolewska Aniela z Sęp-Szarzyńskich 35, 36, 90, 93, 187, 120, 121
Niegolewska Helena ze Skórzewskich 36, 90, 93
Niegolewski Andrzej 35
Niegolewski Kazimierz 35
Niegolewski Tadeusz 35, 36, 37, 187, 190
Niesiecki Kasper 17, 19, 188, 189
Niezgoda Barabasz 19
Niklewska Waleria Syksta
Nowak Szymon 150, 189
Nowakowska 86
Nowakowski Józef 85, 86

Ostrowscy 35
Ostrowska Anna z Broel-Platerów 96
Ostrowski Jan 95

Panfil Tomasz 93, 189
Paprocki Bartosz 19
Pawłowski Roman 74
Pągowski Jan Nepomucen 27
Peda Helena z d. Małych 166
Peda Jurek 167
Peda Oskar Eryk 166, 167
Peda Otton 167
Perż Edward 122
Pędziach Władysław 123, 146
Pędziach Wojciech 123
Pietrzyk Wiktor 13, 66, 67, 68, 132, 189
Pilarczyk Zenon 148
Pilch Adolf, ps. „Góra", „Dolina" 150, 189
Pisching Karol 170
Plater-Zyberkówna Cecylia 96
Podgóreczny Marian 150, 189

GRZESZCZAK.indd 193 12.11.2024 20:24:10

Pogoda, porucznik 119, 146
Przezdziech 99
Przygodzki 89
Ptak Arkadiusz 122, 189

Radolińscy 9, 24, 189
Rakowscy 92, 98, 131
Rakowska Halina 92, 93, 98
Rakowska Krystyna 92, 98
Rakowska Zofia 92, 98
Rakowski Felicjan 92, 98
Reising Paweł 147, 190
Rejmer Franciszek 137
Rekowscy 35
Rement 167
Rodziewiczówna Maria 52, 53
Roman S. 155
Rose Antoni 36
Rosechowicz Alfred 52
Rutowska Maria 27, 59, 190
Rydz-Śmigły Edward 34

Sadowska Apolonia ze Skórzewskich 21
Sadowska Kazimiera 16, 52
Sadowski Stanisław 21
Sągin Kazimierz, ps. „Sosna" 61
Schneider Edward 52
Sęp-Szarzyńscy 10, 11, 17, 20, 21, 22, 31, 59, 72, 187
Sęp-Szarzyńska Bronisława 22
Sęp-Szarzyńska Helena Kamila z d. Zakolska 177
Sęp-Szarzyńska Helena z Gliszczyńskich 22, 24, 25, 27, 32, 35, 36, 38, 39
Sęp-Szarzyńska Helena z Szołdrskich 27, 29, 31, 32, 170, 171
Sęp-Szarzyńska Justyna z Sadowskich 21
Sęp-Szarzyńska Kunegunda 21
Sęp-Szarzyńska Lucyna z Dłużniakiewiczów 40, 42, 46
Sęp-Szarzyńska Maria 39
Sęp-Szarzyńska Marianna 22
Sęp-Szarzyńska Marianna z Rożnowskich 20, 21
Sęp-Szarzyńska Otylia z Broniszów 39, 40
Sęp-Szarzyńska Palmira z Chrzanowskich 22
Sęp-Szarzyńska Regina 24, 39, 40, 41, 42, 48, 49, 50
Sęp-Szarzyńska Wanda 22
Sęp-Szarzyński Antoni Nikodem 22, 27
Sęp-Szarzyński Jan (1623-1693) 20
Sęp-Szarzyński Jan (1627-1704) 20
Sęp-Szarzyński Jan (1705-1779) 21
Sęp-Szarzyński Jan Nepomucen (1838-1906) 22
Sęp-Szarzyński Januariusz 21
Sęp-Szarzyński Joachim 19
Sęp-Szarzyński Józef (1638-1675) 21
Sęp-Szarzyński Józef (1789-1821) 22
Sęp-Szarzyński Józef, s. Wojciecha 20
Sęp-Szarzyński Kacper 21
Sęp-Szarzyński Maciej (1663-1693) 21
Sęp-Szarzyński Maciej (1796-1831) 22
Sęp-Szarzyński Michał (1876-1916) 24, 27, 28, 30, 31, 32, 33, 187,
Sęp-Szarzyński Michał (1912-1989) 35, 42, 44, 50, 51, 60, 76, 77, 79, 80, 81, 86, 87, 89, 92, 96, 97, 98, 99, 100, 102, 108, 110, 118, 126, 163, 164,
Sęp-Szarzyński Michał Wawrzyniec (1770-1842) 21, 22, 187
Sęp-Szarzyński Mikołaj 5, 10, 18, 19, 20, 188
Sęp-Szarzyński Przemysław Teodor 22
Sęp-Szarzyński Stanisław 53, 54, 55, 56, 187
Sęp-Szarzyński Stefan Dominik 22
Sęp-Szarzyński Tomasz 21, 22
Sęp-Szarzyński Wacław 39, 53
Sęp-Szarzyński Walenty 21
Sęp-Szarzyński Walenty (1764-1812) 21, 22
Sęp-Szarzyński Wiktor 18, 20, 39, 40, 41, 42, 44, 47, 48, 91, 111
Sęp-Szarzyński Władysław (1698-1780) 21
Sęp-Szarzyński Władysław (1847-1903) 22, 39, 40
Sęp-Szarzyński Wojciech 21
Sęp-Szarzyński Wojciech (1589-1669) 20, 21
Sęp-Szarzyński Zbigniew 32, 33, 34

GRZESZCZAK.indd 194 12.11.2024 20:24:10

Siemieński Lucjan 58, 188
Sienkiewicz Henryk 52
Skarżyńska Olga z Gorzeńskich 96
Skarżyński Antoni 96
Skarżyński Zdzisław 96, 190
Skórzewscy 9, 25, 34, 35, 36, 37, 39, 44, 120, 182, 183, 188
Skórzewska Halina z Sęp-Szarzyńskich 20, 25, 26, 27, 36, 39, 55, 90, 91, 93, 95, 106, 120, 188
Skórzewski Franciszek 25, 26, 91
Skórzewski Hipolit 25
Skrzyńska Hanka 143
Sławoj-Składkowski Felicjan 98
Słodkowska 100, 101
Słowacki Juliusz 27
Sobczyński Jan 35
Sobiechowie 90, 95
Sobiech Czesław 154
Sobiech Edmund 56, 154
Sobiech Piotr 88, 89, 92
Spychała Anna 17
Spychała Jan 26, 49, 53, 74, 78, 79, 89, 90, 95, 106, 170,
Spychała Jan (1926-1990) 73, 74
Spychałowa Irena z Sęp-Szarzyńskich 10, 11, 12, 13, 15, 16, 17, 20, 22, 25, 26, 35, 39, 40, 42, 43, 44, 47, 49, 50, 51, 52, 53, 54, 55, 56, 57, 58, 59, 60, 62, 63, 64, 65, 69, 73, 74, 86, 87, 109, 114, 117, 127, 128, 164, 166, 175, 176, 181, 187
Stablewski Florian 36
Stachewicz Krzysztof 10
Stachowiak Anna 12
Stachowiak Zofia 13, 16, 18, 23, 28, 29, 30, 32, 33, 34, 35, 37, 38, 40, 41, 44, 45, 46, 48, 49, 52, 53, 54, 55, 56, 74, 87, 91, 93, 101, 109, 111, 113, 117, 127, 166, 171, 175, 176, 177, 187, 188
Stanisław ze Szczepanowa, św. 24
Stańczyk Mieczysław, ps. „Żbik" 65
Stańczyk Stanisław, ps. „Miecz" 65
Staszak Adam 13,
Staszak Jakub 96, 190,
Staszewski Janusz 24, 190
Stefaniak Stanisław 52
Stopka Krzysztof 25, 188
Strzelczyk Jerzy 54, 190
Suska 138
Szczegielniak Edward 61,
Szczegielniak Tadeusz, ps. „Zawisza" 65, 113, 114, 129
Szenic Artur 106, 189
Szenic Józef 106
Szenic Józefa z Cichoszewskich 106
Szkarłat Tadeusz 175
Szklarska Katarzyna 78
Szklarska Paulina 78
Szklarski Józef 78
Szklarski Stanisław (Kaczmarek, Hoffmann) 78, 79
Szlązak Stefan, ps. „Malwa" 60, 61, 64, 131
Szołdrscy 30, 32, 171
Szołdrska Aleksandra z Taylorów 30
Szołdrska Stefania z Kokczyńskich 27, 33
Szołdrski Ignacy 32, 34, 170
Szołdrski Kazimierz, ks. 27, 30, 31, 187
Szołdrski Wacław 27
Szołdrski Władysław (1814-1904) 30
Szołdrski Władysław (1884-1971) 31, 188
Szulc Stanisław 123, 127, 128
Szych Jarosław 27, 188
Szymanowscy 35
Szymański Andrzej 47, 189

Ścigaj Bolesław, ps. „Marek" 61
Śpiewak 129, 130, 137, 138, 144, 147, 148
Śródkówna Jadwiga 117, 164
Świątek-Nowicka Lidia 65, 190
Świtała-Mastalerz Joanna 98, 190

Taczanowski Edmund 22
Tatarkiewicz Władysław 12
Taylor Edward 32
Taylor Leon 31, 32, 34, 188
Tejchma Józef 12
Tomaszewski 148
Turek Marian, ps. „Sylwek" 65, 112, 113
Turek, ojciec Mariana 119
Tyczyński Ewaryst, ps. „Cichy", „Dorsz" 60, 65, 116, 160

Unrug Anna z Konopków 121

GRZESZCZAK.indd 195 12.11.2024 20:24:10

Unrug-Kuczera Magdalena 14, 25, 26, 27, 121
Urbanowscy 35

W., rzeźnik z Jarocina 112
Wabnitz Willy 95, 104, 106, 109
Wach Anna 151, 163
Wach Leon, ps. „Jaskółka" 65, 146
Wach Wincenty, ps. „Maciek" 65, 151
Wachowie 124, 162, 163
Wagenhoff Eberhardt von 26
Walczak Krzysztof 165, 189
Walczak Walerian 52
Walewski Władysław 21, 190
Wańka Danuta 106, 189
Wardzyńska Maria 59, 60, 190
Wawrzyniak Eugeniusz 61, 190
Wera 131
Wężykowie 35
Wilczyńscy 35
Willaume Juliusz 22, 190
Wincenty, św. 27
Winiarski 87
Wojciechowska Julianna z Ciszewskich 169
Wojciechowski Władysław 169, 170
Wysocka Barbara 54, 190
Wyspiański Stanisław 72

Zaborowscy 87, 88, 98
Zaborowska Wanda 22, 87, 88
Zaborowski Aleksander 22
Zaborowski Jerzy 87, 88
Zaborowski Mieczysław 87, 88
Zakrzewski Tadeusz 47, 80
Załęski Kazimierz, ps. „Bończa" 147, 190
Zaręba Romuald Franciszek 36, 188
Zielonaccy 35

Żukow Georgij 65, 66
Żukrowski Wojciech 12
Żychliński Teodor 18, 19, 20, 190

Indeks miejscowości

Adamki 138
Aleksandrów 139
Alfonsów 65

Baba k. Mogilna 78
Bamberg 75
Białaczów 66, 77, 92, 93, 95, 97, 104, 105, 106, 107, 108, 120, 135, 189
Białystok 63
Biedrusko 172
Bielawy 121
Błaszki 31
Bochnia 60, 84, 86, 93
Borówko 121
Broszki 30, 32
Buk 171

Cerekwica 27, 79, 96, 190
Chocz 14, 20, 21, 22, 74, 75, 92, 165, 166
Ciemierów 22, 76, 79, 80, 170,
Cieszyn 50, 86, 87
Czarnków 62
Czempiń 171
Czermin 102
Częstochowa 34, 84
Czołnochów 31, 72

Diabla Góra 140, 147
Dobrzyca 96, 190
Donatowo 171
Drezno (Dresden) 25
Droszew 21
Dziekanowice 73

Feliksów 151, 162, 163
Freiberg 56

Gdynia 57, 188
Gizałki 13, 39, 59, 75, 90, 169
Gniezno 61, 73, 74, 171
Gorzałków 155
Grab 49
Grodziec 95
Grunwald 79
Grzymałów 65

Hanower 53, 54

Inowłódz 102, 109, 110, 118, 125, 126, 163
Inowrocław (Hohensalza) 59
Iwanowice 34

Jaksonek 139
Jarocin 13, 24, 27, 32, 51, 60, 79, 92, 96, 112, 188, 189, 190
Jasna Góra 25, 34,
Jaszkowo 32, 171
Józefów 74

Kalisz 9, 24, 31, 34, 35, 40, 42, 49, 51, 52, 74, 78, 106, 164, 165, 166, 189, 190
Kazimierza Wielka 86
Kazimierzów 61, 128, 151, 163
Kępno 30
Kielce 66, 147, 163
Kijów 61
Kobylin 78
Kolonia Oborska 39, 76

GRZESZCZAK.indd 197 12.11.2024 20:24:10

Komorze 32, 53
Konin 50, 59, 60, 71, 73, 82, 95
Korzkwy 106
Kościan 78, 171
Kraków 10, 17, 19, 22, 25, 32, 58, 72, 78, 86, 188, 190
Kretków 9, 20, 22, 25, 26, 27, 34, 36, 37, 38, 39, 49, 55, 78, 79, 88, 89, 90, 91, 93, 106, 120, 168, 182, 188, 189
Krotoszyn 78
Kwileń 166, 188

Lednogóra 171
Lenartowice 92
Leszno 78
Lgów 96
Lipsk 17, 19, 25, 188, 189
Lisewo 90
Londyn 53, 190
Lublin 61, 177, 188, 189
Ludwików 114
Lwów 19, 20, 21, 61

Łapczyca 84, 86, 99
Łęg 21
Łękawa 86
Łęki Szlacheckie 87
Łódź 31, 40, 59, 60, 61, 78, 79, 87, 92, 144, 152, 164, 165, 189
Łuby Sobieńskie 114
Łukom 73

Machory 61, 135
Mamoty 106
Marcinków 61
Miejska Górka 78
Mielżyn 35
Miłków 62
Mirków 95
Mniszków 92, 94, 96, 130
Mogilno 78
Morasko 175
Moskwa 106

Nagórzany 86
Niewierszyn 117, 135, 136, 139
Niniew 39, 72, 73, 166, 167, 188
Nowa Wieś Szymanowska 20, 22
Nowe Miasto n. Pilicą 56, 154

Obory 9, 10, 11, 12, 14, 16, 18, 20, 21, 22, 39, 40, 42, 44, 47, 48, 50, 51, 53, 55, 58, 59, 60, 76, 77, 80, 86, 89, 99, 103, 133, 152, 158, 163, 164, 165, 166, 167, 168, 177, 190
Ogrodzona 87, 88, 98
Olbina 26
Opoczno 13, 14, 27, 47, 56, 57, 60, 61, 62, 64, 65, 66, 70, 72, 90, 94, 96, 105, 114, 116, 117, 119, 120, 128, 132, 133, 134, 135, 137, 143, 152, 153, 154, 155, 163, 164, 165, 166, 189, 190
Oranienburg 78
Ostrów Wlkp. 71, 78,
Oszkowice 121

Paradyż 14, 56, 57, 58, 60, 61, 65, 66, 67, 68, 88, 92, 93, 95, 97, 98, 99, 100, 108, 110, 112, 113, 114, 115, 117, 118, 119, 120, 124, 125, 127, 128, 129, 131, 132, 133, 134, 136, 137, 138, 139, 142, 143, 144, 148, 150, 151, 154, 155, 157, 160, 161, 163, 190
Piotrków Trybunalski 20, 60, 61, 62, 63, 64, 86, 87, 110, 137, 138, 139, 141, 142, 143, 147, 149, 150, 163, 190
Pleszew 13, 39, 42, 44, 47, 49, 52, 59, 61, 63, 71, 72, 90, 92, 100, 102, 106, 122, 139, 166, 169, 170, 188, 189
Płock 18, 132
Popielawy 132, 134, 135, 137, 139
Popławy-Kolonia 113
Poznań 9, 10, 17, 18, 19, 22, 24, 25, 26, 27, 30, 31, 32, 35, 36, 40, 54, 59, 61, 75, 78, 93, 131, 168, 170, 171, 172, 175, 176, 187, 188, 189, 190
Prusinów 92
Przysucha 66
Pyszczyn 171
Pyzdry 9, 49, 51

Radom 60, 97, 98, 134, 147,
Radomsko 22, 86, 121
Radonia 92
Radzice 65
Rakowice 40
Rawa Mazowiecka 133
Rawicz 26, 78
Rokiciny 134

GRZESZCZAK.indd 198 12.11.2024 20:24:10

Ruda Wieczyńska 169
Ruski Bród 66
Rzym 30, 97

Sandomierz 66, 97
Sieradz 17, 30, 31, 34, 40
Skalmierzyce 78
Skrzypnia 102
Sławno 94, 96
Smochowice 78
Sopot 150, 189
Spała 102, 109
Srock 64
Starachowice 132
Stasin 118
Stawowiczki 14, 56, 99, 100, 101, 102, 104, 105, 106, 107, 108, 109, 112, 127, 154
Strzyżewo Kościelne 171
Suchy Las 12, 171, 172, 175, 178
Sulejów 66, 110, 139, 141, 142, 151, 163
Sulmierzyce 71
Swierdłowsk 36
Sylwerynów 137
Szczawno-Zdrój 98
Szczypiorno 78
Szczytniki 31, 32, 34, 43, 47, 48, 138
Szkaradowo 78
Szreniawa 31, 39, 189
Szymanowice 13, 14, 20, 21, 22, 24, 30, 31, 32, 39, 40, 50, 55, 59, 76, 82, 111, 128, 187

Ściegny 86, 87
Śmiełów 93, 182
Świnoujście 78

Tarce 96
Tomaszów Mazowiecki 90, 105, 107, 122, 144, 152
Tomice 22
Torzeniec 27, 30
Treblinka 114, 133, 135
Trzemeszno 78

Warszawa 11, 17, 21, 22, 24, 32, 59, 61, 78, 93, 95, 120, 121, 123, 137, 140, 141, 142, 143, 148, 150, 151, 187, 188, 189, 190
Wiedeń 20, 21, 56, 153
Wielgomłyny 22, 87
Wielka Wola 56, 65, 123, 127, 128, 135
Wierzchy 59, 81, 82
Włodzimierz Wołyński 147
Włodzimierzów 62
Wodzinek 64
Wójcin 151, 163
Wrocław 22, 27, 58, 188, 190
Wronów 21, 39
Września 9, 172

Zagórów 73
Zaniemyśl 62
Zimnawoda 19

Żarnów 92, 119, 135, 140
Żegocin 21
Żerków 92, 96, 182